

**KULISY
WYDARZEŃ**

**GOWIN JUŻ
Z OPOZYCJĄ,
ALE RZĄD SIĘ
OBRONIŁ**

**ORBÁN ZNOWU
ODWAŻNIE RZUCA WYZWANIE
ŚWIATOWEJ LEWICY**

**PROWOKACJE
NA BIAŁORUSKICH GRANICACH
- CZY Z TEGO MOŻE BYĆ WOJNA?**

**DLA WAS
MACIERZYŃSTWO
TO TEŻ CIERPIENIE?**

SIECI

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

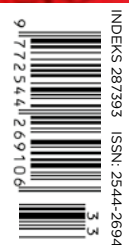
Nr 33 (455) 2021
16-22 sierpnia 2021

CENA: 6,90 zł (w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

KASA TUSKA I ŻONY

**CO NAPRAWDĘ
KRYJE SIĘ ZA ZASKAKUJĄCĄ DECYZJĄ
O PRZEPISANIU MAJĄTKU**



INDeksu 287293 ISSN: 2544-2694
9 1772544 269106 33

Odbudowa Pałacu Saskiego w Warszawie



Wspólnie odbudujemy to,
co nigdy nie powinno być zniszczone



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu

niepodległa



Projekt finansowany ze środków budżetu Państwa, w ramach obchodów stulecia odzyskania niepodległości oraz odbudowy polskiej państwowości

eprasa.pl 82709ce655

Prawica nadal zjednoczona

Nie uważam, że „Gowin z wozu, koniom lżej”. Nie sądzę, że tak to musiało się potoczyć i że Gowin ma w sobie jakiś polityczny gen pchający go w kierunku toksycznych relacji politycznych. Nurt wolnościowy, kładący nacisk na nieco inne wartości konserwatywne, wybijający inne wątki, jest prawicy potrzebny i miał pewien swój udział w kolejnych zwycięstwach tego obozu.

To wszystko mogło się potoczyć inaczej, ale niedługo po wyborach 2019 r. coś się rozerwało. Czy powodem był słaby osobisty wynik Gowina w Krakowie, co odebrał jako upokorzenie i uznał, że musi się od PiS za wszelką cenę odróżniać? Czy mamy do czynienia z syndromem uwiedzenia i nakręcenia przez media komercyjne, co dotyka wielu polityków i publicystów kiedyś służących sprawie polskiej? A może wicepremier nie wytrzymał presji środowiskowej, bo za bycie po stronie niepodległościowej płaci się dużą cenę?

Nie wiem, który czynnik jest tu najważniejszy, nie lubię psychologizować, choć czasem tam, w bardzo osobistych emocjach, kryją się odpowiedzi na ważne pytania. Bez wątpienia jednak Gowin nie miał powodów merytorycznych, by nagle zacząć obóz Jarosława Kaczyńskiego atakować. Jego głos był szanowany, także Polski Ład z nim i jego ludźmi konsultowano (20 spotkań!). Nie miał też powodów, by w afekcie rozpoczynać szaleńczą „obronę polskiej gospodarki”, bo i ona, i przedsiębiorcy, i pracownicy, i budżet mają się świetnie.

Również polityczne powody nie istnieją. Oto partyjka, mająca w porywach 1–2 proc. poparcia i kilku posłów, zarządza potężnym obszarem państwa, wieloma instytucjami, jej lider był pełnoprawnym ministrem i wicepremierem, szanowanym,

traktowanym po partnersku. Życzymy panu Gowinowi takiej pozycji w innych rozdaniach – raczej się to jednak nie zdarzy.

To wszystko nie przekładało się jednak od roku 2019 na postawę odpowiedzialności małego koalicjanta. Stały festiwal w mediach z coraz bardziej wyzywającą i zwyczajnie nieprawdziwą krytyką, cyrki w rodzaju fetowania przez posła opozycji ataku wiceminister z Porozumienia na jej własny rząd. Ile tak można? Na koniec ultimatum w tonie napoleońskim i próba zdestruowania – z użyciem nieprawdziwych argumentów – Polskiego Ładu. Programu, którego powodzenie lub nie zdecyduje o wyniku 2023 r.

Stało się to, czego Gowin najwyraźniej chciał. Jeśli nie chciał, to mocno się pogubił.

Dla Zjednoczonej Prawicy to strata. Ale z tego, co wiemy, nie było wyjścia.

Bez Gowina większość będzie chwiejna, a rządy trudniejsze. Ale z takim Gowinem, jaki jest, obozowi propolskiemu groziła śmieszność i kompromitacja. Lepsza ta niepewność niż pewne ugrzęźnięcie w błocie jałowych sporów. Finał wykuje się w boju. Gowin może przemyśleć sprawę i wrócić (choć to wątpliwe). Inni z Porozumienia mogą nie chcieć iść z nim na zatracenie. Jest też drugi nurt wolnościowy w ZP – Partia Republikańska Adama Bielana. Jest szansa na większość bez Gowina.

Wicereczenik Porozumienia Jan Strzeżek butnie orzekł, że „10 sierpnia 2021 r. oficjalnie skończyła się Zjednoczona Prawica”. Z całym szacunkiem – nie

on ją zakładał, nie on będzie kończył. Niejeden autor takich komunikatów i książek do dzisiaj wychyla się z telewizyjnych okienek, licząc lata upływające od ogłoszenia proroctwa o „końcu PiS”.

Dziś najważniejszy wniosek jest inny: Zjednoczona Prawica trwa, rząd udowodnił, że ma większość. Jest ona mniejsza, niż była, wymaga większej troski, ale jest.

Michał Karnowski


36

**Teoria złych
zastrzyków**
Maja Narbutt


58

Drogi zielony świat
Konrad Kołodziejski


68

Z Karoliną Nają
*rozmawia
Aleksandra
Jakubowska*

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 ŚWIECZKI BEZ TORTU**
Krzysztof Feusette
- 9 SATYSFAKCJA**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 OBURZONE OSZOŁOMY**
Jan Pietrzak
- 12 ZŁOTY MEDAL DLA KAŻDEGO**
Dominik Zdort
- 13 ŚWIATOWCY I PROWINCJUSZE**
Bronisław Wildstein
- 14 WALIZKA MIKOŁAJA MARCZYKA**
Michał Korsun
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 PIES NA SŁUŻBIE MA PRAWA**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 UDRĘKA TUSKA W CHMURZE**
Jerzy Jachowicz

TEMAT TYGODNIA

- 20 MILIONY W CIENIU**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

- 24 Z PROF. MIECZYŚLAWEM RYBĄ**
rozmawia Michał Karnowski
- 28 CAŁA WSTECZ**
Stanisław Janecki
- 32 Z DR. PIOTREM WOŁOCHOWICZEM**
rozmawia Dorota Łosiewicz
- 36 TEORIA ZŁYCH ZASTRZYKÓW**
Maja Narbutt
- 39 UNIA I POLSKA. CO Z TYMI
OBIADAMI ZA DARMO?**
Jan Rokita
- 42 POLSKA – KRAJ BEZ LEWICY**
Jakub Augustyn Maciejewski

HISTORIA

- 45 JAK KARDYNAŁ WYSZYŃSKI
POKONAŁ GOMUŁKĘ**
Wojciech Łada

ŚWIAT

- 48 WIKTOR ORBÁN RZUCA WYZWANIE**
Grzegorz Górny
- 51 HYBRYDOWA AGRESJA**
Marek Budzisz
- 54 ZŁOTY STANDARD**
Aleksandra Rybińska
- 56 FENOMEN CARLSONA**
Goran Andrijanić

OPINIE

- 58 DROGI ZIELONY ŚWIAT**
Konrad Kołodziejski

SIECI KULTURY

- 61 IDOL MILENIALSÓW**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 64 IDĄ PO NASZE DZIECI**
Robert Tekieli
- 65 NA LUDOWO, Z MIEJSKIM FASONEM**
Adam Ciesielski
- 66 POLECA**
Łukasz Adamski

SPORT

- 68 Z KAROLINĄ NAJĄ**
rozmawia Aleksandra Jakubowska

ZDROWIE

- 71 Z BOGDANEM GAJEWSKIM**
rozmawia Bartosz Życiński

KUCHNIA

- 74 MOJE SMAKI: MARTA
ŻMUDA TRZEBIATOWSKA, PIOTR
GAŚOWSKI, TOMASZ KAROLAK**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 75 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 76 SCHYŁKOWA UNIA EUROPEJSKA**
Wojciech Reszczyński
- 78 KOŃ DLA ABNEGATA**
Aleksander Nalaskowski
- 79 FOBIE I MEDALE**
Wiktor Świetlik
- 80 EUROPEJSKA SŁOMA**
Ryszard Makowski
- 81 MATKA BOSKA ZIELNA**
Leszek Długosz
- 82 W SIERPNIU O GWIAZDACH**
Katarzyna Zybortowicz

ZESTAW KIBICA

stop
cafe

ZWYCIĘSKIE POŁĄCZENIE



SPONSOR STRATEGICZNY

Promocja trwa od 1.07.2021 r. do 31.08.2021 r. Oferta promocyjna dotyczy tylko wybranych stacji. Regulamin i lista stacji dostępne są na www.stopcafe.pl

eprasa.pl 82709ce655

Sygnalista nadaje

Jerzy Owsiak uznał, że w sprawie mowy nienawiści na jego festiwalu (raper uczył młodzież, jak mocniej „jeb... PiS”) po prostu temat przemilczy. Ostrzegamy – to poszło w Polskę. Kogoś pobija, ktoś może zginąć, ktoś to będzie miał na sumieniu.

Przyzwolenie na agresję wobec „pisowców” zbiera już swoje żniwo. Agresywne bojówki popychały i wyzywały posła Konfederacji Dobromira Sośnierza. „Słyszałem, że jeden poseł, nie powiem z jakiej partii, dostał strzała. Dostał kopa. Ktoś go opluł” – cieszył się potem demonstrowający przed Sejmem zwolennik opozycji. Wsparcie dla ataku wyraziła też posłanka PO Marzena Okła-Drewnowicz. „Do posła Sośnierza przemówił Naród” – stwierdziła. Potem wpis usunęła. Z kolei dziennikarz Łukasz Mężyk wyraził swoje uznanie takimi słowami: „Posła Sośnierza spotkał taki pokaz szacunku od innych, na jaki sobie zapracował. Dziwię się każdemu, kto odczuwa solidarność z kimś, kto okazywał dotąd bezkarnie pogardę wobec drugiego człowieka”. Uczcie się, Polacy, tak mówią prawdziwi demokraci, zapaleni propagatorzy tolerancji.

Sośnierza zaatakowali pod Sejmem zwolennicy TVN, w czasie gdy Sejm debatował nad nowelizacją ustawy o Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji. Demonstracje nie były jednak zbyt liczne i okazało się, że wśród ich uczestników dominują osoby starsze, a 50-latkowie robią tam za młodzież. Jakże to tak, przecież wedle badań to stacja zwyciężająca wśród młodych? Rozczarowania można było uniknąć, czytając „Sieci” i niedawny wywiad z prezesem TVP Jackiem Kurskim, który nazwał rzecz po imieniu:

„Sama grupa komercyjna widzów to jedno z największych oszustw na rynku. Bada się oglądalność telewizji w przedziale wiekowym 16–49 lat, a więc w grupach, które jej niemal nie oglądają! Co za absurd. To tak, jakby ogłaszać popularność szamponu w populacji łysych. Nie sądzę, by był do utrzymania na dłuższą metę”. Kto wie, może to właśnie meta tego złudzenia.

Z braku młodzieży lobbyści TVN sięgnęli po argument militarny: podobno w ramach represji za dostosowanie w tej kwestii prawa polskiego do europejskiego Amerykanie przeniosą wojska z Polski do Rumunii. Zastanawiamy się, czy więcej to mówi o stanie polskich mediów uważających, że są w stanie wepchnąć odbiorcom każdy idiotyzm, czy też o stanie imperium amerykańskiego, bo jednak sporo osób uznało, że przy obecnej administracji to całkiem możliwe.

Tymczasem po jednym z głosowań w tej sprawie Leszek Balcerowicz zakrzyknął: „Nowa Targowica. Zapamiętać!”. Naszym zdaniem, by uzyskać większą wiarygodność w tym patriotycznym poruszeniu, powinien jeszcze oskarżyć rządzących o złodziejską prywatyzację, pozwolenie na uwłaszczenie nomenklatury komunistycznej oraz bezdusność wobec ludzi biednych. Byłby w tym równie wiarygodny.

Kto wie, może i do tego dojdzie? Świat się zmienia, ludzie się zmieniają. Oto Michał Szuldrzyński w „Rzeczpospolitej” przekonuje czytelników, a może i sam siebie: „Przecież losy braci Michników są arcypolskie. Są lustrem złożoności naszej historii i losów”. Dziwne to

lustro, dziwna arcy polskość. Okrutne wobec ofiar Stefana Michnika, katowanych polskich patriotów, słowa. Czasem, jak nie można mówić prawdy, lepiej milczeć.

W ogóle coraz częściej widać, że w naszym regionie historia nadal nie jest tylko historią. Wciąż niezapłacone rachunki niemieckie za zbrodnie i zniszczenia w Polsce nie pozwalają na zamknięcie tematu. I tu Szewach Weiss, były ambasador Izraela w Polsce, ceniony komentator, orzekł: „Polsce należą się reparacje ze strony niemieckiej, bo zburzyli Polskę”. Zaraz jednak dodał: „Sprawę reperywatyżacji trzeba w końcu załatwić, np. kompensując straty”. Oburzyło to (akurat słusznie) Radosława Sikorskiego, który skomentował: „Jeśli Szewach Weiss uważa, że za mienie zamordowanych przez Niemcy polskich Żydów komuś należą się odszkodowania, a jednocześnie Polsce reparacje od Niemiec, to rząd powinien wystawić weksel i niech Izrael ściągnie sobie bezpośrednio w Berlinie”. Mocne słowa, ale nie jesteśmy pewni, czy napisane świadomie, spodziewamy się wkrótce autosprostowania. Nie po to pana Sikorskiego promują, by takie zabawy słowne sobie urządzał. Może to właśnie w ramach próby zatarcia złego wrażenia pan Sikorski określił Pawła Kukiza mianem „szmaty”? Prawdziwy dyplomata i Europejczyk.

A może to stres? Rzekomy „efekt Tuska” nie wygląda najlepiej. Bo jakkolwiek zaklinano by rzeczywistość, trudno pierwszy miesiąc uznać pod tym względem za udany. Najpierw były matactwa w sprawie programu 500+, oczywiście dla każdego Polaka kłamstwa o rzekomych planach **Ewy Kopacz** uruchomienia czegoś podobnego. Potem wybiła pogarda, bo taki jest sens dywagacji, że to mało. Następnie Tusk postanowił walnąć Kościół (walka z krzyżem w miejscach publicznych), wreszcie dołożyć rodzinom, a szczególnie matkom, nazywając macierzyństwo „udręką”. Czy to na pewno przemysłane? Świadome? Czy on panuje nad tym, co mówi? Każdy z tych wątków kogoś zraża, kogoś odpycha, niczego nie dodaje. Wszystkie razem tworzą całość niespójną, chaotyczną, pozbawioną sensu. Jeśli już jakąś linię znajdziemy, to skrajnie lewicową, jeszcze bardziej totalną niż za Budki. Ale chyba nie o to w tym planie chodziło, ale o odbudowanie oferty dla umiarkowanej większości?

Tusk na okładce zaprzyjaźnionego tygodnika „Polityka” wystąpił z hasłem: „Najpierw walka, potem pokój”. Walkę już przyniósł, w pokój nie radzimy wierzyć. Uwagę komentatorów zwróciła także niewypasowana koszula lidera Platformy. Żli ludzie komentowali, że to uboczny skutek tajemniczej roz-

dzielności majątkowej, ale sądzimy, że to wstrętne, nieprawdziwe plotki.

W tym samym numerze tego tygodnika orzeczono, iż „wiele wskazuje na to, że do niedużej średniej jedenastu medali z poprzednich igrzysk tym razem nie dojedziemy”. Chwilę później było 14 medali, cztery złote oraz po pięć srebrnych i brązowych, czyli najlepszy wynik w XXI w. Ale nie czepiamy się, takie ryzyko sportowych prognoz. Większy kłopot w tym, że także polityczne przewidywania tego pisma okazują się przez ostatnie lata równie nietrafione.

Z kolei w piśmie **Michnika** zachwycili się starym serialem „W labiryncie”, dostępnym na platformie TVP VOD. Opisują z radością, że znajdziemy w nim nie tylko zapis polskiego przełomu lat 80. i 90., lecz także świat normalny, relacje międzyludzkie raczej ciepłe, brak perwersji. Podzielamy tę opinię. Ale też wiemy, kto resztki normalności próbuje dziś unurzać w debatach o rzekomych 56 płciach i w innych szaleństwach rzekomo nieuniknionego postępu. Sam serial polecamy.

Lata 90. przypomniał też niechęący **Jarosław Gowin**, bo od kilku miesięcy próbował narzucić Zjednoczonej Prawicy styl kłótniowości i niepowagi, który wtedy wyniósł w finale do władzy postkomunistów. Ilu posłów z sobą zabiera? Kilku. Ilu wyborców Zjednoczonej Prawicy? Z sondażu Social Changes dla wPolityce.pl wynika, że... 1 proc. Dla porównania: Solidarna Polska ma 7 proc. udziałów w tej koalicji, a Prawo i Sprawiedliwość 87 proc. Z całego morza komentarzy wynotowujemy ten autorstwa Jana Rokity, który dobrze odczytuje opozycyjne układy. W rozmowie z telewizją wPolsce.pl publicysta stwierdza: „Jarosław Gowin jest [teraz] jednym z mało znaczących polityków opozycyjnych, bo na czele opozycji są liderzy, którzy są o wiele ważniejsi, poważniejsi. I on, i Kosiniak, w mniejszym stopniu Hołownia i inni działacze opozycji politycznej, są tak naprawdę w znacznym stopniu klientami Donalda Tuska”. Coś czujemy, że ciąg dalszy może być nieprzyjemny.

Garść doniesień ze Stanów Zjednoczonych. Syn prezydenta USA Hunter Biden twierdzi, że Rosjanie ukradli mu kolejnego laptopa. Obawia się, że może być szantażowany, bo już wyciekają intymne nagrania. W Białym Domu na zaproszenie administracji poszalał bloger, który nagrywał tam żalosalne, budzące zażenowanie całej Ameryki, filmiki. A decyzja o nagłym wyjściu z Afganistanu otworzyła drzwi do sukcesów talibów. Rośnie przestępczość. Zdziwieni? Lewica marksistowska nie takie państwa potrafiła rujnować.



Dzień dobry, państwu! Państwu, bez których nasze życie nie miałoby sensu, państwo zaś bez nas nie wiedzieliby, co myśleć i dlaczego. Pozwólcie, że z okazji okrągłej, jak jedna z naszych prezenterek, rocznicy zdmuchniemy na państwa oczach kilka świeczek. Konkretnie 20, chociaż ludzi zdmuchnęliśmy w tym czasie z dziesięć razy tyle. Bo my zawsze mówimy naszą prawdę. Nasza prawda jest nasza, gdyż jesteśmy biznesem prywatnym. Chociaż założonym, oj tam, oj tam, na gruntach służb komunistycznych. Wot, paradoks.

Owszem, przeżywaliśmy trudne chwile. Wieloletni redaktor naczelny naszego flagowego okrętu informacyjnego okazał się nosić w plecaku buławę erotomana, ćpuna, pijaka i – co gorsza – półdidioty. Dlatego wycięliśmy go z materiałów rocznicowych. Naszych publicystów szkolil człowiek związany wcześniej z komunistycznym wywiadem. Ale to właśnie te zdarzenia pchały nas z motyką na słońce Peru, a z nim na barykady, dawały wiatry w żagiel i umacniały pozycje tam, skąd płynęły fundusze. Dziś my, redaktorki i redaktorzy telewizyjnej świątyni salonów, świętujemy nasze 20-letnie stawanie w prawdzie. Wprawdzie naszej, za to całą dobę. Mamy Kolendę-Zaleską, która słyszy głosy. Mamy Olejnik, która dostaje drgawek na widok wroga władzy platformersko-ludowej, ale na słowo „szmata”, dziwnym trafem, nie reaguje. Mamy Sobieniowskiego, Knapika, Morozowskiego i po pięć ich klonów w każdym newsroomie. I mamy was, naszych widzów. Nie pytajcie gdzie. Nie czas na pieszczoty, gdy reżim zamyka nam usta.

A teraz, w ramach resztek wolności, łączymy się już z Pierdziszewem, do którego zawitał ten, którego wszyscy w tym kraju witają z otwartymi ramionami. Oddaję głos naszej Justysi, bo nasza Justysia jest już na miejscu. Jak tam, Justysiu, jesteś już na miejscu?

– Oczywiście, że nie. Za to wszystko wiem. Witały go tłumy dzieci z kwiatami, dzieci, dodajmy, spontanicznie dostarczone tu przez miejscowych działaczy opozycji, którzy mimo lęku i strachu opuścili swe schrony, by powitać gościa z Brukseli. Wielka Orkiestra Światowej Przemocy odśpiewała mu „Sto lat”, choć, jak żartował, wolałby dożywocie. Pytano o wszystko, np. skąd w nim tyle niezłomnych cech charakteru, czy ma autograf Angeli Merkel i czy TVN umrze? Dziękowano za 500+ i za to, że Ewa Kopacz miała je głęboko w szufladzie, bo, jak pamiętamy, według PO oraz naszej stacji ten program rozleniwiał kobiety tak bardzo, że dla paru groszy wolały zająć w ciężę, niż na marszach proaborcyjnych skandować: „Wyp... alaj!”. Natomiast gdybyś zapytała mnie, Kasieńko, o atmosferę, jaka towarzyszy wizytom pana gubernatora w Polsce, przepraszam, pana prowokatora, to znaczy, w dobrym znaczeniu tego słowa, bo prowokującego do głębokiego poważania dla insty-

Świeczki bez tortu



KRZYSZTOF FEUSETTE

tucji europejskich, to odpowiedziałabym ci, że atmosfera także była wspólna. Pełna otwartości, tolerancji i demokracji. Tym, co zapamiętamy najbardziej, my wolni dziennikarze wolnych mediów, ale i nasi widowie w Polsce, Europie oraz Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej Joego Bidena, będzie z pewnością

ten ciepły uśmiech, z jakim ów, nie bójmy się tego słowa, człowiek dobra, budzi w nas ducha nowej, lepszej Europy. Ta łagodność, ta wola budowania zgody ponad podziałami i otwarcie na drugiego człowieka na pewno zostawią nas z refleksją: „No, dobrze, ale co ja czy nawet ty, Kasiulku, możemy zrobić, aby znowu było tak dobrze, jak było, zanim w wyborach wybraliśmy zło?”. Najlepiej po prostu oddajmy głos samemu przewodniczącemu. Ten zaś mówił: „Czas zakończyć wojnę polską-polską! Nie żadnym rozejmem czy pokojem! Czas ją zakończyć poprzez ostateczne rozwiązanie! Delegalizację PiS na arenie europejskiej, a potem długoletnie wyroki! Trzeba wypłenić to zło do spodu i od spodu! Nie będziemy z nimi rozmawiać, bo się nimi brzydzimy! Nie będziemy mówić, że zrobili coś dobrego! Po

prostu posadzimy w więzieniach! Dobierzemy im się do tyłków, stolców, foteli, domów, rodzin, dzieci, zwierząt, kobiet i starców. Je-chać PiS! Je-chać PiS!”.

Nie muszę dodawać, że zaraz po tych słowach, pełnych miłości, tolerancji i woli dialogu, rozległy się wielkie oklaski, a najgłośniejsi bili nasi dziennikarze. To z pewnością nowy powiew europejskiej polityki w polskim grajdołku. Widać, jak wielką inspiracją dla przewodniczącego opozycji były masowe marsze z hasłem: „Wyp...lać”. Słychać, jak dźwięczy mu w uszach hasło ośmiu gwiazdek. To dzięki nim zdobył się na odwagę i wrócił na ojczyznę łono. I – paradoksalnie – to raper jego łona właśnie najszybciej wcielił w życie tak cenioną w Brukseli politykę miłości, z korzeniami, kto wie, może nawet wśród przodków przewodniczącego? Prawica uznała to za przejaw faszystyzacji życia publicznego, ale przecież młodzież wychowana przez wujka Jurka Jurasa Siema Owsiaka skandowała na jego imprezie: „J...bać PiS”, wyłącznie po polsku! A co by to była, proszę państwa, za demokracja, gdyby już nie można było w wielotysięcznym tłumie wykrzykiwać nienawiści do jakiejś grupy społecznej? Jurek, zresztą, jeśli chodzi o zabójstwa dokonywane na imprezach dla młodzieży, doświadczenia ma bardzo konkretne. Pamiętamy, oczywiście, jaką stację, według rzecznika praw obywatelskich, miał wcześniej oglądać zabójca Pawła Adamowicza, choć nie miał nawet do niej w więzieniu dostępu. Cóż, my, ludzie TVN, musieliśmy po tamtych słowach Adama Bodnara milczeć. Po prostu baliśmy się, że ktoś sprawdzi, co naprawdę, nie na niby, oglądał Cyba. To co, gotowi na rocznicę? Dmuchamy świeczuszki?

Kto miesiąc i tydzień po powrocie Donalda Tuska może odczuwać największą satysfakcję? Wygląda na to, że... Prawo i Sprawiedliwość.

Bo przecież nie dotychczasowi, zdezonizowani liderzy opozycji. Rafał Trzaskowski z gwiazdy sił antyrządowych został zepchnięty do roli drugoplanowego pomagiera, który teraz może Tuskowi co najwyżej marynarkę podać i jeszcze będzie musiał patrzeć, jak mityczna gwiazda nowego starego szefa PO rozbłyśka nad jego przedsięwzięciem, jakim jest Campus Polska. I musi jeszcze robić dobrą minę do złej gry (co często nie wychodzi), a ostre rozżalenie maskować czarującym uśmiechem.

No i nie Borys Budka, który nie tylko stracił stołek, lecz i twarz, gdyż się okazało, że w fotelu szefa Platformy poniósł całkowitą porażkę, a gdy był kopany w siedzenie, musiał udawać, że jest zachwycony wspaniałym masażem. Powodów do satysfakcji nie ma też raczej odsunięta ze stanowiska Ewa Kopacz czy pozbawiony funkcji szefa klubu Cezary Tomczyk. Narazie cieszyć się też nie ma z czego Szymon Hołownia, któremu błyskawicznie pokazano miejsce w szeregu, który spadek w sondażach musi nadrobić pozorowanym zadowoleniem i wywodami o tym, że ów spadek to dowód na to, jak bardzo jego ugrupowanie różni się od Platformy. Jest jeszcze PSL, ale ta partia na ten moment oscyluje wokół progu wyborczego, więc nie ma się nad czym zastanawiać. No i chyba nie cieszy się Włodzimierz Czarzasty, bo na fali powrotu Tuska zaczęła mu trzeszczeć lewica, gdyż część jej polityków histerycznie chce złączyć siły z Tuskiem. Tymczasem aktualny lider SLD chciałby powtórzyć manewr, który przywrócił lewicę do Sejmu, czyli utrzymać zjednoczenie po lewej stronie, ale bez udziału Tuska.

Natomiast politycy partii rządzącej obserwując, jak Tusk przeciera kurz zapomnienia z czasów rządów PO-PSL, mogą odczuwać głęboką satysfakcję. Nikt lepiej od samego szefa PO nie przypomina, czym była Polska Tuska. Zamiast 500+ była dla najmłodszych oferta szczawiu z nasypów i mirabelek, zamiast programu Mama 4+ – wydłużenie wieku emerytalnego,

Satysfakcja

*Aż się prosi, by wyborcy
zadali sobie pytanie:
„W której Polsce żyło ci się lepiej?”*



zamiast programów dla seniorów – szydera Joanny Muchy, która twierdziła, że starsi ludzie chodzą do lekarza z nudów, zamiast rozdanych laptopów dla uczniów – tylko ich zapowiedź, zamiast obniżek podatków – ich podwyżki.

I wreszcie sam Donald Tusk przypomniał to, o czym część wyborców zdążyła zapomnieć, że gdy coś obiecuje, to tylko obiecuje, a wypowiadanych przez siebie

słów nawet sam były premier nie traktuje poważnie. Tylko on potrafi na tej samej konferencji zaapelować o wyjęcie kwestii pandemii z pola konfliktu politycznego, by już w następnym zdaniu zaatakować rząd za politykę zdrowotną podczas pandemii. Tylko on potrafi ogłosić swój powrót do polskiej polityki na sto procent, by po kilku dniach udać się na urlop. Tylko on ma tyle tupetu, by ogłosić, że to PO wymyśliła 500+, a Ewa Kopacz miała już przygotowany projekt, tylko jakoś nie wyjęła go z szuflady. Tylko Tusk potrafi stwierdzić, że to dzięki PO były na ten projekt pieniądze, choć jed-

nocześnie wszyscy pamiętamy, jak Kopacz straszyla drugą Grecją po wprowadzeniu obietnic PiS w życie, a ten sam Tusk apelował, by wskazać mu miejsce, gdzie zakopano na ten cel miliardy złotych. Itd., itp.

I na koniec ta widoczna gołym okiem różnica klas. Weźmy tylko najświeższy przykład. Gdy Donald Tusk porównuje macierzyństwo do udręki, urzędujący premier Mateusz Morawiecki pisze: „Rodzina to nie tylko więzy krwi. To ludzie, którzy cię kochają i wspierają. To najpiękniejsza z najważniejszych relacji, jakie tworzą ludzie. Ognisko domowe zapewnia bezpieczeństwo, schronienie i przestrzeń do rozwoju. To silnik umożliwiający podbój świata, a zarazem bezpieczna enklawa. Ale jak każde ognisko, gdy nie jest odpowiednio pielęgnowane i podsycane – gaśnie. Dlatego jednym z podstawowych obowiązków państwa jest dbać o rodzinę i jej służyc’.

I to nie są puste słowa. Taki program Zjednoczona Prawa realizowała w ostatnich latach. Nawet Tusk przyznał, że jego dzieci korzystają z rządowego wsparcia. Trzeba przyznać, że to odświeżenie pamięci dużej części Polaków może znacznie ułatwić kampanię wyborczą. Aż się prosi, by wyborcy zadali sobie pytanie: „W której Polsce żyło ci się lepiej?”

Dorota Losiewicz

Donald Trump rozpoczyna batalię sądową przeciwko Facebookowi, Twitterowi oraz Google. Były prezydent, który został zablokowany przez Facebooka i Twittera, ma nadzieję, że jego pozew ukroci tzw. shadow banning, czyli wyciszanie i usuwanie użytkowników za ich poglądy.

Trump został usunięty z największych platform społecznościowych po szturmie jego zwolenników na Kapitol 6 stycznia br. Od dawna groził odwetem za tę, jego zdaniem, niesprawiedliwą karę. Usunięcie z mediów społecznościowych miało również wpływ na fiasco startu jego własnej platformy. Blog „From the Desk of Donald J. Trump” już miesiąc po starcie zniknął z sieci, został bowiem zablokowany na Twitterze i Facebooku, co ostatecznie wpłynęło na niską klikalność i niewielki zasięg. Stratedzy Trumpa przekonują jednak, że blog nie miał nic wspólnego z projektem zbudowania szerokiej platformy, która rzuci wyzwanie gigantom z Doliny Krzemowej. Według „The Wall Street Journal” były prezydent prowadzi rozmowy z portalami CloutHub i FreeSpace na temat stworzenia własnych mediów społecznościowych.

Sądowa wygrana w walce z internetowymi gigantami mogłaby być dobrym początkiem takiej platformy. Trump wniósł pozew do

 **USA**

Trump idzie na wojnę



sądu na Florydzie, gdzie zamieszkał po przegranych wyborach. Jego zdaniem technologiczni giganci naruszają pierwszą poprawkę do konstytucji, która gwarantuje wolność słowa. Nasuwa się jednak pytanie, czy strategia obrona przez prawników Trumpa okaże się skuteczna. Nawet w konserwatywnym „National Review” pojawił się artykuł przypominający, że pierwsza poprawka, na którą chce się powołać Trump, dotyczy zakazu cenzury przez rząd i nie obejmuje prywatnych firm, takich jak Facebook, Google lub Twitter. Korporacje te bronią się też, wskazując, że każdy użytkownik musi zaakceptować ich regulamin, a zatem godzi się na to, że jego komentarz może zostać uznany przez administratorów za nieodpowiedni i usunięty.

Prawnicy Trumpa twierdzą natomiast, że media społecznościowe nadużywają ochrony wynikającej z ustawy Communications Decency z 1996 r. Przepisy tej ustawy dały właścicielom mediów prawo usuwania treści użytkowników, jeżeli mogłoby to narazić te media na odpowiedzialność sądową. Jak więc widać, wyrok będzie miał daleko idące konsekwencje dla przyszłego funkcjonowania internetu. 

Lukasz Adamski

Włochy

Osiem na tysiąc

Rozdział Kościoła od państwa może przybierać różne formy: od zimnej wojny religijnej do przyjaznej koegzystencji. Od charakteru tych relacji zależy m.in. publiczne wsparcie dla religii. We Włoszech np. w 1984 r. za rządów socjalistycznego premiera Bettina Craxiego uchwalono tzw. ustawę „otto per mille” (8 na 1000). Przewiduje ona, że 8/1000 podatku dochodowego mieszkańców Italii przeznaczone jest dla poszczególnych kościołów, wspólnot i grup wyznaniowych. Dziś z tego wsparcia korzysta 12 instytucji reprezentujących różne religie. Pieniądze dzielone są propor-

cjonalnie w zależności od deklaracji obywateli, którzy wskazują, kogo chcieliby wesprzeć finansowo (przy czym deklaracje podatników nie są obowiązkowe, odpowiedni odsetek płaconych przez nich podatków i tak trafia zaś do jednego z tuzina beneficjentów).

Dla włoskich socjologów jest to jeden z barometrów nastrojów religijnych. Okazuje się, że procentowo najwięcej osób wybierających Kościół katolicki było w 2005 r., gdy odchodził Jan Paweł II (89,92 proc.). W liczbach bezwzględnych z kolei najwięcej Włochów (15,6 mln) dokonało tego samego wskazania w 2011 r. za



Benedykta XVI. Na tym tle pontyfikat Franciszka to stały regres. Rok 2020 przyniósł pod tym względem rekordowo niskie rezultaty. Za przekazaniem części swoich podatków dla Kościoła katolickiego opowiedziało się zaledwie 12 mln Włochów, czyli 71,74 proc. wszystkich, którzy wypełnili stosowne deklaracje.

Socjologowie religii wiążą to ze spadkiem zaufania do Kościoła podczas pandemii. Badanie przeprowadzone na reprezentatywnej próbie mieszkańców Italii przez ośrodek CENSIS wykazało, że tylko 8 proc. Włochów (w tym 11 proc. katolików) uważa, iż Kościół pod przewodnictwem Franciszka potrafił „nadać sens” wydarzeniom dziejącym się w trakcie pandemii. Instytucja, której istotą jest wskazywanie sensu życia, poległa we Włoszech na całej linii. Jak piszą komentatorzy, „efektu Franciszka” już nie ma. Albo jest, tylko inny. 

Grzegorz Górny



Afganistan

Talibowie górą

Afgańscy talibowie rozpoczęli w minionym tygodniu ofensywę, której celem jest zdobycie ośrodków miejskich pozostających dotąd pod kontrolą rządu. Do ostatniego wtorku zdołali oni zająć aż 8 z 34 stolic prowincji w Afganistanie, w tym ważne strategicznie miasto Kunduz, będące wcześniej jedną z baz zachodnich sił interwencyjnych. Wznowili też kampanię zamachów terrorystycznych na przedstawicieli rządu w Kabulu, której celem jest wymuszenie negocjacji w sprawie przyszłości Afganistanu. Talibowie chcą obecną ofensywą udowodnić, że władze nie są w stanie walczyć bez wsparcia zachodnich aliantów.

We wszystkich przypadkach atak talibów wygląda podobnie – najpierw obiektem uderzenia jest lokalne więzienie, w którym przetrzymywani są niżsi rangą członkowie ruchu (ci ważniejsi zostali przewiezieni do centralnego więzienia w Kabulu), a następnie celem ataku jest dzielnica rządowa. Z doniesień agencji wynika, że siły lojalne wobec władz są zwykle zdeorganizowane oraz zdemoralizowane i nie przedstawiają większej wartości militarnej. W trzech z ośmiu stolic prowincji, które wpadły w ręce talibów, oddziały rządowe w ogóle nie stawiały oporu.

Ofensywa talibów powoduje lawinowe narastanie liczby ofiar wśród ludności cywilnej. Deborah Lyons, specjalny wysłannik ONZ do Afganistanu, oświadczyła, że tylko w walkach o Lashkar Gah, stolicę prowincji Helmand w południowo-zachodnim Afganistanie, poniosło śmierć ponad 100 cywili, a 400 zostało rannych.

Taki obrót wydarzeń skłonił Amerykanów, którzy chcą wycofać swoje ostatnie oddziały do końca miesiąca, do wznowienia nalotów na pozycje talibów. Uderzenia lotnicze zapowiedzieli też Rosjanie, w przypadku jeśli talibowie naruszą granicę z Tadżykistanem lub Kirgistanem. Trudno jednak oczekiwać, że znacząco zmieni to obecną sytuację.

Marek Budzisz

Rosja

Stalinowskie szaleństwo

Rzekomo konserwatywna – zdaniem niektórych – putinowska Rosja coraz częściej bierze sobie na sztandary Józefa Stalina. Proces ten, zapoczątkowany 20 lat temu, a więc tuż po objęciu władzy na Kremlu przez Władimira Putina, ma oczywiście związek z odbudową utraconego dekadę wcześniej imperium. Początkowa „cicha restalinizacja” nabiera jednak dziś – wraz z agresywną polityką międzynarodową – zupełnie otwartego charakteru.

Tradycyjnie apogeum kultu dyktatora przypada w okolicach 9 maja. Obchodzony wtedy Dzień Zwycięstwa stał się w putinowskiej Rosji najważniejszym świętem państwowym i jest de facto

apoteozą sowieckiego imperializmu, która kształtuje umysły przeciętnych Rosjan. Na tej fali w wielu miastach pojawiły się w ciągu kilku ostatnich lat liczne pomniki (zwykle popiersia) przedstawiające Stalina. Z kolei pod Niżnym Nowogrodem rozpoczęto budowę kompleksu muzealnego poświęconego Józefowi Stalinowi i – generalnie – całej epoce sowieckiej. Kompleks, pod którym w maju położono kamień węgielny, nosi nieoficjalną nazwę Stalin-Centrum. Można się domyślać, że życie dyktatora i jego rządy zostaną tu przedstawione zgodnie z oficjalną polityką historyczną obecnej Rosji, w której przyznaje się – coraz bardziej niechętnie – że Stalin, owszem, ma na sumieniu zbrodnie, ale – i to jest znacznie

ważniejsze – zbudował wielkie imperium budzące postrach na całym świecie. I to właśnie ten strach budzi u sfrustrowanych

mieszkańców Rosji wielką dumę. Potwierdzają to opublikowane właśnie badania renomowanego Centrum Lewady. Wynika z nich, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat blisko dwukrotnie wzrosła liczba zwolenników stawiania pomników Stalinowi (z 25 proc. w 2010 r. do 48 proc. teraz). Co jeszcze bardziej charakterystyczne, największy, bo aż pięciokrotny, wzrost zanotowano tu wśród najmłodszych respondentów (do 24. r.ż.) i trzykrotny wśród osób o najwyższych dochodach – wcześniej te dwie grupy wyraźnie odstawały w podobnych badaniach, dziś jednak ochoczo doszłusowały do ogólnonarodowego zachwyty nad dyktatorem. Podobnie jest

w przypadku kompleksu Stalin-Centrum, którego powstanie wspiera aż 60 proc. ankietowanych. Swoje poparcie uzasadniają oni najczęściej tym, że Stalin był „wielkim człowiekiem”,

„ojcem narodu” i że „wygrał wojnę”. Wskazuje

się też, że następne pokolenia powinny „pamiętać o własnej historii”. Przeciwnicy, którzy w Stalinie ciągle widzą zbrodniarza, są dziś w wyraźnej mniejszości (30 proc.).

Tak powszechną rehabilitację Stalina niektórzy interpretują jako rezultat promocji dyktatora w popkulturze – filmach, książkach, gadżetach. Dzięki temu Stalin staje się oswojony niczym Che Guevara na koszulce. Swoje robi też umiejętnie podsycany przez władze „syndrom obłożonej twierdzy” – Rosji otoczonej przez wrogów. Najbardziej niebezpieczne jest to, że temu szaleństwu ulega kolejne pokolenie Rosjan.

Konrad Kołodziejski



I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Oburzone oszołomy

Europoseł Witold Waszczykowski nazwał urzędnika ambasady USA „oszołomem”. To obiegowe słówko poruszyło do głębi Siemoniaka ze skompromitowanej ekipy Tuska, który wziął i wyraził swe oburzenie! Czyżby nie słyszał wyrazów, jakich używa jego towarzystwo polityczne?

Amerykańskie oszołomstwo rozpycha się także w Waszyngtonie. Kilku kongresmenów pochyliło się nad wolnymi, niezależnymi mediami w Polsce, „przy okazji” zahaczając o interes lobbowanej stacji TV z siedzibą na lotnisku w Holandii. Chyba przesadzają kolesie. Po prostu zgodnie z prawem kończy się czas koncesji. Nie podległa nikomu, nawet sojusznikom, Polska musi zatem bez ingerencji z zewnątrz wydać nową koncesję. Takiemu podmiotowi, który spełnia ustawowe wymagania. I tyle.

Co do wolności i niezależności, należy sojusznikom wyjaśnić, że mamy własną wykładnię tych pojęć wywalczoną przez pokolenia w wojnach, powstaniach, buntach i utrwaloną krwią na polach bitew. Ale, ale, ale... dysponujemy również pamięcią o zdradzieckich sojusznikach. Taką np. jak bardzo dotkliwa lekcja



**Jan
Pietrzak**

Jałty, w której to krymskiej miejscowości amerykański prezydent oddał losy Polaków w zbrodnicze łapy sowieckiego despoty. Polska od napaści, od której rozpoczęła się inwazja faszyzmu i komunizmu na demokratyczny świat, została potraktowana przez aliantów niegodziwie. Powojenna półwiekowa sowietyzacja kraju zdegradowała gospodarkę, rolnictwo, budownictwo, system prawny... itd. Długo można wymieniać, jak niszczącym systemem był realny socjalizm, który zafundował nam prezydent Roosevelt. Zachowując wszelkie proporcje, decyzja prezydenta Bidena akceptująca niemiecko-rosyjski projekt NS2 w jakimś stopniu nawiązuje do zdradzieckiej zмовы jałtańskiej.

W tym samym czasie inni Amerykanie awanturują się o odszkodowania za przedwojenne nieruchomości. Jakies kompletne poplątanie z pomieszaniem. Miliony polskich obywateli przez kilkadziesiąt lat nie otrzymały żadnych odszkodowań za niemieckie i rosyjskie zbrodnie i grabieże, a teraz my mamy się finansowo rozliczać z gminą żydowską w Nowym Jorku i Państwem Izrael? Przyjemnych mamy sojuszników... Czy to nie są oszołomy...?

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Złoty medal dla każdego

Wyobraźmy sobie, że do finału futbolowego mundialu dochodzą drużyny Niemiec i Brazylii. Po 90 minutach mamy remis. Podogrywce wynik się nie zmienia. Kapitanowie drużyn konsultują się z kolegami. Idą do sędziego, który zaraz gwizdże i ogłasza, że piłkarze zrezygnowali ze strzelania rzutów karnych, więc obie reprezentacje otrzymają złote medale.

Niemżliwe? Absurdalne? W piłce nożnej rzeczywiście taka sytuacja nie mogłaby się przydarzyć. Niestety w lekkiej atletyce jest nie tylko teoretycznie dopuszczalna, ale podczas niedawnych igrzysk olimpijskich do niej doszło.

I nie mam na myśli okoliczności, kiedy fotokomórka wykazała, że dwaj biegacze przekroczyli finałową linię równocześnie. Nie mam też na myśli sytuacji, kiedy dwaj skoczkowie wzwyż – a o tę dyscyplinę w tym przypadku chodzi – skoczyli jakąś wysokość i żaden z nich nie dał rady wyżej.

Problem polega na tym, że owi dwaj panowie skoczyli na wysokość 2,39 m, po czym... zrezygnowali z dalszego współzawodnictwa. Jeden z sędziów zaproponował im, aby dalej już nie próbowali skakać, bo przecież mogą obaj dostać złote medale. A oni po krótkim namyśle zgodzili się na to rozwiązanie.

Wszystko odbyło się lege artis, zgodnie z regulaminem, choć można sobie wyobrazić absurdalną sytuację, gdy uczest-

nicy zawodów w skoku wzwyż umawiają się, że przeskoczą nad niewysoko zawieszoną poprzeczką, powiedzmy 1,5 m, a następnie jak jeden mąż zrezygnują z dalszych skoków i zgłoszą się po odbiór złotych medali.

Szczęśliwi byłiby wtedy wszyscy sportowcy, wszystkie federacje olimpijskie, wszyscy sponsorzy, trenerzy i rodziny. Szczególnie powszechne udzieliłoby się też śp. baronowi Pierre'owi de Coubertinowi, który w trumnie zaklaskalby w dłonie, bo nareszcie mielibyśmy do czynienia z rywalizacją (?) dla samej rywalizacji, a nie po to, aby pokonać przeciwnika.

Tyle że ze sportem takie sytuacje nic już nie mają wspólnego. Taka postawa zawodników to cynizm i wyrachowanie, które zabijają wszelkie zawody, a szczególnie igrzyska olimpijskie, w podobny sposób jak doping. Dlatego dwaj panowie, którzy bez skrupułów odmówili walki o złoty medal, powinni nie tylko go utracić, ale też zostać dyskwalifikowani na dobrych parę lat.

Nikt jednak nawet nie podjął dyskusji na ten temat. Co oznacza, że to ja zwariowałem – skoro jestem jedynym, który widzi tu patologię.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl



**Dominik
Zdort**

BRONISŁAW WILDSTEIN

Światowcy i prowincjusze



Nie rozumiecie współczesnego świata – słyszymy od światowców, którzy krzywią się z ironicznym współczuciem. Nie nadążacie za czasem. Gdy pytamy, jakiej to tajemnicy nie udało nam się ogarnąć, widzimy już wyłącznie sardoniczny uśmieszek. Reagują tak profesorowie uniwersytetów i licealiści, erudyci i ci, którym za duchową strawę wystarcza „Szkło kontaktowe”.

Czy musimy pytać? Druga część ich deklaracji wyjaśnia pierwszą. Zrozumienie ma oznaczać akceptację tego, co niesie nam czas. A niesie on różne rzeczy. Co więc mają na myśli ci, którzy się do niego odwołują? Czy prezentują Hegłowską wizję nieuniknionej ewolucji ducha świata? Wprawdzie autor „Fenomenologii ducha” zaznaczał, że pojąć ją można dopiero, kiedy się dopełni, ale jego następcy z Marksem na czele odrzucili to zastrzeżenie.

Mało kto z cytowanych na wstępie rozumie, co głosi. Wydaje im się, że to oczywistość, której tylko konserwatywne tępaki, nieoświeczone mohery nie są w stanie pojąć, czyli że mamy do czynienia z ogólnym postępem, który dokonuje się zarówno w technologii, jak i w polityce czy moralności, a to, co dziś, jest lepsze od tego, co wczoraj. Konsekwentnie: jutro musi być lepsze niż dzisiaj. A jeśli będzie ono podobne do wczoraj? To przekracza postępowy rozum. Niemniej postępowcy często jako dziś postrzegają wczoraj, tzn. nie dostrzegają, jak zmienia się świat. Nie zakłóca im to pewności siebie.

Oto Eugeniusz Smolar dokonuje analizy globalnej polityki w „Kulturze Liberalnej”, a w wersji angielskiej publikuje ją w „The Royal United Services Institute” (RUSI). Tekst jest „westchnieniem ulgi”, że świat wrócił do normy po strasznym epizodzie Trumpa: „Na szczycie NATO [...] panowała niemal radosna atmosfera ulgi z powrotu do bliskiej współpracy i powagi wobec zadań”. Dowodem ma być 79-akapitowy dokument, „gdy po ostatnim szczycie z udziałem Trumpa w 2019 r. pojawił się komunikat z zaledwie dziewięcioma akapitami”.

Jedyni, którzy tego nie pojmują, to „prowincjonalni politycy prawicowi, którzy, ślepi na zmiany globalne, głoszą, że to Warszawa powinna odgrywać szczególnie ważną rolę partnerską z USA jako główny sojusznik na wschodzie. Nic bardziej odległego od realiów strategicznych, gdyż Polska, szczególnie pod obecnymi rządami, nie ma w tej perspektywie nic do zaoferowania [...] Rząd PiS-u przez swoją politykę łamania praworządności i praw człowieka środowisk LGBT+, także stania przy Trumpie już po zwycię-

stwie Bidena, zaprzepaścił możliwość skutecznej obrony interesów Polski w Waszyngtonie i w innych stolicach”.

Czy praworządność w Polsce to coś innego niż na zachodzie Europy, bo tak rozumieć należałoby potępienia rozwiązań, które tam obowiązują, a w Polsce wprowadzić je usiłuje obecny rząd? Czy odmowa przywilejów, których domaga się lobby LGBT, to łamanie praw człowieka? Tego Smolar nie wyjaśnia, jak również tego, że jeśli Polska „nie ma nic do zaoferowania”, to posłuszeństwo wobec ideologicznych dyrektyw z Zachodu niczego nie zmieni. Zresztą nie ma co zmieniać, bo Smolar zaznacza, że mimo niezręczności Bidena czy Merkel, od kiedy Trump stracił władzę, nic nam już nie grozi: gwarancje NATO są granitowe, porozumienie Bidena z Niemcami tylko je wzmacnia, a Nord Stream 2 nie jest ważny. Pozostaje domyślać się, że za posłuszeństwo może zostalibyśmy dopuszczeni do światowego salonu, w każdym razie nasi reprezentanci, którzy dzięki temu uzyskaliby pokątną liczbę klepień po karku – bo tą miarą salon liczy polską pozycję w Europie – a może ktoś z nich dostałby intratną synekurę w Brukseli, czym powinniśmy się cieszyć jako wyrazem uznania dla naszego narodu.

„Agresywna polityka Rosji i zwiększająca się potęga Chin, nie zapominając o odejściu Trumpa, doprowadziły do odtworzenia się poczucia wspólnoty Zachodu na bazie wspólnych interesów i wartości demokratycznych, rządów prawa i prawa państw do wyboru sojuszy” – pisze Smolar, a ja zastanawiam się, czy powtarzanie brukselskiej politgramoty spowodowało, że przestał widzieć sprawy ewidentne, jak choćby to, że Niemcy wyraźnie dystansują się od amerykańsko-chińskiej rywalizacji i, wykorzystując UE, chcą odegrać osobną, mocarstwową rolę? Nie dostrzega także Smolar, że hasła „wartości demokratycznych” i „rządów prawa” stają się zaprzeczeniem swojego elementarnego sensu i generalnie: nie odróżnia retoryki od praktyki. Być może zrozumieć to potrafią wyłącznie „prawicowi publicyści” i „prowincjonalni politycy”, bo światowcy wiedzą, że właściwie nic się nie zmieniło od początku lat 90., a dla naszego kraju od momentu, gdy zaczął aspirować do UE.



Walizka Mikołaja Marczyka

kierowcy rajdowego

Ze względu na to, że jestem kierowcą rajdowym, który startuje w najstarszym na świecie cyklu rajdowym – w mistrzostwach Europy, podróże to moja codzienność. W roku spędzam ponad 200 dni poza domem, a to oznacza, że żyję na walizkach i jestem cały czas spakowany. Przemierzam się z jednego miejsca w drugie. Startując w mistrzostwach Europy, z jednej strony ścigamy się lokalnie, niedaleko Polski, w takich rajdach jak Rajd Barum w Czechach, Rajd Liepaja na Łotwie, Rajd Polski u nas na Mazurach, z drugiej – zdarzają się dużo bardziej egzotyczne lokalizacje, m.in. Rajd Wysp Kanaryjskich na wyspie Gran Canaria czy Rajd Azorów na portugalskiej wyspie na Oceanie Atlantyckim, która jest już w jednej trzeciej drogi do Ameryki. W zeszłym roku przyszło mi się ścigać w Portugalii. Podróżowanie samolotem wymaga bardzo dobrej logistyki, organizacji i tego, żeby mieć wszystko spakowane w jednej torbie, kompaktowo, i wziąć z sobą najważniejsze dla mnie rzeczy. Czasami te podróże są bardzo długie, dlatego też muszę mieć z sobą wszystko na dwa czy trzy tygodnie.

KAMERA

Kamerę zabieram na każdy rajd samochodowy, pozwala się lepiej zapoznać z trasami. Przed całą rywalizacją jeździmy po odcinkach specjalnych zwykłym cywilnym samochodem, nagrywając każdy zakręt, dzięki temu możemy się lepiej przygotować do zawodów. Dodatkowo kamera jest zainstalowana w naszym samochodzie rajdowym.



KASK

W mojej torbie rajdowej znajduje się m.in. kask kierowcy rajdowego, który w środku ma słuchawki, żebym dobrze słyszał mojego pilota przez tzw. interkom – urządzenie, dzięki któremu słyszymy się w rajdówce, gdzie jest bardzo głośno.

Kask ma wbudowany z przodu mikrofon, żeby pilot słyszał mnie podczas jazdy, z tyłu zaś specjalne mocowania do systemu tzw. Simson Hybrid.



SIMSON HYBRID

Jest to system, który zakładam w formie szelek na plecy. Jest przypięty do kasku i w razie wypadku dba o to, żeby moje kręgosłup i szyja były bezpieczne. Zapobiega on dużym przeciążeniom.





KOMBINEZON

Oczywiście ognioodporny. Wszystkie elementy stroju mają logotypy naszych partnerów, ponieważ zdjęcia, które mamy robione podczas rywalizacji sportowej, to pozytywna opinia, wrażenie i skojarzenie tych firm, dzięki którym realizuję swoją pasję, startując w rajdach.



BIELIZNA

Pod kombinezon zakłada się ognioodporną bieliznę, czyli golf, kalesony, skarpetki, a także balaklawę, którą mam pod kaskiem. Wszystkie te części garderoby muszą mieć specjalną homologację.



BUTY RAJDOWE

Buty rajdowe mają bardzo cienką podeszwę, muszą się zachowywać w taki sposób, żebym odnosił wrażenie, że jestem bosy, dzięki czemu mam lepsze czucie samochodu.



CZAPKA

Z logotypem mojego partnera Michelin, bo to właśnie on dostarcza nam opony.



RĘKAWICZKI

Obowiązkowe, pokryte zamszem dzięki któremu ręce nie ślizgają się na kierownicy.



KOMPUTER

W torbie zawsze mam przy sobie komputer, na którym odtwarzam nagrania z trasy, jakie nagrywamy wcześniej kamerą. Mamy z sobą również dyski zewnętrzne, zawierające całą bazę danych naszych startów.



SŁODYCZE

Mam przy sobie różnego rodzaju czekoladki, orzechy i żele energetyczne, ponieważ często jesteśmy w podróży. Gdy brakuje normalnego posiłku, dzięki nim nie doprowadzam do sytuacji, w której jestem głodny, bo to oznacza utratę energii, koncentracji i refleksu.



FILMY

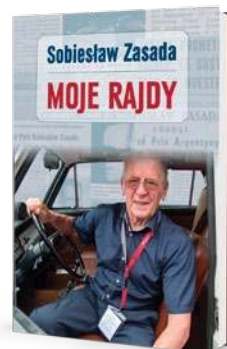
Zamiast filmów rozrywkowych oglądam best offy, ponieważ jadąc na różne rajdy, muszę być dobrze przygotowany. Oglądam, gdzie samochody na danym rajdzie wypadały. W rajdach samochodowych



jest wiele niebezpiecznych miejsc, więc takich filmów oglądam bardzo dużo. Są to również on boardy, czyli nagrania z trasy innych kierowców rajdowych.

KSIĄŻKA

Tą, która ma dla mnie szczególne znaczenie, są bez wątpienia „Moje rajdy” autorstwa pana Sobiesława Zasady. Książkę tę przeczytałem już bardzo dawno temu, jednak ostatnio dostałem kolejny egzemplarz od samego autora z dedykacją.



CZAS WOLNY

W wolnym czasie staram się posłuchać, co się dzieje u mojej rodziny: mojego brata i jego dzieci oraz moich rodziców. To jest mój sposób na spędzanie wolnego czasu.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

OGNIEM NA WPROST

Interesy Baćki



Aleksander Łukaszenka zalał kredyt w Rosji. 10 mld dol. Miał on być przeznaczony na budowę nowoczesnej elektrowni atomowej. Jednak plan uległ gwałtownej zmianie. Teraz Baćka nabrał ochoty na nowoczesne systemy obrony powietrznej średniego zasięgu S-400 Triumf. Broń ma zostać zakupiona „za rozsądną cenę” i sfinansowana za pomocą wspomnianego kredytu, ponieważ Białoruś nie ma obecnie „tego rodzaju pieniędzy”. Łukaszenka kombinuje jak koń pod górą i wpadł za radą Putina („wykorzystanie pozostałej części kredytu w taki sposób, w jaki Mińsk będzie chciał”), żeby z zaoszczędzonej na budowie siłowni kasy wygospodarować kwotę 300–500 mln dol. na rakiety. Pytanie: ile wyrzutni może otrzymać od Kremla nawet po „korzystnej” cenie? Turcja np. kupiła odpowiednik czterech baterii z 36 wyrzutniami i ponad 192 pociskami, ale zapłaciła za to 2,5 mld dol. Za jedną piątą tej kwoty być może udałoby się kupić jedną baterię. Chyba że dodatkowe środki Łukaszenka znajdzie we własnym budżecie... A tam kompletna bryndza. Wniosek z tego płynie prosty. Nie będzie żadnej elektrowni atomowej, za to białoruskie siły zbrojne wzbogacą się o S-400 Triumf, a resztę kredytu przejedzą. Skorzysta na tym tylko Moskwa. Podwójnie. Za pieniądze z udzielonego Mińskowi kredytu sprzedadzą rakiety i jeszcze zyskają na pożyczce. Jak golić frajera, to do gołej skóry.

Czarna jak węgiel szwedzka polityk Nyamko Sabuni urodziła się w rodzinie zairskich emigrantów na terenie państwa Bu-

rundi w stolicy Bużumburze. Była pierwszym pochodzącym z Afryki ministrem ds. równouprawnienia płci i integracji (mniejszości narodowych) w rządzie Królestwa Szwecji. Od połowy 2019 r. pełni funkcję przewodniczącej partii pod nazwą Liberalowie. Należy dodać, że pani Sabuni jest już Europejką pełną gębą. Właśnie ostatnio stwierdziła jako ekspert od spraw Europy Środkowo-Wschodniej, że rządy Polski i Węgier są autorytarne i w zasadzie powinny same opuścić UE. Jej zdaniem te dwa państwa nie mają nic wspólnego z Europą, ponieważ są homofobiczne, nie uznają wartości LGBT oraz naruszają podstawowe prawa człowieka. Tak w ogóle to najlepiej byłoby odciąć je od unijnych środków i stworzyć procedury wykluczenia. Nie ma sensu polemizować z polityczno-historyczną ignorantką w temacie „Czy Polska i Węgry są państwami europejskimi”. Na pewno nimi były już w X w., kiedy przodkowie pani Sabuni biegali nago po dżungli z kijami w poszukiwaniu pożywienia.

Federalny Urząd Kryminalny (BKA), odpowiadając na pytanie dziennika „Bild”, poinformował, że w Niemczech doszło w 2020 r. do ponad 700 gwałtów zbiorowych. W roku 2019 było ich 710, w 2018 – 659, utrzymuje się więc tendencja wzrostowa dla tego rodzaju przestępstwa. Oznacza to, że średnio dwa razy dziennie dochodzi do przestępstwa zbiorowego gwałtu na kobiecie. Jednocześnie BKA podało do publicznej wiadomości szokującą statystykę, że co drugi przestępca pochodzi spoza Niemiec. Wśród po-

nad 900 sprawców 46 proc. nie było Niemcami. Sprawcy to mężczyźni często pochodzący z krajów islamskich, takich jak Afganistan, Syria i Irak. Kryminolodzy, aktywiści na rzecz kobiet, politycy ciągle dyskutują i zastanawiają się, jak sobie poradzić z tym problemem. Jak dotąd nie ustalono żadnego konsensu. A może raczej ma saksoński komisarz ds. obcokrajowców Geert Mackenroth, który twierdzi, że rozwiązaniem są tylko surowe ściganie sprawców i deportacja.

Na zlecenie portalu wPolityce.pl pracownia Social Changes przeprowadziła ciekawe badanie. Zapytano Polaków o możliwość napaść zbrojną Rosji na Polskę. Aż 34 proc. badanych uważa, że Rosja zaatakuje Polskę, a 8 proc. jest przy tym zdania, że taki atak „zdecydowanie nastąpi”. Przeciwnego zdania było 35 proc. badanych, z czego jedynie 11 proc. „zdecydowanie nie obawia się” rosyjskiej agresji. 31 proc. nie miało zdania w tej sprawie. Co ciekawe, podobnego zdania są elektoraty głównych partii politycznych z lekką przewagą obawiających się napaści wyborców Zjednoczonej Prawicy. Strach jest najstarszą i najsilniejszą ludzką emocją. Ale potrafi być twórczy. Jak stwierdziła trafnie pisarka Colleen Houck, odwaga polega na tym, że nawet jeśli się śmiertelnie boimy, to i tak wsiadamy na konia.

Andrzej Rafał Potocki

Pies na służbie ma prawa

Niedawno Sejm przegłosował poprawki Senatu do ustawy regulującej status zwierząt pracujących w służbach mundurowych podległych MSWiA, w Służbie Więziennej, w Siłach Zbrojnych RP oraz w Straży Marszałkowskiej. Projekt czeka na podpis prezydenta.

Po raz pierwszy w historii zasady postępowania z psami i końmi pozostającymi w dyspozycji wymienionych organów mają szansę zostać prawnie usankcjonowane i ujednolicone. Nowo uchwalone przepisy to jeden z niewielu przykładów zawarcia przez parlamentarzystów porozumienia ponad politycznymi podziałami. Jak widać, troska o ciężko pracujące czworonogi jest w stanie przełamać nawet największe polityczne podziały. Warto przypomnieć, że uchwalone przepisy zostały przygotowane przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji w odpowiedzi na apele środowiska funkcjonariuszy powodowane troską o los swoich „współpracowników” i przeświadczeniem o konieczności zapewnienia każdemu z nich jednakowo godnych warunków egzystencji.

W policji i w pozostałych formacjach podległych MSWiA służą ponad 1,2 tys. psów i kilkadziesiąt koni. Głównymi rasami psów wykorzystywanymi w policyjnej służbie są owczarki niemieckie i owczarki belgijskie malinois. Psy innych ras mogą zostać zakwalifikowane do pracy, o ile posiadają odpowiednie predyspozycje psychiczne i fizyczne. W Państwowej Straży Pożarnej pracują w większości labradory i golden retrievery. Straż Graniczna ma w swoich szeregach owczarki holenderskie, labradory, cocker spaniele i jack russell terriery. Psy wykonują swoje obowiązki przez 8–10 lat. Konie pozostają w dyspozycji zarówno policji, jak i Straży Granicznej, odgrywając szczególną rolę na trudno dostępnym odcinku granicy w Bieszczadach. Pracują do ukończenia 15. roku życia, a jeśli pozwala na to ich stan zdrowia, to dłużej.

Każdego roku ok. 10 proc. zwierząt obdarzonych wyjątkowymi predyspozycjami i mającymi za sobą lata ciężkiej pracy jest wycofywane ze służby i przechodzi na „emeryturę”.

Nowe przepisy mają regulować status zwierząt pełniących służbę, począwszy od zakupu, poprzez czas realizacji zadań w poszczególnych formacjach, aż po ich sytuację po wycofaniu z realizacji zadań służbowych. Ustawa precyzuje obowiązki opiekunów zwierząt, a w szczególności związane z zapewnieniem dobrostanu zwierząt i ich prawidłowego utrzymania obejmującego: racjonalne żywienie i stały dostęp do czystej i świeżej wody, pielęgnację i utrzymanie w czystości, dbanie o stan zdrowia i kondycję, w tym poddawanie terminowym szczepieniom i zabiegom profilaktycznym oraz zapewnienie możliwości codziennego ruchu oraz warunków utrzymania dostosowanego do potrzeb biologicznych. W drodze rozporządzenia mają zostać ustanowione m.in. tryb przydzielania psa lub konia używanego w policji, tryb wycofywania psów lub koni ze służby. Zwierzęta przechodzące w stan spoczynku będą przekazywane pod opiekę osób spełniających określone



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

w przepisach kryteria przy założeniu, że będą pozostawać na stanie formacji, a pierwszeństwo w podejmowaniu opieki będzie miał dotychczasowy opiekun, o ile wyrazi taką wolę. Wprowadzone zostaną mechanizmy nadzoru nad sposobem realizacji opieki nad powierzonym zwierzęciem. Zapewnione zostanie dostosowanie norm żywienia psa i konia do potrzeb jego organizmu, wieku, stanu zdrowia, warunków klimatycznych, funkcji fizjologicznych oraz wysiłku fizycznego lub wskazań lekarza weterynarii.

Przepisy zaproponowane przez MSWiA charakteryzują się dużą szczegółowością mającą na celu zapewnienie jak najlepszych warunków dla zwierząt i bez wątpienia świadczą o zasadniczej zmianie cywilizacyjnej, która zaszła w ostatnich latach w zakresie traktowania naszych braci mniejszych. Swoją drogą ciekawe, czy parlamentarzyści będą w stanie wykazać się podobną wrażliwością, jak ta zaprezentowana wobec losu zwierząt pełniących służbę, i jednogłośnie poprzeć zaproponowane przez prezesa PiS ponadpartyjne porozumienie w sprawie strategii walki z pandemią wywołaną przez koronawirusa, mającą na celu ochronę życia i zdrowia swoich współobywateli.

*Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 27 lipca 2021 roku zmarła w Ksawerowie k. Łodzi*

**śp.
Teresa Maria Ujazdowska
ps. Niusia**

*urodzona 5 kwietnia 1931 roku w Warszawie.
Uczestniczyła w Powstaniu Warszawskim jako harcerka
Szarych Szeregów w Obwodzie Śródmieście Armii Krajowej.
Łączniczka Harcerskiej Poczty Polowej w gmachu Poczty Głównej
przy placu Napoleona. Ranna 2 września 1944 roku.
Po wojnie aktorka teatralna oraz filmowa.
W latach 1980–1981 działała we władzach Regionu Częstochowskiego
NSZZ „Solidarność”. Od 13 grudnia 1981 do 6 marca 1982 roku internowana
w ośrodkach odesobnienia w Lublińcu, Darłowie oraz Goldapi.
Od października 1983 roku pozostawała na emigracji.
Przewodnicząca Grupy Roboczej NSZZ „Solidarność” w Wielkiej Brytanii.
Redaktor naczelna wydawanego w Londynie „Tygodnia Polskiego”.
Wybitnie zasłużona na rzecz przemian demokratycznych w Polsce
oraz promowania polskiej kultury za granicą.
Uchonorowana Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski,
Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Medalem Pro Bono Poloniae
oraz innymi odznaczeniami.*

**Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym!
Cześć Jej Pamięci!**

*Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych*

Udręka Tuska w chmurze

Zyskujący coraz większą popularność tygodnik „Peryskop Parlamentarny”, wydawany przez młodych pracowników nauki – w większości po doktoratach i habilitacjach – specjalizujących się w praktycznym ujęciu molekularnej fizyki kwantowej, uzyskał sensacyjną wiadomość z kontynentu amerykańskiego. Oto przedruk materiału poświęconego tej rewelacji.

Jak udało nam się w sposób niezbity ustalić, Światowa Federacja Feministyczna Bosonogich, mająca swą siedzibę w Clearwater na Florydzie, zamierza się zwrócić do byłego premiera Donalda Tuska o prawo przyjęcia jako swój znak firmowy sentencji wypowiedzianej po raz pierwszy przez obecnego szefa Platformy Obywatelskiej: „Urodzenie dziecka to dla kobiety udręka na najbliższe 20 lat życia”. Myśl ta miałaby stać się rozpoznawczym sloganem Bosonogich Feministek.

Osiadły one na stałe w Clearwater blisko 80 lat temu, kiedy odkryły, że miejscowa plaża ma niepowtarzalnie miękki biały piasek, który dla ich stóp pełni niemal terapeutyczną funkcję.



**Jerzy
Jachowicz**

W przygotowywanej depeszy kobiety z organizacji na Florydzie proszą o zgodę na używanie „Pana mądrości, jakiej nie mogłybyśmy nawet oczekiwać od jakiegokolwiek mężczyzny. Tym większe słowa podziwu dla Pana wnikliwości, a w konsekwencji zrozumienia ulotnej i wrażliwej duszy kobiety. Gratulujemy również odwagi przeciwstawienia się średniowiecznemu modelowi przeznaczenia kobiety, skazanej na utratę wolności i brak własnego rozwoju z pozycji osoby niezależnej”.

Musimy podkreślić, że uzyskanie tej wiadomości stało się możliwe po niedawnym odkryciu przez naszych kolegów – w tym trójki redagującej tygodnik „PP” – nowej metody, pozwalającej dokonać podwójnego rozczepienia każdej cybernetycznej chmury. Co niezwykle ważne, także zakodowanej. Wiadomość, którą pozyskaliśmy, znajdowała się właśnie w zaszyfrowanej chmurze.

Nieco inne światło na sprawę rzucił list, który nadesłała do nas pewna młoda kobieta z południa Polski. Pisz w nim m.in.: „Gdyby mój synek miał w przyszłości być tak mądry i dobry jak Donald Tusk, czułabym się szczęśliwa, żyjąc w udręce 20 lat”.



Kiedy pierwszy raz spróbowała pani smażyć zielonych pomidorów?

Aldona Moźdzysłńska: Historia była niesamowita. Na książkę Fannie

Powrót do Alabamy

Z tłumaczką **Aldoną Moźdzysłńską** rozmawia
Jolanta Gajda-Zadzworna

Flagg „Fried Green Tomatoes at the Whistle Stop Cafe” natrafiłam tuż po studiach, jako początkujący tłumacz. Byłam zachwycona – językiem, atmosferą, bohaterkami. Postanowiłam przetłumaczyć parę fragmentów na próbę, do szuflady. Kiedy zrobiło się z tego kilka rozdziałów, wysłałam je do kilku wydawnictw. Odezwał się Zysk i S-ka. Okazało się, że są w trakcie negocjacji praw autorskich i... szukają tłumacza. Zupełnie jakby ta książka była mi przeznaczona! W taki sposób wydana w USA w 1987 r. powieść, także z moim udziałem, ukazała się w Polsce.

To było już po premierze filmowych „Smażonych zielonych pomidorów” (1991) w reżyserii Jona Avneta? Z Jessicą Tandy, Kathy Bates i Mary

Stuart Masterson jako młody Idgie Threadgoode?

Sześć lat później. Wtedy jeszcze nie znalazłam tego filmu. Najpierw przeczytałam powieść.

Jak się wraca do bohaterów i klimatu, który tak oczarował?

Bardzo się ucieszyłam, gdy się okazało, że czas pandemii Fannie Flagg spędziła na pisaniu kontynuacji tej historii i że mogłam ją przełożyć (tym razem dla Wyd. Literackiego). Byłam autentycznie zadowolona, jakie będą dalsze losy bohaterów z Alabamy i jak autorka je poprowadzi. Myślę, że czytelnicy się nie zawiodą. „Powrót do Whistle Stop” – podobnie jak pierwsza część – „przytula” podczas lektury. Jest jak ciepły koc i kubek kakao. A w upały – jak domowa lemoniada.



14

tyle medali zdobyła
Polska na igrzyskach
olimpijskich w Tokio.

17.

takie miejsce na
świecie uzyskała
Polska w klasyfikacji
medalowej na
igrzyskach olimpijskich
w Tokio.

7

tylu posłów
liczy nowe koło
parlamentarne,
które założył
Jarosław
Gowin.



**Kukiz jest
albo kompletnym
durniem, albo
sprzedają szmatą.**

– Komentarz Radosława Sikorskiego
w programie Moniki Olejnik po
przyjęciu przez Sejm ustawy medialnej.



Dzicz.

– Poseł Dobromir
Sośnierz o ludziach
broniących TVN,
którzy zaatakowali
go przed
budynkiem Sejmu.



Pomyliłem się. Nie można się pomylić?

[...] Nikt nie umarł. Przepraszam.

– Poseł Jarosław Sachajko (Kukiz'15) na pytanie TVN24, dlaczego
zagłosował inaczej niż PiS w sprawie odroczenia obrad.

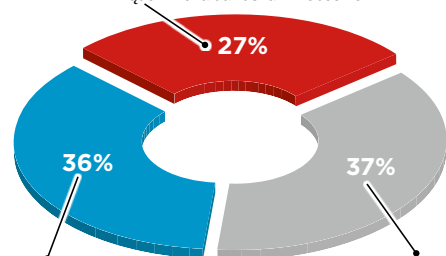
zebrał Jakub Maciejewski



pracownia
Social Changes
dla **wPolityce.pl**

Z którym stwierdzeniem zgadza się Pani/Pan bardziej?

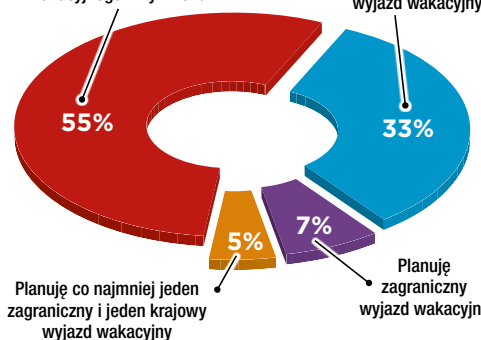
Mój ogólny poziom życia pod względem
materiałnym był lepszy przed 2015 r. w czasie
rządów Donalda Tuska niż obecnie.



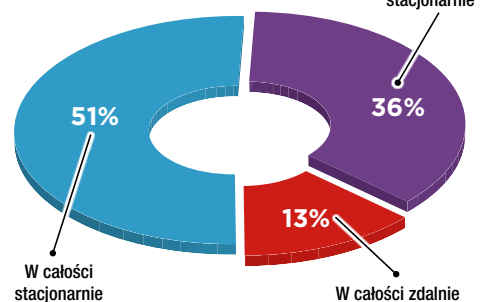
Mój ogólny poziom życia pod względem
materiałnym jest lepszy obecnie niż w czasie
rządów Donalda Tuska, przed 2015 r.

Czy w tym roku planuje Pani/Pan jeszcze wyjazd
wakacyjny za granicę lub na terenie kraju?

Nie planuję żadnego wyjazdu
wakacyjnego w tym roku



W jaki sposób według Pani/Pana powinny
odbywać się lekcje w najbliższym roku
szkolnym, nawet gdyby doszło do wzrostu
liczby zachorowań na koronawirusa?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięto udział N=1003. Zakres czasowy badania 6-9 sierpnia 2021 r.

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL.: (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSCZ, MAREK BUDZIŚ, ADAM CIEŚLECKI, PIOTR CYWILSKI, LESZEK DŁUGOŚ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGÓRZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CECYLA KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.

PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA

REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTYBUCJA: MARIOLA BARCOKOWSKA,
MARIOLA.BARCOKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLEŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTODYDZIAŁ: ANNA ŁABĘCKA, ANIA ŁABĘCKA@FRATRIA.PL,
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSŁYKÓW ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYŻA, MARCIN WIKŁO

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK,
JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH
RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA,
PRZEMYSŁAW SKRZYDLEŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI,
WIKTOR ŚWIEŹLIK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA,
DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:

REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAŻ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: AP PHOTO/ALUKER/CELESTINE, ANDRZEJ WIKTOR,
RAFAŁ PIETRUSZAK/AP SHUTTERSTOCK.COM (40)

Miliony w cieniu

W tej sprawie jak w soczewce skupiają się niejasności towarzyszące rządowi PO. To odbicie głębokiej hipokryzji i nieprzejrzystości wokół prywatnych majątków polityków. Słowa Donalda Tuska o tym, dlaczego przepisał nieruchomości na żonę, niczego nie wyjaśniają. Wręcz przeciwnie – każą pytać o prawdziwe powody ukrywania jego bogactwa



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Kilka lat temu na jednej z imprez w gronie polityków Platformy Obywatelskiej i osób zaprzyjaźnionych toczyła się rozmowa o kontroli oświadczeń majątkowych parlamentarzystów. Uczestniczył w niej także Paweł Wojtunik, ówczesny szef Centralnego Biura Antykorupcyjnego: „Jeśli polityk ustanawia rozdzielną majątkową z małżonką, to jest to dla nas pierwszy sygnał, że należy się temu majątkowi przyjrzeć” – powiedział niby żartem. Zrobiło się nieswojo, dalej temat się już jakoś nie kleił.

– Ci, którzy uczciwie doszli do majątku, nie muszą go chować. Bo są z niego dumni. To jest efekt ich ciężkiej pracy. Ja też się zastanawiam, dlaczego ludzie ukrywają, czego się dorobili. Zazwyczaj robią to, bo mają powód – mówi nam Marek Jakubiak, w poprzedniej kadencji najbogatszy z posłów.

Wydawać by się mogło, że odpowiedź na pytania o majątek przepisany na żonę nie powinna Donaldowi Tuskowi sprawiać kłopotu. Tym bardziej że – jak przyznaje po czasie – nie ma sobie nic do zarzucenia. A jednak były premier

zbywał dziennikarzy Wirtualnej Polski przez dwa miesiące, zareagował dopiero po ukazaniu się artykułu. Ten doświadczony polityk jak mało kto opanował sztukę autopromocji, powinien więc wiedzieć, że brak odpowiedzi w czystej sytuacji tylko pogłębi wątpliwości.

EUROPEJSKIE ROZMNOŻENIE

Donald Tusk zaczynał skromnie. Jego żona w książce „Między nami”, za którą dostała 100 tys. zł honorarium, wspomina moment, gdy oznajmiła swojej mamie, że zamierza wziąć ślub: „Mama była zszokowana. [...] – Przecież wy nic nie macie. Ani mieszkania, ani pracy, ani perspektyw... A tu jeszcze chłopiec taki chudziutki, takie chucherkko. Jak wy będziecie żyć?”. Potem były lata studenckiej pracy fizycznej i kolejne szczyble polityki. Przez blisko pięć kadencji (w ostatniej zrzekł się mandatu, by w 2014 r. wyjechać do Brukseli) Tusk był senatorem i posłem. W tym czasie składał oświadczenia majątkowe, których – to zastanawiające – nie da się dziś, jak w przypadku wielu innych parlamentarzystów, znaleźć na stronach parlamentu. Wiemy jednak, co w nich jest, ujawniło to kilka lat temu na żądanie dziennikarzy i ówczesnej opozycji Centrum Informacyjne Rządu.

Mimo że przez siedem lat był szefem rządu, a jeszcze dłużej szefem PO, to gigantycznej fortuny do 2014 r. się nie dorobił. Z ostatniego oświadczenia z 29 kwietnia 2014 r. wynika, że ówczesny premier miał 152 tys. zł i 2,4 tys. dol. Wspólnie

z żoną posiadał dwa mieszkania w Sopocie o wielkości 40 mkw. (w dzielnicy Górny Sopot, dzisiaj warte ok. 500 tys. zł) oraz 65,5 mkw. (w dzielnicy Karlikowo, warte dziś ponad 1 mln zł) i działkę letniskową w okolicy Kartuz (według obliczeń WP warta ok. 500 tys. zł).

I w tym miejscu trop majątku Tuska się urywa. Bo pełniona przez niego później funkcja szefa Rady Europejskiej, chociaż o wiele bardziej lukratywna niż krajowe etaty, nie jest obwarowana obowiązkiem składania oświadczeń majątkowych. Nadany mu przez zaprzyjaźnione media tytuł „króla Europy” to nie tylko prestiż. Opierając się na obliczeniach portalu money.pl, możemy bezapelacyjnie stwierdzić, że w latach 2014–2019 Donald Tusk stał się milionerem. „Według różnych rachunków na jego konto każdego miesiąca trafiało od 105 do 140 tys. zł. Na tym jednak nie koniec. Polityk miał bowiem do dyspozycji aż trzech kamerdynerów i czterech kierowców. Jakby tego było mało, byłemu szefowi Platformy Obywatelskiej przysługiwała także dieta na mieszkanie oraz budżet reprezentacyjny. Tym samym Tusk nie zapłacił złotówki (lub raczej euro) z własnej kieszeni na wynajem lokum i zakup garniturów czy butów wyjściowych” – czytamy w portalu. Podsumowanie zapiera dech w piersiach, Tusk zainkasował w tym czasie blisko 7 mln zł, kolejne pół miliona zostanie mu wypłacone w postaci tzw. dodatku przejściowego (40 tys. zł miesięcznie przez trzy lata). Po skończeniu drugiej kadencji szefa RE został w 2019 r. wybrany na stanowi-



Fot. Piotr Hujało/Ena News

sko szefa Europejskiej Partii Ludowej ze skromną wypłatą 30 tys. zł co miesiąc.

Może być też spokojny o emeryturę. Gdy skończy 65 lat, będzie mógł liczyć na 30 tys. zł miesięcznie. Da się jakoś związać koniec z końcem.

To wszystko jednak to dosyć realne, ale tylko szacunki. Donald Tusk nie odpowiedział na nasze pytania o jego dzisiejszy majątek osobisty. Nie wiemy też, czy przepisał coś synowi lub córce. Wiemy, choć też nie od niego, że 17 sierpnia 2017 r. w jednej z gdańskich kancelarii notarialnych dokonał podziału majątku, w efekcie nieruchomości przeszły na własność jego małżonki Małgorzaty Tusk. „Moja rodzina oraz żona Gosia odczuwali zagrożenie związane z tą nieustającą nagonką i zorganizowanym polowaniem na mnie z powodów politycznych przez rząd PiS” – mówił na nagraniu umieszczonym w internecie stary nowy szef PO. Czy coś wyjaśnił?

HIPOTEZA 1: STRACH O RODZINĘ

W wielu wywiadach i we wspomnianej książce Małgorzata Tusk mówiła, że

W latach 2014–2019 Tusk jako szef RE zainkasował blisko 7 mln zł, kolejne pół miliona zostanie mu wypłacone w postaci tzw. dodatku przejściowego (40 tys. zł miesięcznie przez trzy lata). W 2019 r. został szefem EPL ze skromną wypłatą 30 tys. zł co miesiąc

w jej małżeństwie nie zawsze świeciło słońce. O ten związek trzeba było walczyć, bo bywało, że wisiał na włosku. „Zakochałam się, tak po prostu, nie wiadomo kiedy. Znowu ktoś zwracał na mnie uwagę, znowu byłam dla kogoś ważniejsza niż otaczająca nas rzeczywistość. [...] Trzeba było dbać o żonę, a nie tylko

myśleć o polityce, biuletynie Solidarności, kolegach i manifestacjach” – pisze wybranka byłego premiera, wspominając dawne lata, które na szczęście minęły. Po takich doświadczeniach można zrozumieć to, że Donald Tusk stara się o rodzinę troszczyć. I nie można nie docenić, że stawia ją na pierwszym miejscu nawet wtedy, gdy ma już na głowie sprawę całej pogrążonej w kryzysie Europy. W swoim oświadczeniu jest jednak słodko-gorzki. Z jednej strony uderza w cklivą nutę, z drugiej atakuje premiera Mateusza Morawieckiego, wypominając mu rozdział majątku z żoną.

Alibi dla narracji o osaczeniu przez „reżim PiS” przygotował w wydanej przez Agorę w 2019 r. książce „Szczerze”, spisanej w formie pamiętnika. Notka z 3 sierpnia 2017 r. (dwa tygodnie przed ustanowieniem rozdzielności) dotyczy przesłuchania w prokuraturze

w sprawie katastrofy smoleńskiej, a konkretnie niedopełnienia obowiązków przez funkcjonariuszy publicznych polegającego na nieuczestniczeniu w sekcjach zwłok ofiar tej tragedii. Nie chodziło o „zdradę dyplomatyczną” czy inne wątki dotyczące zaniedbań samego ekspremiera, on sam był w tej sprawie tylko świadkiem. Jednak Tusk snuje narrację, jakoby to on był dla śledczych celem. „Prokuratorzy dobrze przygotowani, czujni, zimne spojrzenia, polują na każdą nieścisłość, słowo »polują« idealnie oddaje atmosferę tego kolejnego wielogodzinnego przesłuchania”. Wpis kończy słowami: „Zegnają mnie grzecznie, ale w oczach jednego z nich, bardzo dociekliwego i podejrzliwego, cały czas widzę tę niewypowiedzianą głośno myśl: i tak cię dopadniemy!”.

Czyżby właśnie wtedy miała zakiełkować w nim obawa o los rodziny? Zarówno dziennikarze WP w swoim artykule, jak i Dominika Wielowieyska w emocjonalnym komentarzu w „Gazecie Wyborczej” analizują ten krok następująco: „Były premier przepisał bowiem majątek na żonę w kwartał po wejściu w życie przepisów umożliwiających zabezpieczenia majątku pochodzącego z przestępstw już na etapie śledztwa. Zdaniem niektórych naszych rozmówców mógł obawiać się tego, że zostaną mu postawione zarzuty, które po skutku odebraniem majątku. Przepisanie go na żonę miało uchronić nieruchomości od zajęcia ich przez prokuraturę”. Brzmi sensacyjnie, zapewne tak ma brzmieć, ale nie pasuje do przepisów. Dlaczego miałby podlegać konfiskacie majątek człowieka, któremu stawiano by zarzuty dalekie od nadużyć finansowych? Czy dziennikarze sugerują, że Tusk miał jakiś udział w przekrętach gospodarczych? Bo tylko wtedy zasadne byłoby zabranie majątku.

HIPOTEZA 2: KIERUNEK UKRAIŃSKI

Nawet jeśli w przyszłości, w 2023 r. Donald Tusk znów zostanie parlamentarzystą i będzie podlegał obowiązkowi jawności majątkowej, w tych zestawieniach powstanie dziewięcioletnia wyrwa, obecnie szef PO może nie chcieć jej tłumaczyć. Tak jak nie odpowiada na nasze pytania, m.in. o to, czy poza mieszkaniem i działkami podarował

swojej rodzinie także pieniądze. Taki brak transparentności – świetnie tu pasuje wykładnia Wojtunika – musi budzić wątpliwości, a czasem nawet, nie ma się co dziwić, domysły.

W październiku 2016 r. Sławomir Nowak zostaje zatrudniony na Ukrainie, gdzie od razu rozkręca przestępczy proceder. Już w marcu 2017 r. ukraiński portal śledczy Antikor ujawnia, że Nowak stanowczo za często jest nieobecny w pracy – w lipiepa-

Wiemy, choć też nie od Tuska, że 17 sierpnia 2017 r. w jednej z gdańskich kancelarii notarialnych dokonał on podziału majątku, w efekcie nieruchomości przeszły na własność jego małżonki Małgorzaty

dzie, grudniu i styczniu miał wolne średnio cztery dni w tygodniu. Mnożą się podejrzenia, że Polak nie załata dziur w ukraińskich drogach. 11 sierpnia pojawia się informacja, że szef Ukrawtodoru dostał 900-procentową podwyżkę. Ukraińcy zaczynają mieć go serdecznie dosyć. Mniej więcej w tym czasie CBA wpada na trop jego przestępczej działalności. Wtedy też Donald Tusk idzie z żoną do notariusza. Czy te wydarzenia coś łączy? Nie ma na to żadnego dowodu, ale jeśli dodamy do tego, że były premier niejasno się z tego tłumaczy, nic dziwnego, że wyobrażenia użytkowników mediów społecznościowych szaleje.

Osoby Nowaka i Tuska – pisaliśmy o tym wielokrotnie – łączy polityczna droga, która z relacji mistrza i ucznia przerodziła się w więź przyjacielską. Gdy padały, jeszcze w Polsce, wobec szefa gabinetu Tuska zarzuty w związku z aferą zegarkową, to jego mentor mówił: „Sławku, jesteśmy z tobą!”.

Murem stał za nim także wtedy, gdy miał go w swoim rządzie. Nowak przez kilka miesięcy kierował resortem, który odpowiadał za budowę dróg przed Euro

2012. Jak w 2013 r. pisał „Forbes”, „na polskich drogach działał kartel zagranicznych spółek, który zdominował rynek i przez kilka kolejnych lat windował ceny usług budowlanych”. Efekt był taki, że koszty budowy dróg mogły być zawyżone nawet o 5 mld euro.

Wciąż nie wiemy, czy i jaka była rola Tuska w załatwieniu Nowakowi pracy na Ukrainie. I czy Nowak przeniósł za wschodnią granicę jakąś wiedzę i umiejętności, które nabył, gdy był ministrem u swojego mistrza.

Dzisiaj Tusk od swojego pupila się odcina, nie chce komentować jego problemów z prawem.

HIPOTEZA 3: PLANOWANY POWRÓT

Szef Platformy nie jest pierwszym politykiem tej partii, który ukrył swój majątek, przepisując go na żonę. Jest jednak pierwszym, który broni się tak kuriozalnymi argumentami. Podkreślamy: zdecydował się na ten krok, nie pełniąc żadnych funk-

cji publicznych, kilka lat po wyjeździe z Polski, ale też od kilku lat zarabiając olbrzymie pieniądze. W tamtym czasie był na początku drugiej kadencji w fotelu szefa Rady Europejskiej. Deklarował, że nie zamierza wracać do krajowej polityki.

A może było inaczej? Czyżby tę rozdzielną majątkową, dokonaną latem 2017 r., należało traktować jako dowód, że już wtedy podjął decyzję o powrocie?

W coraz bardziej stabilizowanej polskiej polityce zbyt duży majątek jest dla polityka balastem. Brukowce z chęcią epatują czytelników luksusowymi wakacjami parlamentarzysty czy drogim lokalem, w którym się pojawił na kolacji. A politycy boją się tego jak ognia. Bogaci chcą więc udawać biedaków, by majątkiem nie kłuć w oczy mniej zamożnego elektoratu. Wolą de facto okłamać wyborców, niż ryzykować opinię, że za bardzo się dorobili.

Przepisywanie dobytku na wspólną małżonkę to praktyka stosowana od lat. Zwłaszcza przez osoby, które do polityki wchodzi jako biznesmeni czy naukowcy z dużymi sukcesami. Zdecy-

dował się na taki ruch np. Łukasz Szumowski, zanim został wiceministrem nauki w rządzie Beaty Szydło.

W 2015 r. po sukcesie wyborczym Nowoczesnej, a tuż przed złożeniem pierwszego oświadczenia majątkowego, sówitej darowizny (do dziś nie wiadomo w jakiej wysokości) na rzecz żony dokonał Ryszard Petru. Zupełnie inną sprawą jest, jak na tym wyszedł, bo – jak się okazało po kolejnych kilku miesiącach – jego życie osobiste niebawem nieco się skomplikowało.

To trochę niezrozumiała taktyka, bo mamy wiele dowodów na to, że milionerzy potrafią sobie świetnie radzić z sympatią opinii publicznej. Wystarczy spojrzeć na wyniki najważniejszych wyborów samorządowych (a więc tych najbliższych ludzi) – w Warszawie. Krezusi z PO świetnie sobie w nich radzili, spory majątek nie był kulą u nogi ani dla Rafała Trzaskowskiego, ani dla Hanny Gronkiewicz-Waltz.

Być może Tusk ma w pamięci innego włodarza stolicy – Pawła Piskorskiego – ale on nie był wybierany w wyborach powszechnych i największe „finansowe sukcesy” odnosił, właśnie będąc prezydentem Warszawy (do dziś nie wyjaśnił ich przekonująco). Jedyną tapnięcie jego stanu posiadania nastąpiło w 2001 r., gdy... przepisał na żonę część swojej fortuny – m.in. działkę, akcje, kolekcję zabytkowych obrazów czy połowę oszczędności. Stało się to tuż po założeniu z Donaldem Tuskiem Platformy Obywatelskiej.

Mało kto już dziś pamięta, że jednym z ojców założycieli PO był właśnie Piskorski, polityk będący wręcz symbolem braku transparentności.

LICZNE „POMYŁKI”

Dziś Platforma próbuje się kreować na wroga nepotyzmu, obrońcę przejrzystości w życiu publicznym, jedyną sprawiedliwą. Kontrastuje to z wieloma przypadkami kłopotów z oświadczeniami majątkowymi jej polityków, również przed 2015 r. Po powołaniu w 2006 r. Centralnego Biura Antykorupcyjnego co rusz wybuchały tego typu skandale.

Najgłośniejszym jest oczywiście sprawa mieszkań śp. Pawła Adamowicza, która do dziś ciągnie się w gdańskich sądach. Dotyczy bowiem wspólnego majątku prezydenta i jego żony (notabene część swoich nieruchomości i on przepi-

sał na obecną europosłankę), którego pochodzenia nie potrafili dowieść. W tle są również podejrzenia korupcyjne. Warto pamiętać, że tą sprawą zajęło się CBA kierowane jeszcze przez Wojtunika.

Biuro miało też poważne wątpliwości co do oświadczeń majątkowych innych polityków PO i często kierowało doniesienia do prokuratury. Tak było m.in. w przypadku senatora Łukasza Abgarowicza, który zaniżył wartość udziałów w nieruchomości, „zapomniał” o posiadanych dwóch mieszkaniach oraz o zysku ze sprzedaży kolejnej nieruchomości i zaniżył oszczędności walutowe.

Ukrywania majątku dopuścił się też jeden z bohaterów afery hazardowej, Mirosław Drzewiecki (pierwszy minister sportu w rządzie Tuska). Zataił przed opinią publiczną m.in. pieniądze zdeponowane w USA oraz posiadanie domu na Florydzie.

Po kilku latach pech (albo raczej skłonność do szwindli) powrócił do

Szef PO nie jest pierwszym politykiem tej partii, który ukrył swój majątek, przepisując go na żonę. Jest jednak pierwszym, który broni się tak kuriozalnymi argumentami

tego resortu. Andrzej Biernat (ostatni minister sportu u Tuska) nie przekonał CBA, że w jego oświadczeniach majątkowych wszystko zgadza się z rzeczywistością. Biuro nabrało wątpliwości co do środków, za które członek rządu kupił luksusowy samochód. Nie wiadomo też, skąd miał pieniądze na zakup nieruchomości (po siedmiokrotnie zaniżonej cenie). W 2018 r. prokuratura skierowała do sądu akt oskarżenia.

Wciąż toczy się śledztwo dotyczące nieprawidłowości w oświadczeniach majątkowych byłego szefa klubu PO Sławomira Neumanna (nie mylić ze sprawą przekraczania uprawnień, gdy był wiceministrem zdrowia, za którą ma już w sądzie akt oskarżenia). Po

kontroli CBA okazało się, że nie wpisał do oświadczenia majątkowego samochodu, w niejasny sposób spłacał kredyt, a dotacje przeznaczone na działalność biura poselskiego miał traktować jako dodatkowy dochód i wydawać je na luksusowe alkohole, drogie perfumy czy egzotyczne podróże.

Nad Sławomirem Nowakiem do pewnego momentu ciążyła „tylko” sprawa drogiego zegarka niewpisanego do oświadczeń majątkowych. Jego pobyt na Ukrainie przyniósł jednak kolejny rozdział do historii upadku „złotego dziecka Platformy”.

Wspomnieliśmy tylko o najbardziej jaskrawych przykładach ukrywania majątku przez polityków PO. A przecież książka o mętnych sprawach finansowych w tej formacji miałaby jeszcze sporo rozdziałów – i poświęcony korupcyjnemu skandalowi wokół marszałka Senatu Tomasza Grodzkiego, i ten z dzisiejszym senatorem

Stanisławem Gawłowskim, i z Aleksandrem Gradem. Ten ostatni zasłużył nawet na dwa rozdziały – dotyczący poważnego konfliktu interesów z firmą jego żony (wygrywającą państwowe przetargi), a także pobierania sowitego wynagrodzenia po zamianie fotela ministra skarbu na szefa spółki mającej budować elektrownię atomową.

Nie ma zatem powodu, by za dobrą monetę brać wszystko, co o swoich sprawach majątkowych mówi lider formacji

z takim „dorobkiem”. Zwłaszcza jeśli próbował niewygodne dla siebie fakty ukryć, miesiącami nie odpowiadając na pytania dziennikarzy.

Kiedy się dowiemy, czym dokładnie obdarował żonę Donald Tusk? Być może nigdy, jeśli sam były premier nie zechce tego ujawnić. Albo dopiero wtedy, gdy znów zostanie parlamentarny i będzie musiał złożyć oświadczenie majątkowe, a jednocześnie Trybunał Konstytucyjny zaakceptuje przyjętą przez obecny Sejm ustawę zakładającą jawność majątkową współmałżonków osób sprawujących funkcje publiczne. We wrześniu 2019 r. zagłosowała za nią Izabela Leszczyna – jako jedyna przedstawicielka Platformy.

Nie ma nic bardziej szkodliwego
w procesie budowania
wiarygodności, jak krytyka działań
rządu wychodząca z samego
rządu. W ten sposób nie dało się
już, z punktu widzenia rządu,
funkcjonować. Dlatego ten ruch
był w pewnym sensie konieczny,
oczyszczający

Gowin przelicytował

**Michał Karnowski rozmawia z prof. *Mieczysławem Rybą*,
historykiem, wykładowcą Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego
i Wyższej Szkoły Kultury Społecznej i Medialnej**

Co tak naprawdę zdarzyło się w polskiej polityce w ubiegłym tygodniu? Byliśmy świadkami, jak twierdzi opozycja, rozpadu Zjednoczonej Prawicy, jakiegoś początku końca, czy tylko kryzysu bez większych konsekwencji?

Mieczysław Ryba: Koniec współpracy samego Jarosława Gowina z Prawem i Sprawiedliwością zdarzył się już wcześniej. Formalnie trwał w koalicji, czasami głosował z większością w sprawach personalnych. Ale w sprawach strategicznych, programowych tej wspólnoty już od dawna nie było. Patrząc jeszcze mocniej wstecz, dostrzeżemy, że także reforma nauki przez niego przeprowadzona była bardzo krytycznie oceniana przez środowiska konserwatywne, a pozytywnie przez rewolucyjne. Ten proces oddalania się Gowina narastał, coraz częściej zachowywał się jak wewnętrzna opozycja. Skupiał się nie na współpracy, lecz na kontestowaniu programu rządu.

Co stało się już jasne dla wszystkich po ogłoszeniu Polskiego Ładu.

Tym bardziej że jako wicepremier i lider Porozumienia najpierw podpisał się pod tym programem, a następnie rozpoczął jego radykalną krytykę. To oznaczało, że koniec jego obecności w obozie rządzącym jest bliski. Takiej postawy żaden premier, żaden lider polityczny nie może zaakceptować.

Zjednoczona Prawica się skończyła, jak twierdzą niektórzy współpracownicy Jarosława Gowina?

Możemy mówić o końcu Jarosława Gowina w Zjednoczonej Prawicy, ale nie ma podstaw, by ogłaszać koniec Zjednoczonej Prawicy. Być może można by o tym mówić, gdyby wychodząc z koalicji, pan Gowin zabrał ze sobą wszystkich posłów Porozumienia. O tym nie ma jednak mowy, zostało kilka szabel i można założyć, że ta liczba będzie jeszcze malała. On tak naprawdę nie ma tej grupy polityków, która zdecydowałaby się przy nim trwać, niczego do zaproponowania. Nie stoi za nim znacząca grupa wyborców, która pozwalałaby stworzyć istotną siłę polityczną. Nawet jeśli są wyborcy, którym podoba się to, co on teraz mówi i robi, to są oni zagospodarowani przez inne siły polityczne.

Tę tezę potwierdza badanie zrealizowane przez pracownię Social Changes, która na zlecenie portalu wPolityce.pl sprawdziła, ilu wyborców Zjednoczonej Prawicy popiera Porozumienie Gowina. To zaledwie jeden procent z tej grupy.

Co ważne, nie ma też koalicji, która by tym posłom dawała wiarygodną perspektywę na przyszłe wybory.

A po stronie opozycji gęsto. Jednak dzień po dymisji widzimy Jarosława Gowina na zdjęciach z Sejmu w gronie polityków opozycji, gaworzącego, czującego się tam jak u siebie. Jak to wytłumaczyć? Przez sześć lat był na przeciwnym biegunie, a teraz jest z tymi, którzy mówili o rządzie najgorsze rzeczy?

Musimy pamiętać o jego drodze politycznej, która ideowo sytuuje go gdzieś w kręgach dawnej Unii Wolności. Platforma Obywatelska też była w pewnym sensie jego naturalnym środowiskiem. To konflikty personalne, może charakter, sprawiły, iż pożegnał się z PO, a z prawicą przywił. Politycznie odpowiadało to też prawicy, więc wstrzymałbym się z bardzo krytyczną oceną. Bez wątpienia im dłużej to trwało, tym mniej komfortowo czuł się w tym środowisku. I chodziło chyba nie tylko o podnoszone przez niego teraz kwestie podatkowe, ale np. także o tzw. wojnę o sądy, kiedy głosował za zmianami, ale jak podawała prasa, się nie uśmiechał. W sensie towarzyskim, ideowym, w środowisku liberalnej opozycji czuje się dobrze.

Czyli mu się to opłaci?

Tego nie powiedziałem. Taktycznie, politycznie nie sądzę, by mógł dużo ugrać, jest na politycznym bezdrożu. Powiedziałbym, że się wymanewrował.

Za dużo wolt?

Wolty by jeszcze przeszły, ale nie widać alternatywy dla jego środowiska, nie ma planu awaryjnego. Samodzielny start jest chyba niemożliwy z braku wyborców i zaplecza zdolnego udźwignąć kampanię.

Przyczepienie się do PSL?

To możliwe, ale w zamian za co? Najwyżej miejsce na listach dla niego osobiście, może jeszcze kilku osób. I nie

będą to dobre miejsca, bo te są pewnie zarezerwowane dla peeselowców. Pan Gowin będzie tutaj petentem chodzącym po prośbie. Mocno to kontrastuje z jego pozycją przy Prawie i Sprawiedliwości, gdzie nawet po rozłamie w jego partii miał ogromne wpływy w ministerstwach, sam był też wicepremierem. To dramatyczny spadek, redukcja do pozycji jednego z wielu takich wolnych elektronów w polskiej polityce.

Przed powrotem Donalda Tuska do polskiej polityki możliwa była jeszcze koncepcja wspólnych list opozycji, w stylu „niech rozkwita 100 kwiatów”. Dzisiaj jest to chyba trudniejsze?

Wbrew budowanemu wizerunkowi Donald Tusk jest bardzo wodzowskim politykiem i pamięta takie sytuacje, jak odejście Jarosława Gowina z Platformy. Jeżeli nawet go przyjmie, to zrobi to tak, by ten mało realnie znaczył. Sądzę, że długo horyzontem jego ambicji będzie z konieczności bycie szeregowym posłem. Przez jeszcze dwa lata mógł mieć wielki wpływ na bieg spraw państwowych, ale licytował tak, jakby miał 100 posłów w Sejmie. I przeliczywał.

Nie wierzy pan w spoistość Porozumienia jako środowiska politycznego?

Wystarczyły dwa wstrząsy, by z 20 posłów zmalało ono do kilku posłów. To pokazuje, jak niespójna była to grupa. Będąc przy PiS, skutek zbiegu wielu okoliczności, przy niewielkim poparciu wyborców, mieli jednak potężny wpływ na bieg spraw. Nie sądzą, by w przewidywalnej przyszłości było to możliwe do powtórzenia.

Mimo wszystko te kilka głosów czyni w tym Sejmie różnicę. Czekają nas teraz częstsze skoki politycznej temperatury, jak w ubiegłym tygodniu?

W tym wymiarze dla Zjednoczonej Prawicy jest to oczywisty problem. W ważnych głosowaniach, przy pełnej mobilizacji obu stron, wynik może być często efektem przypadku. Nie widać jakiejś spójnej grupy, którą można by pozyskać, skłonić do trwałej współpracy.

Środowisko Pawła Kukiza?

W wielu sprawach pewnie rząd będzie mógł na nie liczyć, ale ono niechętnie przyjmuje zasady sejmowej gry politycznej, w której często lojalność i stabilność są najważniejsze. Zwracam jednak uwagę, że w ostatnim czasie tak samo było z grupą pana Gowina. W tym sensie większość jest podobnie niestabilna od kilku miesięcy. Była jednak zasadnicza różnica, bo Jarosław Gowin

był wewnątrz obozu rządzącego. Nie ma nic bardziej szkodliwego w procesie budowania wiarygodności, jak krytyka działań rządu wychodząca z samego rządu. A tu dotyczyło to Polskiego Ładu, wielkiego planu, którego powodzenie bądź porażka rozstrzygnie o wyniku wyborów w 2023 r. W ten sposób nie dało się już, z punktu widzenia rządu, funkcjonować. Tego nie wytrzymałaby żadna organizacja, żadna firma. Ten ruch był w pewnym sensie konieczny, oczyszczający. Głos Jarosława Gowina traci dla opozycji to znaczenie, które miał, gdy był on wicepremierem.

Tuż po rozwodzie z Prawem i Sprawiedliwością pan Gowin orzekł, że Polski Ład to „socjalistyczny eksperyment”. Ma rację?

Ekonomiści tego nie potwierdzają, także sam nie znajduję w nim elementów potwierdzających ten opis.

Zaskakują też tezy, że trzeba bronić polskiej gospodarki, przedsiębiorców i pracowników przed Jarosławem Kaczyńskim. One nigdy nie miały się chyba lepiej, a jeśli trzeba obrony, to raczej przed amatorami takimi jak Tusk, który nie zauważył żerujących na Polakach mafii watońskich.

Ta retoryka jest obecna w wypowiedziach opozycji od zmiany 2015 r. Zawsze, gdy wprowadzano 500+, 13. emeryturę, pakiety rozwiązań prorodzinnych,

gdy podnoszono płacę minimalną, towarzyszył temu przekaz, iż położy to budżet, nastąpi katastrofa gospodarcza. Stało się odwrotnie.

To dlaczego wciąż to powtarzają, po tylu latach dobiegu rozwoju?

Bo nie mają żadnej alternatywy, gdyby zrezygnowali z takiego straszenia, nie mieliby już wiele do powiedzenia.

Jarosław Gowin dążył zatem do zwarcia mimo braku argumentów merytorycznych i politycznych. Co zatem zdecydowało? Emocje?

Wskazałbym na ogromne ambicje i błędną kalkulację co do własnej pozycji, siły zaplecza. Nie dostrzegał sygnałów słabości, choćby bardzo słabego osobistego wyniku wyborczego w 2019 r. Nie widział swoich wad jako lidera, czego wynikiem było odchodzenie kolejnych posłów, którzy zresztą też dostali się do Sejmu przede wszystkim dzięki dobrym miejscom na listach Prawa i Sprawiedliwości. Uznał się za fundament Zjednoczonej Prawicy, a nigdy nim nie był. Owszem, wносił wartościowe elementy, dodawał, ale to była wisienka na torcie, a nie baza.

Nawet po rozłamie w jego partii miał ogromne wpływy w ministerstwach, sam był też wicepremierem. Teraz czeka go dramatyczny spadek, redukcja do pozycji jednego z wielu takich wolnych elektronów w polskiej polityce

Może liczył, że kres jego obecności w obozie rządzącym będzie końcem całego obozu?

Mógł tak myśleć. Gdyby do tego doprowadził, dałoby mu to pewien kapitał po stronie opozycji. Ale, jak wynika z minionego tygodnia, tak się nie stało.

Polski Ład może przynieść Zjednoczonej Prawicy podobną premię, jaką dał pakiet zmian wprowadzony w pierwszej kadencji?

Tak, ale pod warunkiem, że to się zacznie dziać, że będzie realnie odczuwane przez Polaków. Tu dotykamy kształtu sceny medialnej, na której dominuje totalna krytyka tego, co rząd robi, planuje, wprowadza. Jedynym sposobem przełamania tej bariery negatywnej interpretacji jest sprawczość, wdrożenie zmian, które ludzie odczują. A ponieważ będzie to zdecydowana większość Polaków, propaganda antypisowska będzie miała mniej przestrzeni do manipulacji. Gadania nikt nie chce już słuchać.

Może ten program jest zbyt ambitny i stąd takie napięcia polityczne? Przekierowanie kolejnych ogromnych strumieni finansowych do polskich rodzin musi budzić opory potężnych grup. Może odejście Gowina to efekt tych napięć?

W tym sensie, że ma takie poglądy, tak. Musimy jednak pamiętać, że Polska nie ma wyboru, musi się zmieniać, musi gonić Zachód w standardzie życia rodzin, możliwościach uzyskania mieszkania, możliwości wychowania dzieci. Jeżeli tego nie zrobimy, ruszy kolejna fala emigracji młodych ludzi, co byłoby katastrofą. Na to pozwolić sobie nie możemy. Tym bardziej że rządy obozu Jarosława Kaczyńskiego udowodniły, iż jako kraj mamy zdolności podnoszenia zamożności wielkich grup społecznych. I że wbrew krytykom to gospodarka nie tylko nie osłabia, ale ją rozkręca. To jest także walka o podmiotowość gospodarczą i polityczną, o wyjście z roli, jak nas wielu na Zachodzie, ale i na Wschodzie widzi, tylko montowni czy dostarczyciela taniej siły roboczej. Mówiąc jeszcze prościej, musimy wskoczyć na kolejny poziom rozwoju.

To musi być program tak ambitny?

Tak, bo sytuacja w Europie i na świecie jest dynamiczna. Bruksela ogłasza kolejne plany coraz bardziej radykalnych celów klimatycznych, które mogą spowodować, że nasz dzisiejszy względny dobrobyt za pięć lat będzie biedą. Nie możemy sobie pozwolić na bierność. Być może politycznie po prostu trwanie, w myśl powiedzenia „jedz, pij i popuszczaj pasa”, opłaciłoby się Zjednoczonej Prawicy, ale dla kraju byłaby to ogromna strata.

Pamiętajmy, że w tle jest budowa imperium brukselsko-niemieckiego. Słaba, wyludniająca się Polska nie będzie się w stanie temu przeciwstawić.

Spójrzmy jeszcze na chwilę na sondaże. Na ile dają one Zjednoczonej Prawicy szansę na reelekcję?

Dziś pewnie wynik byłby taki, jak pokazują badania, co niekoniecznie doprowadziłoby do rządów opozycji, ale przyniosłoby albo chaos i brak stabilnej władzy, albo wymuszałoby na Prawie i Sprawiedliwości dogadywanie się z Konfederacją.

O ile im nie jest jednak bliżej do Tuska?

Głosowania w Sejmie na to nie wskazują, w sprawach ideowych jednak zwykle opowiadają się raczej za wartościami konserwatywnymi. Choć to nie jest formacja jednorodna. Gdyby poszli z opozycją liberalną, szybko by zniknęli ze sceny – i chyba to wiedzą. Wracając jednak do sondaży, to można z dużą pewnością założyć, że skuteczne wdrożenie kluczowych założeń Polskiego Ładu znacząco zmieni ten obraz na korzyść Prawa i Sprawiedliwości. Postawiłbym też drugą tezę: że szansą dla PiS jest Donald Tusk.

Bo jego powrót przypomina raczej o źle zapamiętanych rządach PO-PSL?

Tak, bo ta pamięć jest zaskakująco silna. Nawet o kontrowersjach dotyczących rządów Jerzego Buzka zapomniano, wybaczone mu wszystko. A rządy Tuska się pamięta. W każdej istotnej dla Polaków sprawie ma on ma багаż bolesnych dla dużych rzesz społecznych decyzji, zaniechań, błędów. Ale tylko na tę pamięć wielu wyborców liczyć nie należy. To musi być połączone z pozytywnymi zmianami tu i teraz.

Co zatem w opinii pana profesora zdecyduje o wyniku wyborów?

Trzy kwestie. Po pierwsze, skuteczne wdrożenie Polskiego Ładu, czyli sprawy społeczne i gospodarcze, jakość życia, poziom zarobków. Po drugie, kwestia suwerenności. Wielu wyborców dostrzega już, iż jest ona zagrożona. A zwróćmy uwagę, że w żadnej sprawie Donald Tusk nie jest w stanie skrytykować Berlina czy Brukseli, nawet w tak oczywistych z punktu widzenia interesu Polaków, jak kopalnia w Turowie. I trzeci czynnik – sprawy związane z presją ideologiczną na Polskę, z żądaniami, byśmy porzucili chrześcijańskie dziedzictwo, otworzyli drzwi szkół dla tych nowych ideologii. Wokół tych spraw zogniskują się myśli i emocje Polaków w dniu głosowania.

Cała wstecz

Misja Tuska polega na wyeliminowaniu modelu państwa dobrobytu na rzecz kraju klientystycznego oraz rezygnacji z suwerenności na rzecz koncesjonowania

Donald Tusk w wersji z 2007 r. i 2011 r. wiele zmienił. Przede wszystkim wyrzekł się dążeń do podmiotowości w polskiej polityce, ale też wyznaczył granice rozwoju gospodarczego jako całkowicie imitacyjnego, uzależnionego od potrzeb państw, z których pochodził kapitał inwestowany w naszym kraju oraz swobodnie z niego wywożony w postaci zysków, dywidend i optymalizacji podatkowej. Za taki model funkcjonowania i rozwoju Polski była premia w postaci względnej swobody działania wyłącznie w ramach wyznaczonych ram (grzecznego ucznia), czyli zestawu koncesji. W formie włączania w międzynarodowe przedsięwzięcia innych, z których jednak możliwe jest wykluczenie w dowolnym momencie, jak to było w finale rozmów o przyszłości Ukrainy po rosyjskiej agresji, gdy bez Polski powstała tzw. normandzka czwórka. W postaci międzynarodowych karier kilku osób, w tym samego Tuska, niemających jednak dla naszego kraju żadnego praktycznego znaczenia, a wręcz ograniczających nasze możliwości ze względu na postawione warunki, by te stanowiska były dostępne.

Donald Tusk w wersji z lata 2021 r. ma cofnąć wszystko to, co zostało osiągnięte po 2015 r. i było odejściem od akceptowanego powszechnie (od Berlina i Paryża przez Brukselę po Waszyngton) modelu imitacyjnego oraz w pełni koncesjonowanego – od polityki gospodarczej i socjalnej po obronną i międzynarodową. Chodzi nie tylko o cofnięcie, a wręcz o wymazanie tego ze społecznej świadomości. Chyba nikt już nie ma złudzeń, że Tusk chce i musi odejść od zdobyczy socjalnych, od polskiej wersji państwa dobrobytu, mającej różne wady, ale całkiem skutecznej.

Korekty w polityce rządów Prawa i Sprawiedliwości chcieli robić i Grzegorz



STANISŁAW JANECKI

Schetyna, i Borys Budka jako przewodniczący Platformy Obywatelskiej. Donald Tusk chce jednak cofnąć Polskę o jeden cały etap w rozwoju: do liberalnego paradygmatu w polityce wewnętrznej nałożonego na model klientystyczny i do jeszcze bardziej ograniczonej niż przed 2015 r. i w pełni koncesjonowanej polityki zagranicznej, najlepiej tej z lat 1993–1997.

Przywrócenie „normalności”, którym to hasłem operuje Tusk, to właściwie powtórzenie słów ministra spraw zagranicznych Francji Horace’a Sébastiana, wypowiedzianych 16 września 1831 r. przed francuską Izbą Deputowanych, a informujących o zdobyciu Warszawy przez wojska rosyjskie: „Porządek panuje w Warszawie”. Tusk po to wrócił do polskiej polityki, by porządek zapanał w Warszawie. Tym razem nie moskiewski, lecz berlińsko-brukselsko-waszyngtoński. I liberalno-klientystyczny. To wszystko ma być realizowane z wąską zaufaną grupą osób – najwierniejszymi żołnierzami Donalda Tuska.

WIELKI REGRES

„To nie koniec, to dopiero początek wielkiej gry” – mówił Donald Tusk 10 sierpnia br. podczas obrad Rady Krajowej PO. A na początek przygotowano taktykę „zmuszania rządzących do ustępstw”. Tusk uzasadniał to tym, że „obóz władzy jest słaby, zdeorganizowany i chaotyczny”, a „Polski Ład, czyli program, który miał być no-

wym otwarciem dla rządzących, gróźbnie w kłótniach wewnętrznych”. Krajowy Plan Odbudowy, czyli „miliardy unijnej pomocy”, jest zaś w Brukseli blokowany. Do tego dochodzi stojąca u drzwi czwarta fala pandemii i takie incydenty, jak „podpalenie punktu szczepień” mające dowodzić „braku siły woli do rządzenia, umiejętności rozładowania konfliktu”. Niejako wisienką na torcie jest śmiertelna ofiara po interwencji policji w Lubinie.

Na to nałożyły się wielkie naciski z zagranicy (przede wszystkim z USA) w sprawie granic suwerenności w stanowieniu prawa w Polsce, czyli dążenie do



Paweł Graś

tego, by zmusić Polskę do uznania takich projektów, jak nowelizacja Ustawy o radiofonii i telewizji (sprawa poziomu obcego kapitału w mediach) czy Kodeksu postępowania administracyjnego (sprawa dochodzenia praw do upaństwowionego mienia, przede wszystkim pożydowskiego) za niedopuszczalne. Podobne naciski okazały się już skuteczne w sprawie IPN oraz podatku od reklam. W strategii Donalda Tuska niedopuszczalne na poziomie działań ustawodawcy jest wszystko to, co za takie uznają inne państwa czy grupy interesów, a choćby coś na ten temat sugerują. Niedopuszczalne są też oczywiście wszelkie zmiany dotyczące sądownictwa i powinny być cofnięte. Podobnie jak bierność

państwa w prawnym obudowywaniu postulatów środowisk LGBT.

Na razie Donald Tusk nakreślił obraz państwa polskiego jako ruiny, a władzy jako słabych uzurpatorów, żeby u swoich zwolenników wyzwolić ducha walki. Dlatego 10 sierpnia br. mówił: „Ta władza, rząd kukieł, będzie się trzymać pazurami do ostatniego dnia. To chaos, bezradność, tchórzostwo. Ten rząd nadaje się tylko do jednego. Do dymisji. Prędzej czy później do tego doprowadzimy”.

Tusk konsekwentnie zmierza do tego, żeby polski model państwa dobrobytu oraz prowadzący do jego realizacji Polski Ład zniknęły jako program, który ktokolwiek kiedykolwiek miałby realizować. A wcześniejsze osiągnięcia w po-

staci ogromnych transferów społecznych (ponad 150 mld zł tylko na program 500+) powinny być cofnięte. Formalnie z tego powodu, że nie ma na nie środków w budżecie (tłumaczenie jest takie, że rząd PiS je wypłaca, zadłużając się i drukując pieniądze, czyli szkodząc), a poza tym nie spełniły swojego zadania. I jest to oczywiście szkodliwe rozdawnictwo, które kobiety wypycha z rynku pracy, u nieradzących sobie pogłębia wyuczoną bezradność, uzależnia od pomocy państwa, a dla przedsiębiorców skutkuje podwyżkami podatków, czyli niszczy klasę średnią.

Otwarcie nikt nie powie, że wszystkie zdobycze społeczne, z 500+ na czele, trzeba cofnąć, gdyby Donald Tusk znowu miał wpływ na rządzenie, ale wtedy się okaże, że obiektywnie nie ma na to pieniędzy. I to nie ma ich dramatycznie. Chodzi o to, żeby wycofać się z polskiego modelu państwa dobrobytu, powszechny udział w dzieleniu owoców wzrostu i rozwoju niewłaściwie bowiem upolitycznia społeczeństwo. Miało być tak, że ludzie, którym się lepiej powodzi albo wreszcie zapewnili sobie jakieś bezpieczeństwo ekonomiczne i społeczne, są dużo bardziej aktywni obywatelsko. I tak się faktycznie stało (rekordowe pod względem frekwencji były wszystkie rodzaje wyborów w czasie rządów PiS po 2015 r.). Ale te aktywne grupy zaczęły głosować „niesłusznie”, czyli przy rekordowej frekwencji zapewniać rekordowe zwycięstwa PiS. Większa frekwencja miała działać na korzyść PO i spółki, ale nie zadziałała, dlatego z punktu widzenia opozycji podniesienie poziomu zamożności Polaków okazało się nieopłacalne, a wręcz szkodliwe. I to jest chyba główny powód, żeby te wszystkie zdobycze cofnąć i przywrócić model klientystyczny, w którym wyborca jest bezpośrednio uzależniony od łaskawości władzy.

Ale powrót Tuska to nie jest tylko przywrócenie tego, co było. To ma być przede wszystkim zabezpieczenie przed tym, żeby już nigdy takie ugrupowanie jak PiS nie rządziło, i żeby nikt nie realizował w Polsce żadnego modelu państwa dobrobytu. Państwo koncesjonowane w sprawach suwerenności (także gospodarczej),

*Najbliżsi
współpracownicy
Donalda Tuska*

Igor Ostachowicz

Paweł Wojtunik

obronności i polityki zagranicznej jest w tym kontekście oczywistą oczywistością. Taki jest zasadniczy sens powrotu Tuska. Taki jest sens przywrócenia w Polsce „normalności”.

ŻOŁNIERZE TUSKA

Choć może się to wydawać nieadekwatne i przesadne, ale to, co się dzieje obecnie w Polsce, przypomina zamach na reformy Sejmu Wielkiego (1788–1792). Na wielki program modernizacyjny państwa, którym współcześnie jest Polski Ład. Moment jest tak samo dobrze wybrany, jak w końcu XVIII w. Dlatego tylko nieliczni mają świadomość, o co toczy się gra, natomiast większość działaczy PO, usługujących Tuskiemu mediów oraz wspierających go tzw. autorytetów, jest tylko uczestnikami wielkiej ściemy i równie wielkiej manipulacji. Tusk może instrumentalnie wykorzystywać Borysa Budkę, Tomasza Siemoniaka, Bartosza Arłukowicza, Roberta Kropiwnickiego, Jacka Protasa, Zdzisława Gawlika, Aleksandra Miszańskiego czy nawet Radosława Sikorskiego, ale przecież (znając ich wady) nie dzieli się z nimi informacjami, jaki jest ostateczny cel jego powrotu. Choćby dlatego, że wielu (np. z próżności) nie byłoby w stanie powstrzymać się przed ujawnieniem właściwych celów.

Dlatego Donald Tusk ma pełne zaufanie zaledwie do pięciu osób. I to ta wąska grupa ściśle z nim współpracuje, a pozostałymi tylko się posługuje. Świadomy wielu spraw, choć niekoniecznie ogarniający ich pełny sens, jest najwierniejszy od lat przyboczny byłego premiera i przewodniczącego Rady Europejskiej, czyli Paweł Graś. Świadomy jest, nadal w różnej formie pomagający swemu dawnemu patronowi, Igor Ostachowicz (nieoficjalnie, bo nie może się angażować jako aktywny w biznesie). Podróż po kraju z jedynym celem, jakim jest atakowanie PiS (przede wszystkim z oskarżeniami o bycie w polityce dla pieniędzy) wymyślić miał sam Donald Tusk, ale już spotkania typu Q&A – Igor Ostachowicz. Głównie po to, żeby przewencyjnie rozbrajać niewygodne tematy.

Z tego, o co chodzi w operacji z Tuskiem, zdaje sobie zapewne sprawę Anne Applebaum, żona Radosława Sikorskiego, z której zdaniem Tusk się liczy, choć samego Sikorskiego traktuje jak hegłowskiego kamerdyniera. Tym wyraźniej, im bardziej Sikorski się stara, ale liczą się przede wszystkim jego zagraniczne kontakty towarzyskie (jeszcze bardziej liczą się w tym przypadku Applebaum). I jego mentorzy, i stali rozmówcy, czyli były premier Jan Krzysztof Bielecki oraz przyjaciel z czasów KLD i „Przeglądu Politycznego” Wojciech Duda. Użyteczny pod wieloma względami dla Donalda Tuska jest były szef CBA Paweł Wojtunik. Ktoś taki jak Wojtunik jest potrzebny do rozbijania min przy wykorzystaniu wiedzy i kontaktów z czasów służby w CBS i CBA.

Powrót Donalda Tuska to nie tylko przywrócenie tego, co było. To ma być przede wszystkim zabezpieczenie przed tym, żeby takie ugrupowanie jak Prawo i Sprawiedliwość już nigdy nie rządziło

I to Wojtunik miał ostrzegać o interesach Sławomira Nowaka, tym bardziej że sam miał kontakty z niektórymi zaufanymi ludźmi byłego ministra.

Do ściśle grona współpracowników Tuska należą zaufane i oddane urzędniczki: Emilia Surowska i Beata Turska, pomocne zarówno, gdy był szefem Rady Europejskiej, jak i w strukturach Europejskiej Partii Ludowej. Tusk liczy się też ze zdaniem socjologa prof. Mikołaja Cześnika, członka zarządu Fundacji Stefana Batorego. Bardzo ważnymi sprzymierzeńcami i guru Donalda Tuska są sędzia TSUE prof. Marek Safjan oraz sędzia ETPC prof. Krzysztof Wojtyczek, mający wiedzę o tym, co jest możliwe w europejskich sądach i trybunałach, ale też odpowiednie międzynarodowe

kontakty. Ważną rolę łącznika z wpływowymi środowiskami prawniczymi na świecie odgrywa natomiast prof. Wojciech Sadurski.

Różne osoby z zarządu Platformy Donald Tusk wykorzystuje tylko doraźnie. Po latach pracy w Brukseli ekipa Tuska jest bardzo nieliczna, a z grona polityków w pełni dyspozycyjni i użyteczni są jedynie europosłowie Radosław Sikorski i Bartosz Arłukowicz. Natomiast Borysa Budkę nowy stary lider PO uważa za zbyt miękkiego i mało bezwzględного. Tusk może też liczyć na Věře Jourovą, Didierę Reyndersa czy Fransa Timmermansa w instytucjach UE oraz na Manfreda Webera we frakcji EPL.

Nie wydaje się możliwe, żeby decyzję o powrocie i celach tej operacji podjął bez konsultacji ze swoją największą promotorką, kanclerz Niemiec Angelą Merkel. Nie jest jasne, czy konsultował się także z obecnym szefem CDU Arminem Laschetem, czy ten został tylko poinformowany o najważniejszych sprawach przez Merkel. Tylko ktoś naiwny mógłby sądzić, że przywróceniem w Polsce „normalności” nie są zainteresowani najważniejsi gracze w Unii Europejskiej. Tym bardziej że ta „normalność” oznacza dla nich (a przede wszystkim dla firm z ich krajów) przywrócenie wielu utraconych w Polsce zasobów i zysków. Tu chodzi o setki miliardów euro w dłuższej perspektywie, więc gra jest absolutnie warta świeczki.

I oczywiście nie można zapominać o aktywach medialnych, na które Donald Tusk może liczyć. W kraju chodzi przede wszystkim o TVN, „Gazetę Wyborczą”, „Politykę”, Onet, OKO Press, za granicą o liberalno-lewicowe media amerykańskie (z CNN i „Washington Post” na czele) oraz o media głównie z Niemiec, Francji, Belgii, Hiszpanii i Wielkiej Brytanii. Aż takie zaangażowanie sił i środków wynika z wagi misji Donalda Tuska. Ta misja to próba przedstawienia Polski w europejskiej i światowej konfiguracji, cofnięcie o epokę, a może nawet dwie w rozwoju, ostateczne wyeliminowanie modelu państwa dobrobytu na rzecz klientystycznego oraz rezygnacja z suwerenności na rzecz koncesjonowania. Wtedy porządek zapanuje w Warszawie.



Fueling digital transformation

We deliver on the promise of technology and human ingenuity

Accenture jest globalną firmą, świadczącą profesjonalne usługi w zakresie technologii cyfrowych, chmury obliczeniowej i bezpieczeństwa. Dzięki doświadczeniu i specjalistycznej wiedzy naszych ekspertów z ponad 40. branż oferujemy usługi w obszarach: Strategy & Consulting, Interactive, Technology i Operations.

Macierzyństwo nie jest udręką, tylko niewłaściwa damsko-męska relacja. Nowe życie to skarb. Jednak gdy kobieta tkwi w niewłaściwej relacji, to rodzicielstwo uwypukli, obnaży tę złą sytuację

Donald Tusk obraził polskie matki

Z dr. **Piotrem Wołochowiczem**, dyrektorem Fundacji Misja Służby Rodzinie oraz autorem książek (w tym najnowszej „Mamo, zostań ze mną w domu”), rozmawia Dorota Łosiewicz

Kto w Polsce nie szanuje pracy mam?

Piotr Wołochowicz: Ludzie, którzy są zdominowani przez współczesną postmodernistyczną wizję świata. Jest ona egoistyczna: każdy ma się troszczyć wyłącznie o siebie, walczyć o swoją wygodę, o własne prawa, nie patrząc na to, że mogą one naruszać prawa innych. Przy takim podejściu miarą sukcesu człowieka jest jego kariera zawodowa i bogactwo, a dziecko staje się problemem. W takiej koncepcji świata mamę, która wychowuje dziecko, decyduje się z nim zostać w domu, widzi się jako ko-

gość bezproduktywnego, pozbawionego wartości.

Czy to przeważająca w społeczeństwie opinia o matkach?

Są ludzie, którzy naprawdę doceniają to, jak ważna jest rola matki w domu, że miłość i wysiłek dany dzieciom jest budowaniem samych fundamentów społeczeństwa, kształtowaniem nowych ludzi, którzy będą stabilni, godni zaufania, zdolni do poświęcenia dla innych. Obok tego niestety jednak wciąż pokutuje opinia, że ta matka „siedzi

w domu z dziećmi”, podczas gdy tak naprawdę ona prowadzi dom i wychowuje nowego człowieka, będąc z nim całą dobę przez siedem dni. Niejeden mąż przestał tak myśleć o swojej żonie, gdy przez kilka dni musiał zostać sam z dziećmi. Jest jeszcze trzecia kategoria, kiedy na kobietę patrzy się, że ona marnuje karierę zawodową. Ci ludzie nie rozumieją, że dla takiej matki teraz jest „sezon” na małe dzieci i ten czas niedługo się skończy – a wtedy będzie mogła wrócić do pracy. Na marginesie dodajmy, że bycie pełnoetatową matką

rozwija kobietę i potem ona może być lepszym pracownikiem. O tym i innych ważnych aspektach pisze Jill Savage w książce „Mama – najlepszy zawód na świecie”.

Często słowa pogardy wobec mam wychowujących dzieci padają z ust tzw. feministek. Dlaczego?

Początki ruchu feministycznego wynikały z tego, że kobiety były pozbawione części praw czy możliwości. Jednak pierwsze feministki były przeciwniczkami aborcji, a dzisiejsze mówią o niej jako o prawie kobiety. To marksistowski model walki klas przeniesiony na sferę płci. Niezależna kobieta musi się realizować. Skąd jednak ta nienawiść do zwykłych kobiet? Podejrzewam, że feministki wychowane w duchu walki klas po prostu zazdroszczą im szczęśliwego, normalnego życia z mężem, dziećmi. Szczęśliwe kobiety, żyjące według tradycyjnego modelu, zadają kłam tezie, że nie może być szczęśliwy ten, kto nie dąży do realizacji feministycznych ideałów. Stąd niechęć, nienawiść, obrażanie konserwatystek. Możliwe, że niektóre feministki mają złe doświadczenia z mężczyznami, jednak obrażanie kobiet, których doświadczenia są skrajnie odmienne, do niczego nie prowadzi. Najlepiej byłoby nawiązać relację z mężczyzną godnym zaufania, który nikogo nie będzie krzywdził.

Jak rozumieć słowa Donalda Tuska o macierzyństwie jako udręce? Były premier tłumaczył, że wynikały one z troski o kobiety, które doznały krzywdy właśnie.

Macierzyństwo nie jest udręką, tylko niewłaściwa damsko-męska relacja. Jeśli mężczyzna krzywdzi kobietę, to oczywiście taka relacja może być dla niej udręką. Jednak pojawienie się dziecka nie jest samo w sobie udręką. Nowe życie to skarb. Z kolei gdy kobieta tkwi w niewłaściwej relacji, to rodzicielstwo uwypukli, obnaży tę złą sytuację. Słowa byłego premiera były jak kulą w plot, były wręcz obrazą dla tysięcy zaangażowanych matek szczęśliwie wychowujących dzieci i dlatego poniosły się takim echem. To była obraza macierzyństwa i wychowania.

Czy programy socjalne, w tym 500+, coś zmieniły w podejściu do rodziny, macierzyństwa?

500+ to świetna sprawa. O ponad 90 proc. zmniejszyła się strefa ubóstwa, rodziny mogą żyć bardziej godnie. Część matek mogła zostać w domu bez groźby popadnięcia rodziny w nędzę. Planowany Rodzinny Kapitał Opiekuńczy to też dobry pomysł. Szkoda jedynie, że program Maluch+ wsparł rozwój żłobków, klubów dziecięcych i miejsc u dziennych opiekunów – ale nie matki, które chciałyby zostać w domu.

Te matki wsparł program 500+, wraz z pieniędzmi dając kobietom wybór, jak te środki spożytkować. Poza tym rosnąca liczba żłobków to chyba dobra wiadomość.

To fatalna wiadomość, że coraz więcej dzieci jest codziennie odrywanych od matek i zabieranych ze swoich domów! Oddawanie dziecka do żłobka w pierwszych trzech latach życia jest nienaturalnym, sztucznym zjawiskiem, wynikającym z polityki, gospodarki i nacisków feministycznych, ale nie z obiektywnego dobra dzieci. W roku 2018 z inicjatywy Związku Dużych Rodzin powstał „List otwarty w sprawie opieki nad dziećmi do lat 3” – skierowany do premiera, posłów i senatorów, podpisany przez 50 lekarzy i psychologów polskich. Zwracają oni uwagę, że polityka aktywizacji zawodowej matek małych dzieci prowadzi do szkód w procesie wychowawczym. Współczesna wiedza pedagogiczna, psy-

chologiczna, neuropsychologiczna i medyczna, oparta na wynikach wielu badań naukowych, nie pozostawia wątpliwości, iż narażenie dziecka, zwłaszcza w pierwszych latach życia, na działanie niekorzystnych dla rozwoju czynników skutkuje trwałymi, często nieodwracalnymi, trudnościami w jego przyszłym funkcjonowaniu, a także w jego zdrowiu (w tym psychicznym). W rozwoju dziecka do lat trzech kluczową rolę gra przywiązanie do matki, a także do ojca. Bezpieczna więź z bliską, znaną i kochaną dorosłą osobą stanowi fundament dla poczucia wartości, obrazu siebie i świata, kształtowania zainteresowania otoczeniem, gotowości do uczenia się i późniejszego wchodzenia w życie społeczne i kształtowania własnych relacji rodzinnych w dorosłości. Dlatego państwo powinno faworyzować samodzielną opiekę rodziców nad najmłodszymi dziećmi, a nie oddawanie ich do żłobka. Małutkie dziecko potrzebuje przede wszystkim obecności matki, jej pełnej miłości i psychicznego zrozumienia.

Jednak z licznych badań wynika, że wraz ze zwiększoną opieką instytucjonalną państwa wzrasta dzietność.

Moim zdaniem, gdyby te same pieniądze, które idą na żłobki, dać rodzinom do ręki, to wówczas miałyby one jeszcze więcej dzieci.

Napisał pan książkę „Mamo, zostań ze mną w domu”, która ma przekonać kobiety, że warto poświęcić się wychowaniu. Dlaczego warto?

Bo wszyscy na tym korzystają. Przede wszystkim korzysta dziecko, bo jest lepiej wychowywane, lepiej się rozwija psychofizycznie, żyje w poczuciu bezpieczeństwa i rzadziej choruje dzięki unikaniu zbiorowisk w placówce wychowawczej. Korzysta żona, która nie jest wykończona dwoma etatami, może się spokojnie poświęcić trosce o dziecko i prowadzeniu domu. Są też korzyści dla męża, bo żona ma więcej czasu i siły, aby zadbać także o niego i małżeńską miłość. Wreszcie sprawa atmosfery w domu – spokojniejsze życie, mniej stresu, tańsze prowadzenie gospodarstwa. No i w efekcie korzysta też całe społeczeństwo. Christa Meves, wybitna niemiecka psychoterapeutka dzieci



i młodzieży, pisze: „Jedynie ignoranci mogą zaprzeczać ewidentnemu znaczeniu dla społeczeństwa postaci gospodyni domowej, macierzyńskiej, obecnej przy dzieciach na stałe”. Piszę też o tym, że dzieci, których mamy opiekowały się nimi intensywnie w pierwszych latach życia, poświęcając im sporo uwagi, mają zwiększony obszar mózgu zwany hipokampem (część odpowiadająca za pamięć, emocje i umiejętność radzenia sobie ze stresem). Wpływa to decydująco na późniejszą zwiększoną zdolność uczenia się w wieku szkolnym i odporność psychiczną w dorosłych latach życia. Dlatego główna nagroda za bycie z małymi dziećmi w domu przychodzi po 20 latach. Ja i moja żona Mariola tego doświadczaliśmy!

Uważa pan więc, że nie da się godzić pracy zawodowej i macierzyństwa?

Oczywiście, że kobieta może w pewnej mierze łączyć pracę zawodową z macierzyństwem, ale tylko jeśli dobro dziecka pozostanie na pierwszym miejscu. Ja i moja śp. żona Mariola zaczęliśmy prowadzić Fundację Misja Służby Rodzinie, gdy najmłodszy syn miał cztery lata. Byliśmy aktywni społecznie, współzakładaliśmy Stowarzyszenie na rzecz Naturalnego Rodzenia i Karmienia, byliśmy mocno zaangażowani w Kościele. Jednak granicę naszej aktywności wyznaczała decyzja, że nasze dzieci będą z nami w domu do chwili pójścia do szkolnej zerówki.

Wiele mam radzi sobie, łącząc pracę zawodową z wychowaniem dzieci. Pana słowa mogą je wpędzić w poczucie winy, a kobiety wciąż są poddawane presji i mają wyrzuty sumienia bez względu na to, jaką decyzję podejmą.

Wydaje mi się, że zewnętrzna presja na mamy dotyczy bardziej sytuacji, kiedy ona zostaje w domu z dziećmi. Potrzeba więc doceniać wartość pracy matki prowadzącej dom. Natomiast jeśli mama poszła do pracy, to tęskni za dzieckiem i raczej jej własne sumienie jest niespokojne, czy dobrze zrobiła. Wtedy szczególnie potrzebuje pomocy, by zweryfi-

kować, czy można jednak znaleźć inne rozwiązanie. A już w ostateczności na czas, gdy jej nie ma, zapewnić dziecku opiekę w domu. Wtedy nie pozbawia się go beztróskiego dzieciństwa: zostaje w swoim znanym mu środowisku, może się wysypiać i bawić, nie musi koniecz- nie gdzieś wychodzić na określoną porę. O takich możliwych wariantach piszę w książce.

Państwo powinno faworyzować samodzielną opiekę rodziców nad najmłodszymi dziećmi, nie zaś oddawanie ich do żłobka. Malutkie dziecko potrzebuje przede wszystkim obecności matki, jej pełnej miłości i psychicznego zrozumienia

Dziecko ma (przeważnie) dwoje rodziców, którzy mogą się dzielić obowiązkami.

Tak, my też się dzieliliśmy obowiązkami. Był rok, gdy obydwoje pracowaliśmy na pół etatu, wymieniając się w domu. Naszym celem było takie ustawienie pracy zawodowej, by nie oddawać dzieci pod opiekę instytucjonalną do czasu ich pójścia do zerówki.

Czy nie jest tak, że matkom najbardziej pomogłoby wsparcie w podjętej decyzji?

Powiedziałbym, że nie tyle wsparcie każdej decyzji, ile przede wszystkim pomoc w podjęciu decyzji dobrej. Czyli w poważnym rozważeniu konsekwencji tak/nie co do oddania dziecka do placówki (opisuję to szeroko w mojej książce). Wiele takich decyzji jest podejmowanych z motywacji błędnych lub niemerytorycznych. To może być naśladownictwo (wszyscy tak robią), poczucie, że „fachowcy” nauczą dziecko tego, czego rodzic nie umie (a dziecko potrzebuje harmonijnego rozwoju osobowości, a nie wyścigu szczurów od najmłodszych lat), chęć, aby mieć w domu lże-

z młodszym dzieckiem. A często nie zdają sobie sprawy z zagrożeń, przed jakimi stanie dziecko. Współczesna cywilizacja propaguje ideę zwaną wychowaniem społecznym. Jest to przekonanie, że najlepiej wychowywać dzieci potrafi ktoś inny niż rodzice, dlatego jak najszybciej trzeba je oddać pod opiekę do placówki. Matkom wmawia się, że nie są kompetentne, by dobrze wychować swoje dzieci. Mentalność wychowania społecznego traktowana jest przez elity intelektualne wręcz jako znak postępu. Absurd! Jednym z olbrzymich nieporozumień jest sprawa tzw. socjalizacji. Oddawanie dziecka w tym celu do grupy rówieśniczej w przedszkolu powoduje socjalizację zniekształconą. A kiedy dziecko jest w domu, rodzice mogą zapewnić mu odpowiednie kontakty z innymi dziećmi. Na ogół też nie zauważa się, że posłanie dziecka do przedszkola i pójście matki do pracy realnie zwiększa koszty prowadzenia domu, a bycie w domu pomaga żyć bardziej oszczędnie. Zresztą w dzisiejszych czasach wiele matek w razie konieczności może coś dorobić bez wychodzenia z domu.

Gdy to kobieta decyduje się zostać z dzieckiem, mężczyzna może się czuć zwolniony z obowiązku współuczestniczenia w wychowaniu i prowadzeniu domu.

Rola mężczyzny jest kolosalna! Mąż ze swej strony powinien żonę zachęcać, doceniać i motywować pozytywnie w jej roli pozostawania w domu z dziećmi. Bez jego pełnej akceptacji presja zewnętrznego środowiska może być ponad jej siły. Niech będzie głównym lobbystą w sprawie pozostawania żony w domu z dziećmi. Poza tym może zrobić wiele, aby na co dzień żonie było łatwiej zmierzyć się z tym zadaniem. Ja sam pomagałem Mariolce w domu i przy dzieciach, ile tylko mogłem. A owoce jej pracy widziałem i wtedy, i kiedy nasze dzieci dorastały, i teraz, kiedy są już 30+! A wyrosły na wspaniałych, mądrych, kierujących się dobrymi wartościami ludzi. Idą w nasze ślady: moje obie synowe pozostały z dziećmi w domu – zaznaczam, że przy pełnym poparciu swoich mężów!



Forum
Wizja
Rozwoju



IV edycja
Gdynia 26 - 27.08.2021 r.

Patronat honorowy Prezesa Rady Ministrów



Honorowy patronat
Prezesa Rady Ministrów
Mateusza Morawieckiego

Partner Generalny



Partner Strategiczny



Partner główny



II Pomorskie Forum Kół Gospodyń Wiejskich | Partner



Hackathon | Partner





Teoria złych zastrzyków

Zakładają wojskowe mundury i tworzą struktury. Kiedy spłonął mobilny punkt szczepień, radykalni antyszczepionkowcy przestali być traktowani jak folklor i zostali uznani za zagrożenie terrorystyczne



MAJA NARBUTT

Ci ludzie mają poczucie misji. To taki rodzaj mesjanizmu. Chcą ocalić innych od zagrożenia, jakim według nich są szczepionki przeciw COVID-19. Uważają, że dysponują wiedzą, której inni nie mają, więc będą działać nawet wbrew ich woli. Cena nie gra roli. I to jest niebezpieczne – mówi mi dr hab. Grzegorz Gudzbeler z Katedry Bezpieczeństwa Wewnętrznego UW.

Dla wyznawców teorii spiskowych pandemia jest manną z nieba. Dotychczas tkwili w niszy, snując opowieści o globalnych spiskach i zakulisowych działaniach mających na celu depopulację i kontrolę ludności. Jednak brakowało realnych przesłanek, które mogłyby uzasadniać

te teorie. Nikt nie chciał im wszczepić czipów ani poddawać restrykcjom. Gdy pojawiła się szczepionka, te lęki można było uzasadnić. I przekazać innym, którzy dotychczas nie zajmowali się teoriami spiskowymi.

– Na to wszystko nakłada się brak autorytetów i zaufania do polityków oraz coraz powszechniejsza totalna negacja nauki. Gdy nastroje społeczne są rozchwiane, z szansy wybicia się na popularność korzystają ludzie, którzy dla odwołania na YouTube powiedzą wszystko, nawet to, że będą strzelać do tych, którzy zechcą ich zaszczepić – mówi Grzegorz Gudzbeler.

To znana prawidłowość, o której wiedzą socjolodzy i specjaliści od spraw bezpieczeństwa. Do wszystkich ekstremizmów lgną ludzie sfrustrowani, niespełnieni, chcący znaleźć cel w życiu lub choćby swoich wyznawców

Kiedy guru antyszczepionkowców może się stać piosenkarz, który okres świetności ma poza sobą, aktorka, fry-

zjer czy trener fitnessu, pokusa jest duża. Duże jest także niebezpieczeństwo, że ktoś zbyt poważnie potraktuje wezwania do antyszczepionkowego oporu.

– Mówi się o „samotnych wilkach”, czyli ludziach, którzy nasiąkają ideologią radykalnego islamu i na własną rękę, nie należąc do żadnych struktur, przeprowadzają zamachy terrorystyczne. W tym wypadku wolę mówić o „samotnych kundlach”. Zainspirują się ideologią antyszczepionkową i podejmą działania, które będą przestępstwem. Czują się mścicielami biorącymi odwet – mówi mi dr hab. Daniel Boćkowski, ekspert ds. bezpieczeństwa z Instytutu Socjologii Uniwersytetu w Białymstoku.

Do tej pory nie wiadomo, kto w nocy 2 sierpnia podpalił budynek sanepidu i mobilny punkt szczepień w Zamościu.

Eksperci, z którymi rozmawiam, są zgodni – na nagraniu z kamer widać samotnego mężczyznę, ale raczej miał on wsparcie innych. – Idzie zbyt spokojnie, nie patrzy na boki. Zdecydowanie ktoś



Do tej pory nie wiadomo, kto w nocy 2 sierpnia podpalił budynek sanepidu i mobilny punkt szczepień w Zamościu

go ubezpieczał. Ale kiedy nie widać fragmentu ucha czy nie ma odcisków w policyjnej bazie danych, identyfikacja jest trudna. Choć oczywiście zawsze w podobnych wypadkach zgłaszają się ludzie, którzy twierdzą, że wiedzą, kto jest na nagraniu, ale z reguły są to teściowie zgłaszający nieulubianego zięcia – mówi mi policyjny ekspert.

Minister zdrowia oświadczył, że mieliśmy do czynienia z aktem terroru i wyznaczył nagrodę za wskazanie sprawcy. Pracownicy ochrony zdrowia zaangażowani w akcję szczepień zostali zaś objęci ochroną prawną, jaką mają funkcjonariusze państwowi. Oznacza to, że każdy akt agresji wobec nich będzie karany bardzo surowo.

INTYMNE PYTANIE

– Ludziom puszcza nerwy. Nie wytrzymują sytuacji, w której bezprawnie zmusza się ich do szczepień. Różne incydenty będą coraz częstsze w miarę, jak rośnie presja, by się szczepić – mówi Justyna Socha, liderka ruchu antyszczepionkowego STOP NOP, która została asystentką społeczną posła Konfederacji Grzegorza Brauna.

Jej wiara, że szczepienia przeciw COVID-19 są złem, jest niezachwiana. Podobnie jak przekonanie, że założenie maseczki powoduje fatalne skutki dla zdrowia.

– Jak można w ogóle mówić, że powinno się zaszczepić, by nie zagrażać innym? Albo żeby założyć maseczkę po to, by chronić innych? To co dalej? Mam oddać komuś nerkę lub jakieś inne organy, bo ktoś ich potrzebuje? Tego się będzie od nas wymagać? – denerwuje się Socha.

Przymus szczepień, na który skarżą się antyszczepionkowcy, w tej chwili nie istnieje. Polska nie przyjęła modelu francuskiego, który zakłada, że osoby niezaszczepione nie mają wstępu do centrów handlowych, restauracji, barów, muzeów.

Ale polscy antyszczepionkowcy bardzo rozszerzyli pojęcie przymusu: przejawem presji jest nawet pytanie, czy ktoś jest zaszczepiony.

– Takiego pytania w ogóle nie można zadawać. To wrażliwe dane medyczne. Skandaliczne jest też to, że do osób niezaszczepionych są wykonywane telefony i namawia się je do szczepień. Oznacza to, że dane o osobach szczepionych są przetwarzane. Składamy więc skargę na ministra zdrowia Adama Niedzielskiego do Urzędu Ochrony Danych Osobowych – mówi Socha.

Jeśli więc ktoś się spodziewa, że antyszczepionkowiec na pytanie, czy jest zaszczepiony, odpowie dumnie: „Nie, nie jestem i nie zamierzam się szczepić”, jest w błędzie. Najbardziej zaangażowani antyszczepionkowcy z reguły źle reagują na to pytanie, twierdząc, że narusza ich prywatność i dotyczy spraw intymnych.

Ich wspólną cechą jest też to, że uważają, iż społeczeństwo nie ma dostępu do informacji – tych prawdziwych – dotyczących COVID-19 i pandemii. Trudno uwierzyć, że w dobie internetu jest to możliwe.

– Mamy do czynienia z zupełnie wyjątkową sytuacją, której dotąd nie znaliśmy. Pandemia koronawirusa nastąpiła w erze globalnej informacji. Można się zastanawiać, co by się działo, gdyby w momencie, gdy pojawiło się AIDS, funkcjonował współczesny internet, jakie teorie

spiskowe by się szerzyły. Jednak dopiero teraz możliwy jest wręcz nieograniczony przepływ informacji, przedstawianie najbardziej skrajnych poglądów oraz odszukiwanie się i łączenie w grupy ludzi o zbliżonych przekonaniach – podkreśla dr hab. Daniel Boćkowski.

Nie trzeba specjalnie szukać: portale internetowe, gazety i telewizje oferujące alternatywne teorie na temat koronawirusa mają olbrzymie zasięgi. Wypowiadają się w nich sceptycy wobec oficjalnej wiedzy lekarzy – najczęściej przedstawiciele medycyny alternatywnej, czyli alt-medu, którzy przedstawiają się jako jedyni niezależni od koncernów farmaceutycznych i skorumpowanych instytucji, oraz samowznający eksperci.

Antyszczepionkowcy niekiedy twierdzą, że uniemożliwia się im debatę – problem polega jednak na tym, że święcie wierzą, iż mają monopol na prawdę i nie są skłonni do jakichkolwiek ustępstw. Kiedy pyta się radykalnego antyszczepionkowca, czy zgodziłby się nosić maseczkę przez kilka minut podczas zakupów w sklepie dla psychicznego komfortu innych klientów, odpowiedź jest jedna i stanowcza: „Nie”. Nie założy „kagańca” nawet na chwilę. I nie podda się żadnym restrykcjom, które „niszczą jego życie, zdrowie, mienie”.

HAMUJESZ REWOLUCJĘ

– Nie jestem najbardziej radykalna. To przecież ja, z megafonem w rękę, ruszyłam na pomoc grupie 20 policjantów, otoczonej przez tłum na jednym z marszów wolności przeciw restrykcjom covidowym. Nawet spotkałam się wtedy z zarzutami: „Justyna, hamujesz rewolucję” – mówi Socha.

Oficjalnie środowisko antyszczepionkowców odżegnuje się od przemocy. Twierdzi też, że za takie akty odpowiadają prowokatorzy. W mniej lub bardziej zawołowany sposób antyszczepionkowcy sugerują, że za prowokacjami mogą stać ci, którym zależy, by postawić ich w złym świetle, czyli władze.

Ta teoria ma słaby punkt – bo przecież sami antyszczepionkowcy chlubią się swoimi akcjami i wrzucają filmowe relacje do internetu.

Problem polega na tym, że tak jak zmienili definicję presji, uznając za nią pyta-

nie o to, czy są zaszczepieni, tak samo też zmieniają pojęcie przemocy.

Zgodnie z ich wyobrażeniami przymocą nie jest np. osaczenie ministra zdrowia przed blokiem i gonienie go aż do windy czy wtargnięcie na piknik laktacyjny albo do placówek, w których się szczepi, czy nawet do szpitala.

– Te same osoby, które uważają, że skłanianie ich do szczepienia jest niekonstytucyjne, nie mają problemu z łamaniem czyjegóż konstytucyjnego prawa do korzystania z opieki zdrowotnej poprzez utrudnianie im szczepień – podkreśla socjolog dr hab. Łukasz Afeltowicz, wykładowca AGH w Krakowie.

To jedna z wielu niekonsekwencji radykalnych antyszczepionkowców. Można ich uznać za osoby, które wprawdzie mówią o konstytucyjnych prawach, ale tak naprawdę są zdecydowanie antysystemowe.

– Jeśli minister obrony Mariusz Błaszczak spełni swoją zapowiedź o karaniu osób, które samowolnie wkładają mundury wojskowe, to z pewnością od razu taki mundur założę – deklaruje Justyna Socha.

Wraz z grupą kilkudziesięciu osób ubranych w mundury wojskowe z antyszczepionkowej grupy Pancerni Poznań pojawiła się przed poznańskim Szpitalem Ginekologiczno-Położniczym, gdzie odbywał się tzw. piknik laktacyjny dla rodziców spodziewających się dziecka. Rozpoczęła się tam akcja szczepień, do której oczywiście w poczuciu misji antyszczepionkowcy usiłowali zniechęcić zebranych.

MUNDUR JAK KOSTIUM

– Ludzie, którzy nie mają uprawnień do noszenia wojskowego munduru, równie dobrze mogliby założyć kostium pirata i udawać, że są piratami. To, że wkładają mundur kupiony w sklepie sprzedającym rzeczy z demobilu, nie ma najmniejszego prawnego znaczenia. Ale oczywiście ma znaczenie psychologiczne – mówi dr hab. Grzegorz Gudzbeler.

Wkładając mundury, członkowie grup antyszczepionkowych chcą wysłać jasny przekaz – oto jesteśmy, my patrioci, silni, zwarci i gotowi, będziemy bronić kraju i jego obywateli przed szczepionkowymi siłami zła. Takich grup najwięcej jest

w Wielkopolsce i wygląda na to, że wręcz ze sobą rywalizują.

– Włożenie mundurów przez jakąś nieformalną grupę wzmacnia jej członków mentalnie. Ma pokazać, że są silni, są razem, wyznają wspólne wartości, jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Mobilizuje, a także zaspokaja potrzebę uwagi, bo przecież człowiek w mundurze przyciąga uwagę – podkreśla Grzegorz Gudzbeler.

Ale noszenie mundurów przez ugrupowania, które nie mają do tego prawa, jest niebezpieczne społecznie. Dezorientuje innych ludzi – mogą uwierzyć, że to wojsko wkracza na teren punktów szczepień, a zbuntowani wojskowi stoją na demonstracjach pod transparentami z przekreślonymi portretami członków rządu.

W internecie pojawił się filmik, w którym policjant ściera się z mężczyzną w wojskowym mundurze. Są pod nim komentarze, że wojsko już buntuje się przeciw antycovidowym restrykcjom i szczepieniom.

Ten schemat może się powtarzać i kreować fake newsy krążące poza oficjalnym obiegiem, co z pewnością będzie działać destabilizująco.

W JEDNYM WORKU

– Tych, którzy łamią prawo, trzeba identyfikować, stawiać przed sądem i karać. Osobiście dziwię się, że nie zawsze tak się dzieje. Jednocześnie nie można stawiać znaku równości między terrorystami a tymi, którzy nie chcą się zaszczepić, bo mają obawy przed przyjęciem preparatu. To niedopuszczalne i karygodne. Warto pamiętać, że wątpliwości ma dziś kilkanaście milionów Polaków. Politycy nie powinni nazywać ich antyszczepionkowcami, a dalej zrównywać z terrorystami, bo to absurd i manipulacja – uważa Anna Maria Siarkowska, posłanka PiS.

Jest też przewodniczącą sejmowej komisji ds. sanitarnego, którym to terminem przeciwnicy wprowadzania restrykcji związanych z koronawirusem określają podejmowanie radykalnych środków mających zwalczyć pandemię.

Anna Maria Siarkowska ma szczególne powody do irytacji – jej interwencja poselska, którą podjęła wspólnie z posłem Januszem Kowalskim w domu dziecka

w Nowym Dworze Gdańskim, sprawdzając, czy nie szczepi się tam przymusowo dzieci, została skrytykowana w mediach. Uznano, że ośmieliła w ten sposób antyszczepionkowców, którzy dwa tygodnie później wtargnęli do domu dziecka w Aleksandrowie Kujawskim.

– Nie może być tak, że każdy może wejść do placówki z ulicy, bez żadnego trybu. Czym innym jest takie wtargnięcie, a czym innym interwencja posła oparta na przepisach ustawowych – podkreśla Siarkowska.

Jak należało się spodziewać, nie chce ujawnić, czy sama się szczepiła. Mówi mi, że o takich rzeczach można rozmawiać z własną siostrą, a nie z obcymi ludźmi. Poza tym, jak podkreśla, konstytucja gwarantuje prawa do nieudzielania takich informacji, a prawo do dysponowania własnym ciałem jest elementarnym prawem człowieka.

Sytuacja może się wydawać dość niezręczna, biorąc pod uwagę, że formacja, którą reprezentuje posłanka, promuje Narodowy Program Szczepień przeciw COVID-19 i prominentni członkowie rządu pochwalili się swoimi szczepieniami.

Ale posłanka Siarkowska jest zdecydowanie zbyt mało radykalna dla ruchów antyszczepionkowych. Jedynym politykiem, którego cenią, jest poseł Konfederacji Grzegorz Braun. Im więcej ekscesów dopuści się na sali sejmowej, demonstrując, że lekceważy wszelkie zalecenia i prośby o włożenie maseczki, tym lepiej jest postrzegany.

– W tym środowisku nie ma odcieni szarości. Wszystko jest czarno-białe, maszerujesz z nami lub jesteś przeciwko nam, zdradziłeś. Liczą się proste hasła i odpowiedzi – mówi dr hab. Daniel Boćkowski.

Prognozuje, że wraz z czwartą falą pandemii sytuacja wśród przeciwników szczepień może się zmienić. – Będzie to zależało od osobistych doświadczeń. Jeśli ktoś zetknie się z ciężkim przypadkiem zachorowania na COVID-19, a nawet śmiercią w swoim otoczeniu, zmieni zapewne swoje poglądy i stosunek do szczepień. Ale najbardziej zaangażowani członkowie ruchów antyszczepionkowych mogą się poczuć przyparci do ścian i jeszcze bardziej radykalizować – dodaje.

Unia i Polska.

Co z tymi obiadami za darmo?

Politycznych powodów po temu, że tak właśnie być musi, jest kilka, ale jeden jest bardzo ważny i wart szczególnej uwagi. Jest nim fetysz europejskich pieniędzy. Fetysz, który zapanował od jakiegoś czasu nad wyobraźnią nie tylko zwykłych Polaków (i to w równej mierze tych z metropolii, jak i z prowincji), lecz także wielu innych nacji europejskich. I co ciekawe, dotyczy się to bynajmniej nie tylko naszej, ciągle biedniejszej części Europy, ale także narodów od wieków bardzo zamożnych, zwłaszcza gdy idzie o bogactwo zakumulowane w rękach obywateli. Na przykład Włochów, którzy od płynących z Brukseli pieniędzy nie widzą już w ogóle ważniejszej rzeczy na świecie, a ich cała polityka europejska od czasu kryzysu finansowego 2008 r. jest skoncentrowana niemal wyłącznie na ustawicznych żądaniach zagranicznej pomocy w gotówce.

BICZ NA NASZE PAŃSTWO

Z Polską nie jest może jeszcze aż tak źle jak z Włochami, ale do włoskiego nieustannego skamlenia o europejskie pieniądze nie jest nam wcale tak daleko. To dwaj kolejni premierzy, najpierw Donald Tusk, a potem Morawiecki, ugruntowali w polskim ludzie przekonanie, że umiejętność „wyciskania brukselki” jest absolutnym szczytem ich politycznych talentów i dokonań. I że to właśnie za sprawą tej ich umiejętności możliwy jest w ogóle jakikolwiek rozwój naszego kraju, a zwłaszcza podnoszenie jakości życia zwykłych ludzi.

Tusk na takiej zbanalizowanej ideologii oparł swoją drugą zwycięską kampanię roku 2011, a także już rok wcześniejszą kampanię samorządową, która zasłynęła billboardami: „Nie róbmy polityki, ale budujmy...” (i tu pojawiały



JAN ROKITA

*Chyba każdy już
widzi i rozumie, że
pole manewru rządu
Mateusza Morawieckiego
w ideologicznych sporach
z Brukselą jest dosyć
wąskie. A kto tego jeszcze
nie widzi, to rychło
będzie miał okazję się
przekonać, że pisowska
władza, robiąc dobrą
minę do złej gry, w sytuacji
podbramkowej nie
widzi innego wyjścia niż
jednostronne ustępstwa*

się w licznych wariantach inwestycje współfinansowane przez Unię).

Morawiecki z kolei miał to szczęście, że pojawienie się gigantycznego funduszu odbudowy pocovidowej pozwoliło mu zręcznie ukryć to, iż w „zwykłym” unijnym budżecie na najbliższą siedmioletkę fundusze dla Polski zostały w niektórych działach drastycznie

obcięte w stosunku do lat 2014–2020. Trzeba się np. uważnie wczytać w zestawienia unijnych wydatków na rozwój wsi (mający przecież niebagatelne polityczne znaczenie dla PiS), aby się dowiedzieć, iż Polska doświadczyła największego w całej Unii (bo sięgającego aż 12,9 proc.) cięcia funduszy europejskich na ten cel, a stało się to na ostatniej negocjacyjnej prostej, w ramach sławnego kompromisu z lipca 2020 r.

W każdym razie obaj ci premierzy, forsując bez zahamowań propagandę o zbawczej roli „wyciskania brukselki”, nieświadomie ukręcili niezły bicz na samych siebie, a co ważniejsze – na nasze państwo. Dzisiejsza rzeczywistość jest bowiem taka, że niezależnie od tego, kto by w Polsce rządził, będzie mieć drastycznie zawężone pole manewru przy kształtowaniu polityki europejskiej. Dlaczego? Bo przez nasze zbiorowe umiłowanie europejskich pieniędzy daliśmy brukselskim eurokratom potężne narzędzie szantażu wobec każdego polskiego rządu. Wystarczy, aby z takiej czy innej unijnej instytucji wyszły pomruki na temat cięć funduszy, kar finansowych, potrąceń czy złośliwych opóźnień wypłat – i każdy rząd w Warszawie musi zacząć drzeć nie tyle przed owymi cięciami, karami czy groźbami kar, ile przed... polskim społeczeństwem, które czegoś jak czego, ale utraty europejskich pieniędzy płazem nie puści. Krótko mówiąc, Bruksela, Luksemburg, Strasburg dostały do ręki mechanizm pozwalający im w każdej chwili buntować Polaków przeciw własnej władzy. Taki mechanizm podkopywania jakiegoś rządu od wewnątrz jest najskuteczniejszą metodą, jaka może być w demokratycznej polityce. I taką, przed którą zdradzić musi każdy polityk odpowiedzialny za utrzymanie władzy w rękach własnego obozu politycznego.

NIE DENERWOWAĆ WYBORCÓW

Tej właśnie sytuacji doświadczają teraz Kaczyński i Morawiecki, ponoszący odpowiedzialność za przyszłą pozycję wyborczą PiS. Dlatego nie mają i nie mogą mieć żadnej sensownej odpowiedzi na groźby Komisji, Parlamentu i Trybunału Europejskiego, płynące z tzw. warunkowości nowego unijnego budżetu, czy zapowiedzi drakońskich kar wynikających z wyroków luksemburskiego sądu. Tak samo jak marszałkowie województw, którym nadgorliwa komisarz Jourová grozi nieprzekazaniem wynegocjowanych już pieniędzy z powodu antylibertyńskich uchwał podjętych przez sejmiki samorządowe. Nie mają tej odpowiedzi nie dlatego, iż nie byłiby w stanie podjąć politycznej i prawnej gry przeciw owym sankcjom, karom czy cięciom, gdyby one rzeczywiście nastąpiły. I też nie dlatego, aby owe na razie hipotetyczne sankcje, kary czy cięcia czymkolwiek na serio mogły zagrozić Polsce, jej przyszłości czy poziomowi życia Polaków. Kłopot rządzących tkwi jedynie w tym, że ze względu na ludową miłość do „wyciskania brukselki” nie mogą podjąć takiej gry, bo zanim zdążyliby ją nawet wygrać (a to to wymagałoby czasu), już dawno zostaliby pozbawieni władzy przez zdenerwowanych wyborców.

A to oznacza, że bez zmiany społecznego nastawienia do funduszy europejskich Polska ma i będzie mieć na przyszłość ograniczone możliwości spierania się z instytucjami unijnymi o swoje narodowe interesy.

ZGUBNA TAKTYKA OPOZYCJI

Oczywiście w perspektywie krótkoterminowej rozgrywki o władzę dzisiejsza opozycja nie tylko cieszy się z unijnej presji finansowej na polski rząd, ale nawet od dłuższego czasu stara się ową presję pobudzać i wzmacniać. W kręgu liderów opozycyjnego centrolewu bowiem uznano (skądinąd nie bez racji), że możliwości zewnętrznej presji na osłabienie rządów prawicy w Polsce są większe niż stosunkowo nikły krajowy potencjał polityczny opozycji, wypalony już dawno w niezliczonych marszach, protestach, rewolucyjnych wezwaniach i antytotalitytnych manifestach. Można rozumieć na zimno taką kalkulację ze strony opozycji, a w warunkach współczesnego przenikania się własnego pań-

stwa i regulacji unijnych nie musi ona być wcale dowodem na „zdradę kraju”, jak sądzą spora część twardych zwolenników PiS.

Jednak grubo mylili by się ktoś, kto by dziś sądził, że ten sam mechanizm presji ze strony instytucji unijnych nie zostanie wykorzystany w przyszłości, gdy wcześniej czy później władzę w Polsce demokratycznie przejmie opozycyjny centrolew.

Wystarczy przecież tylko rzucić okiem na właśnie forsowaną w Unii klimatyczną agendę „Fit for 55”, aby wyobrazić sobie, w jakie unijne tarapaty musi wpaść w ciągu najbliższych lat każdy polski rząd, na tle projektowanych regulacji uderzających choćby w produkcję rolną i hodowlaną, w której Polska jest dziś (obok Francji) europejskim czempionem. Nie mówiąc już



o nawet o tym, że polityczne samobójstwo w Polsce musiałby popełnić rząd, który by bez oporu i konfliktów poszedł na skokowy wzrost kosztów i cen energii oraz zieloną inflację, jaka kryje się za agendą „Fit for 55”. Ta sprawa to tylko jeden przykład na to, że jeśli opozycyjny centrolew pod wodzą Tuska wygrałby wybory w 2023 r. i przejął władzę, stanąć może szybko wobec konfliktu interesów oraz gróźb kar i sankcji o wiele poważniejszych niż te, z którymi teraz boryka się rząd PiS. Nie wynika to bowiem z takiej lub innej orientacji ideowej, ale z rysującego się już fundamentalnego i obiektywnego konfliktu interesów, z którym będzie musiała się zmierzyć każda polska władza. Także ta, ideologicznie na maksa proeuropejska i nawet profederalistyczna.

PIENIĄDZE UZALEŻNIAJĄ

Istota rzeczy tkwi bowiem w prawdzie wydawałoby się oczywistej od zawsze, ale w praktyce zdumiewająco lekceważonej: że w polityce branie pieniędzy było, jest i zawsze będzie związane z uzależnieniem. Sławny bon mot wielkiego Milтона Friedmana, iż „Nie ma obiadów za darmo”, odnosił się w intencji autora do ekonomii, ale jest tak samo ważny w odniesieniu do styku gospodarki, polityki i ideologii.

Od lat 90. XX w. w Polsce napisano tysiące lepszych lub gorszych analiz na temat pożytków wynikających z napływu europejskich funduszy rozwojowych i rolnych. Napisano nawet trochę (choć już nie tak dużo) raportów pokazujących ekonomiczne ryzyko spowodowane uzależnieniem się różnych branż gospodarki od bezkosztowego napływu zewnętrznych pieniędzy (np. świetne raporty krakowskiego zespołu prof. Hausnera). Ale nie napisano zgoła niczego na temat nieuchronnego mechanizmu rosnącej zależności politycznej oraz ideologicznej kraju, jaki z roku na rok budowany jest niejako przy okazji napływu do Polski zagranicznych pieniędzy.

Może dlatego, że w odniesieniu do krajów naszego regionu – najpierw aspirujących do Unii, a potem obdarzonych już przywilejem członkostwa – mechanizm ten nigdy nie był tak nagi i brutalny, jak w przypadku państw, których członkostwa Unia nie chce albo nigdy nie przewiduje. Ukraina miała tu już o wiele gorzej od nas, gdyż Kijowowi bez skrupowania przedstawiano takie oferty, np. pieniądze unijne w zamian za zagraniczną kontrolę nad kluczowym dla kraju Naftohazem (nawiasem mówiąc, dopiero prezydent Zełenski odważył się brutalnie złamać tę niegodziwą transakcję).

Ale skrajnym przypadkiem, gdzie Bruksela nie mając żadnych zahamowań,

W polityce branie pieniędzy było, jest i zawsze będzie związane z uzależnieniem. Sławny bon mot wielkiego Milтона Friedmana, iż „nie ma obiadów za darmo”, odnosił się w intencji autora do ekonomii, ale jest tak samo ważny w odniesieniu do styku gospodarki, polityki i ideologii

są umowy o europejskiej pomocy dla ubogich krajów grupy AKP (Afryka, Karaiby, Pacyfik). Najpierw kazano tym krajom, wbrew ich oczywistym interesom, otworzyć jednostronnie dla Unii swoje rynki wewnętrzne – to był rok 2000 – tzw. umowa z Kotonu. Teraz w 2021 r. uzależniono dalszą pomoc od zaprowadzenia w tych krajach gender ideologii, prawa do aborcji i polityki zwalczającej tamtejsze starodawne modele rodziny. W dopiero co zakończonych negocjacjach grupie AKP udało się po długich bojach odrzucić obowiązek legalizacji małżeństw homoseksualnych. Brzmi to jak absurd w odniesieniu do krajów mających jeszcze często plemienne obyczaje. Ale warto być świadomym realności owego

absurdu, gdyż na jego przykładzie widać jak na dłoni, jak bardzo pieniądze mogą uzależniać także w sferach duchowości i obyczaju, wydawałoby się tak odległych od kwestii ekonomicznych.

PLUSY I MINUSY

To wszystko oczywiście nie jest żadnym dowodem na to, iżby uboższym nie opłacało się brać pieniędzy od bogatszych, jeśli z jakichś względów owym bogatszym zależy na redukcji nierówności i większej spójności. Ostatnio Zbigniew Ziobro w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” (swoją drogą, ważnym i ciekawym) wywodzi, iż bogate kraje Unii więcej zyskują na naszym członkostwie, niż warta jest ich pomoc, pogląd zaś, że „Unia jest dobrym wujkiem i daje nam pieniądze – to propaganda i fałsz”. Ziobro posiłkuje się zresztą obiektywnym raportem sporządzonym dla portalu Politico. To wszystko prawda. I zapewne zwłaszcza nasz wielki zachodni sąsiad zyskał wiele na pełnej integracji swego rynku z rynkami Polski, Czech, Słowacji i Węgier. Tyle tylko, że te długofalowe korzyści nie są aż tak łatwo wymierne i wcale nie przemawiają aż tak do zwykłych Niemców, jak propaganda „wyciskania brukselki” do umysłów Polaków.

Gigantyczne europejskie (warto pamiętać, że głównie niemieckie) pieniądze, jakie od lat płyną do Europy Środkowej, radykalnie przyspieszyły nasz rozwój, bo taki też miał być ich cel. Gospodarka niemiecka umocniła w ten sposób silnych już dziś, dobrze prosperujących partnerów, dających Niemcom szanse na gospodarczą ekspansję również na przyszłość. To są fakty, z których pożytki dla Polski znacząco przewyższają ponoszone ryzyko i straty. Rzecz tylko w tym, że państwo winno jednak zachować taką zdolność, aby w imię interesu kraju czasem zaryzykować tymi pieniędzmi, podjąć jakąś grę w imię polskiej podmiotowości. Niestety chorobliwa propaganda „wyciskania brukselki” na razie czyni taki suwerenny wysilek prawie niemożliwym. Jej skutkiem jest bowiem to, iż lud polski uwierzył politykom, że europejskie obiady mogą być jednak za darmo.

Polska – kraj bez lewicy

*Gdy w 2005 r. SLD otrzymał 11 proc. poparcia w wyborach,
francuska prasa pisała o Polsce jako o „ziemi bez lewicy”.*

*Dziesięć lat później lewicy w ogóle nie było w Sejmie,
a dziś czołga się na granicy progu wyborczego. Półtorej dekady po aferze
Rywina polityczna lewica nadal nie potrafi się pozbierać*

Klub Parlamentarny Lewicy jest rozbity na trzy grupy polityczne. Partia Razem w kularach niechętnie wypowiada się o starych aparataczkach Włodzimierza Czarzastego, stary SLD nie chce zaś być kojarzony z postulatami LGBT, uznając je za mało poważne. Ale i sam SLD – dziś Nowa Lewica – jest głęboko podzielony, co przejawiało się nawet w buncie przeciwko przewodniczącemu partii. Część polityków chce bowiem kontynuować politykę w ramach totalnej opozycji i w głębokiej współpracy z Donaldem Tuskiem, część kierownictwa zaś uważa, że pora odciąć się od liberalów i pójść swoją drogą.

Półtorej dekady po upadku rządów Leszka Millera i Marka Belki dawne „imperium czerwonych” jest już tylko marnym wspomnieniem przeszłości.

BOLESNA REORGANIZACJA

Czarzasty jest silnym liderem partii, który z tupetem buduje swój wizerunek. Potrafi nazwać siebie „starym komuchem z krypty”, bronić rzekomych zasług Armii Czerwonej dla Polski, drwić sobie z krytyków PRL. Podobna arogancja towarzyszy mu jednak w zarządzaniu swoimi politykami, a to już nie uszło mu bezkarnie.

Podczas przygotowań do jesiennych wyborów do władz Nowej Lewicy w szeregach partii zawrzało ponad miarę. Najpierw śląskie struktury pod przywództwem europosła Marka Bałta wystosowały krytyczny list do Czarzastego, a następnie ten zawiesił Bałta w prawach członka partii. Antyczarzastowcy nie odpuścili – do mediów za pośrednictwem Leszka Millera przedostał się list parlamentarzystów lewicy, którzy domagali się zwołania zarządu, ale w tekście nie zabrakło złośliwości. Autorzy nazwali szefa „architektem negocjacji z PiS”, a zawieszenie Bałta ich zdaniem zawiera „potężny ładunek komiczny”.

Pod pismem podpisało się aż 18 parlamentarzystów – kiedy wszystkich posłów z SLD jest zaledwie 24 (łącznie zaś z Razem i Wiosną – 49). Przy tak znacznym i otwartym sprzeciwie w partii można już mówić o buncie. Czarzasty w odpowiedzi zawiesił sygnatariuszy listu. „Konflikty są w każdej rodzinie, spory są w każdej organizacji, zwłaszcza jeśli ta organizacja przechodzi transformację, zmiany, narasta niepewność” – tłumaczył napięcia w SLD na ante-



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

nie telewizji wPolsce.pl europoseł Marek Balt, od którego zaczęła się medialna dyskusja. Polityk sugeruje, że skoro od ponad pół roku trwa jednoczenie struktur SLD i Wiosny Roberta Biedronia, to personalne tarcia są typowe. W siedzibie partii mają jednak inne zdanie.

IDEE CZY STOŁKI?

– Chodzi im tylko o stolki – komentuje polityk z otoczenia Czarzastego. – Treła chce być szefem partii i ciągle lata do TVN, żeby być bardziej rozpoznawalny, Senyszyn chce być europosem i boi się, że obecne władze jej nie wystawią do Brukseli – mówi członek SLD. – Podobnie Miller – taki

REKLAMA

"Rozmowa Radia Warszawa"
Katarzyna Supeł-Zaboklicka
poniedziałek - piątek
godz. 10.30

"Wakacyjna runda pytań"
Marcin Jagiełowicz
poniedziałek-piątek
godz. 16.15

Radio Warszawa 106,2 FM i www.radiowarszawa.com.pl

520721/F

z niego wielki ideowiec lewicy, ale śni mu się, że go Tusk wystawi do europarlamentu, dlatego tak gorliwie atakuje swoje własne środowisko – słyszymy.

– To są spekulacje pozbawione sensu. Przecież do euro-wyborów jest jeszcze daleko, wcześniej są wybory do Sejmu i nie ma co snuć takich dalekosiężnych planów – odpowiada w rozmowie z tygodnikiem „Sieci” Joanna Senyszyn na zarzut, że chodzi jej o stół w Brukseli. Posłanka dodaje: – Dotychczasowi szefowie partii umieszczali mnie na listach nie ze względu na osobiste sympatie, tylko dlatego, że przynoszę głosy.

Senyszyn twierdzi jednocześnie, że pozycja Włodzimierza Czarzastego jest zagrożona. – Nie jest tajemnicą, że Tomek Trela zamierzał startować na przewodniczącego i niewykluczone, że właśnie dlatego szef partii nie chce go teraz odwieść.

Senyszyn ma mocną pozycję w partii i podobnie jak Czarzasty nie boi się stanowczych wypowiedzi w mediach i w polityce. – Akurat jestem jedną z twórczyń SLD, zwolenniczką połączenia z Wiosną, w dodatku prowadziłam lokalną kampanię wyborczą w 2019 r., uzyskując ponad 36 tys. głosów, pomagając jednocześnie kandydatowi Wiosny – opowiada posłanka. Na jesiennym kongresie szefów frakcji ma wybierać cała partia, a nie tylko członkowie tychże frakcji. – Przewodniczący liczy tu na głosy delegatów Wiosny, bo w samym SLD nie ma dostatecznego poparcia – słyszymy od pani poseł.

W doniesieniach lewicowych mediów można wyczytać, że przewodniczący Nowej Lewicy wydzwania do wpływowych członków partii i laja ich jak dzieci. „Jest bardziej autorytarny niż Jarosław Kaczyński” – drwiła w programie telewizji wPolsce.pl Senyszyn.

NIKT NIE CHCE TĘCZY

Nie jest też lekko w Partii Razem. Stara lewica drwi z niej i chce jej działaczom pozostawić „tęczowe” tematy, politycy Razem są też rzadziej zapraszani do mediów. W SLD mają szacunek do rozmachu wystąpień Adriana Zandberga, ale to tym bardziej budzi chęć jego marginalizacji. Zresztą głośny konflikt w SLD sprawia, że to stara lewica jest w mediach, udziela wywiadów, występuje w programach telewizyjnych, a dziennikarze coraz mniej oglądają się na razemków.

Sama Razem nie chce być kojarzona jedynie z LGBT – na tym tle doszło już do niejednego wewnętrznego sporu, jak pisaliśmy o tym w majowym wydaniu tygodnika, bo młodzieżówka została zdominowana przez nadgorliwych genderowych aktywistów, gdy parlamentarzyści woleliby

zająć się poważniejszą polityką. Teoretycznie tematami obyczajowymi miał się zajmować Robert Biedroń, ale już dziś widać, że po zdobyciu mandatu w Brukseli inna działalność polityczna stała się dla niego przystawką.

Politykom lewicy trudno też wytłumaczyć przed swoimi wyborcami głosowanie za Polskim Ładem. Po sześciu latach szczucia przez liberalne media poparcie rządu PiS w czymkolwiek jawi się jako najgorszy grzech. Wielu lewicowych wyborców nie przejmuje się funduszami z Unii, ale żyje sporami o aborcję czy Kościół – walka z prawicą ma być tu ważniejsza niż korzyści dla Polski.

Zatem lewe skrzydło Partii Razem jest zjadane przez stare sejmowe wygi z jednej strony i przez młodych fanatyków z drugiej. Dodając do tego, że to Włodzimierz Czarzasty trzyma rękę na partyjnej subwencji, ludzie Zandberga mają prawo się martwić o swoją polityczną przyszłość.

Wobec politycznej ewolucji Donalda Tuska i Platformy, czyli sukcesywnego marszu na lewo światopoglądowego spektrum, dla lewicowej partii robi się coraz mniej miejsca w polskiej polityce

SPADAJĄCE SONDĄŻE, POWRÓT TUSKA

Lewicy nie oszczędza też rzeczywistość. Ostatnie sondaże nie dają jej nawet 8 proc. poparcia (spadek o ponad 5 proc. w stosunku do wyborów sprzed dwóch lat). Gdyby więc lewica chciała kandydować jako koalicja, nie weszłaby do Sejmu, a jeśli jako partia, to znów pod

hegemonią lidera SLD, ale i tak z wynikiem gorszym niż Konfederacja. Wobec politycznej ewolucji Donalda Tuska i Platformy Obywatelskiej, czyli sukcesywnego marszu na lewo światopoglądowego spektrum, dla lewicowej partii robi się coraz mniej miejsca w polskiej polityce. Wynik wyborczy Roberta Biedronia jako kandydata na prezydenta – 2,22 proc. – budzi już tylko wstydlivy uśmiech zakłopotania.

POLSKI WYJĄTEK?

Personalne animozje, spory o stanowiska, wzajemne złośliwości i kryzys ideowy – nierozwiązywalne problemy na lewicy piętrzą się coraz bardziej. Choć świat Zachodu już od dawna toczy światopoglądową rewolucję, a socjaliści pod różnymi szyldami współtworzą rządy w większości krajów Unii Europejskiej, w Polsce współczesna lewica nie może się nawet zdrowo narodzić.

Czy to Leszek Miller pozostawił po swoim SLD takie zgłiszczanie, że półtorej dekady nie wystarczyło na odbudowanie partii? A może nad tą formacją nadal wisi cień PRL? Może rację mają wolnorynkowcy, gdy twierdzą, że ludzi wrażliwych społecznie przekonało do siebie PiS?

A może Polska – kraj tak specyficzny – wciąż się opiera radykalnemu światopoglądowi, który krąży nad światem? 

Walka z Kościołem w Polsce nigdy nie należała do posunięć politycznie rozsądnych. Dlatego dziwią słowa Donalda Tuska, który uważa, że krzyże nie powinny wisieć w szkołach. Także Sejm, jego zdaniem, powinien być wolny od symboliki religijnej. Czy to kolejny etap wojen z Kościołem, które pamiętamy z PRL?

Jak kardynał Wyszyński pokonał Gomułkę

Jednym z pierwszych, którzy się o tym przekonali, był Władysław Gomułka, który potrafił się postawić Stalinowi, ale kard. Stefanowi Wyszyńskiemu już niekoniecznie.

Wbrew pozorom bardzo wiele ich łączyło. Władysław Gomułka i Stefan Wyszyński byli niemal rówieśnikami, a nawet zmarli w odstępie kilkunastu miesięcy – więc ich życia rozgrywały się w zasadzie równolegle. Obaj też odsiedzieli swoje w komunistycznych ośrodkach odosobnienia jako wrogowie systemu. Mało tego. Jakkolwiek dziwnie to dziś brzmi, w 1956 r. obaj wydawali się ogółowi Polaków doskonałym wręcz tandemem do przeprowadzenia głębokich zmian ustrojowych i ostatecznego pożegnania mroków epoki stalinowskiej.

Uwolnienie Gomułki i jego wybór na I sekretarza KC PZPR polska ulica przyjęła z aplauzem. Widziano w nim osobę, która postawiła się Stalinowi i która walczyła o jak największą niezależność Warszawy od Moskwy. Zupełnie już zapomniano, że w gruncie rzeczy należał zawsze do komunistycznego betonu, tak naprawdę bardziej nawet niż Bierut lub Cyrankiewicz, bo oni byli głównie oportunistami, on zaś pełnej krwi ideowcem. W połączeniu z Wyszyńskim – tak powszechnie sądzono – mógł zmienić Polskę w kraj być może nadal komunistyczny,



WOJCIECH ŁADA

ale już nie totalny. Taki, w którym niezależnie od tego, kto będzie przy władzy, pojawi się przynajmniej namiastka demokratycznych swobód i praw.

Sam Gomułka nie miał tak rozległych planów, a już na pewno do niczego nie był mu potrzebny Wyszyński i wcale nie spieszył się ze zwolnieniem go z przymusowego internowania, na którym prymas przebywał już trzeci rok. O tym, że będzie jednak musiał się z nim liczyć, przypomnieli mu Polacy. 24 października 1956 r. podczas wiecu na warszawskim pl. Defilad – wiecu, który miał być jego triumfalnym powrotem – wydarzyło się mianowicie coś, co najpierw Gomułkę zdumiało, a po chwili poważnie wystraszyło. „Zaczęło się ściemniać i nagle okrzyki: »Wyszyński, Wyszyński«. Gomułka zdenerwowany pyta: co oni krzyczą? Mówię: krzyczą Wyszyński. – Rozwiążcie wiec. Rozwiązuję. Ludzie zaczynają się rozchodzić, ale zostaje jeszcze masa, z 70 tys. i ta masa wznosi okrzyki na cześć Wyszyńskiego. Skandują: »Wyszyński do Biura!«. Politycznego oczywiście, co w naszych uszach brzmiało jak paradoks, ale oddawało nastroje społeczeństwa. Gomułka błady jak trup, roztrzęsiony ucieka do Pałacu Kultury i od strony Sali Kongresowej ucieka do KC” – wspominał I sekretarz PZPR w Warszawie Stefan Staszewski.

Jeszcze tego samego dnia Gomułka podjął decyzję o rozpoczęciu rozmów z prymasem, a kilka dni później o zwolnieniu go z internowania. Coś, co miało być początkiem współpracy, okazało się jednak początkiem wojny.

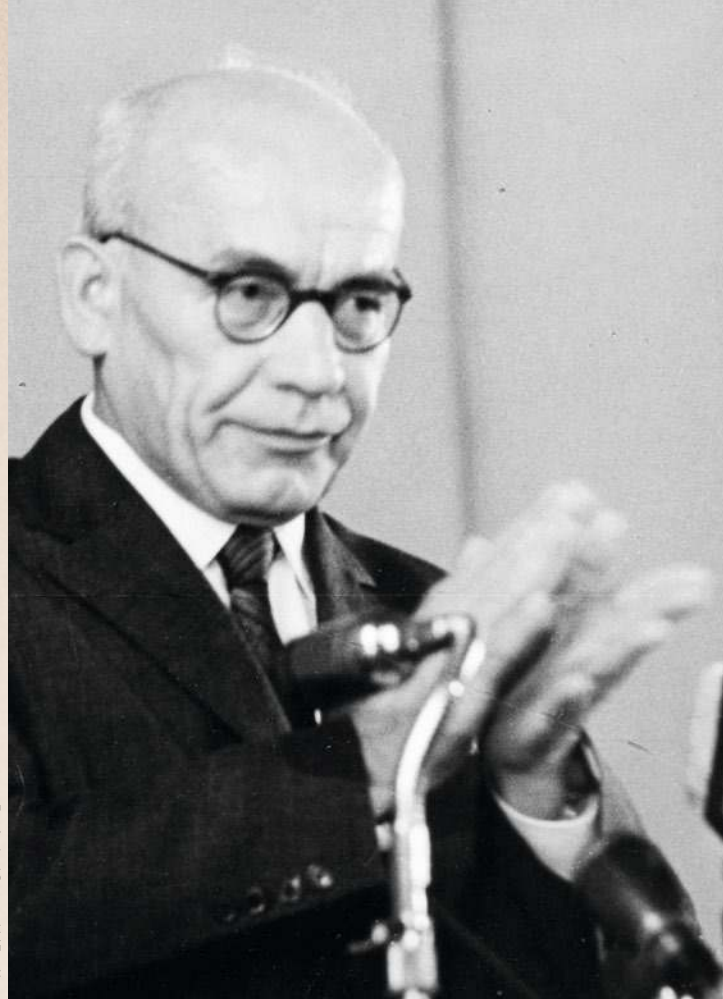
DŁUGIE ROZMOWY

Kłopot polegał na tym, że stalinowskie więzienie Gomułka nie zmieniło zupełnie, Wyszyński zaś zmienił się niemal nie do poznania. Kiedy zostawał prymasem, miał zaledwie 45 lat i choć miał już duże doświadczenie duszpasterskie, był też wytrawnym teologiem, to w kwestiach dyplomacji pozostawiał jeszcze wiele do życzenia. W stosunku do władz przyjmował postawę uległą, a podpisanie przez niego w 1950 r. porozumień kwietniowych, akceptujących w zasadzie nowy system, nawet w Watykanie uznano za przejaw słabości. W czasie internowania przeszedł dużą metamorfozę. Czytając jego zapiski z tego okresu, widać w nich człowieka, który dojrzewa i wzmacnia się dosłownie z dnia na dzień, a wprost proporcjonalnie do pokory wzrasta jego siła osobista. Kiedy doszło do pierwszego spotkania z Gomułką, jego postawa okrzepła już całkowicie.

Początkowo wydawać się mogło, że obaj przypadli sobie do gustu i istotnie będą w stanie wypracować korzystny dla obu stron kompromis. 1 maja 1957 r. rozmawiali po raz pierwszy i była to rozmowa serdeczna. Gomułka skrytykował politykę wyznaniową sprzed 1956 r., Wyszyński zaś wyraził uznanie dla zmian, jakie zaszły w kwestiach kościelnych. Obaj stawiali dalsze żądania, na które odpowiadano dość wykrętnie, ale rozstali się mimo to w przyjaznej atmosferze. Poglębiła się ona kilka miesięcy później, w styczniu 1958 r., kiedy rozmawiali bez przerwy 11 godzin, do czwartej nad ranem. I tu żadna ze stron nie osiągnęła zbyt wiele, ale już samo prowadzenie wielogodzinnej rozmowy wydawało się obiecujące. Znowu rozstano się w dobrych nastrojach, tym razem jednak prymas zaczynał już rozumieć, że do trwałego porozumienia nie dojdzie zapewne nigdy. „Gomułka na pewno jest apostołem swojej idei. Jest jednakże człowiekiem zaciętym, wrogiem religii zdecydowanym, chociaż liczy się ze znaczeniem wpływu Kościoła w Polsce”.

Do porozumienia dojść nie mogło, bo – jak zauważył Antoni Dudek – obaj posługiwali się dwoma nieprzystającymi do siebie sposobami rozmowy. „Dyskusja, w której I sekretarz mówił przed wszystkim o obowiązkach Kościoła wobec Polski Ludowej, zaś prymas o prawach należnych Kościołowi, miała stać się formułą wszystkich następnych spotkań Wyszyńskiego z Gomułką” – pisał historyk. Bodaj najlepiej widać to na przykładzie stenogramu z ostatniej i zakończonej już niemal otwartą wrogością rozmowy, która odbyła się pod koniec kwietnia 1963 r. Gomułka stwierdził wówczas: „Kościół ma tę wolność w nauczaniu, w punktach katechetycznych, a państwo ma obowiązek wiedzieć, co się dzieje”. Na co Wyszyński odparł: „Państwo totalne, ale nie państwo demokratyczne. Państwo demokratyczne nie musi wszystkiego wiedzieć i wszędzie być”. Wówczas Gomułka odparował: „To jest właśnie państwo demokratyczne, nasze pojęcia demokracji są różne”.

W tej sytuacji Wyszyńskiemu pozostało na koniec przyznać, że istotnie nie podoba mu się panujący w Polsce ustrój i podjąć wyzwanie do otwartej walki.



Fot. Andrzej Szypowski / EasNews

BUDOWNICTWO BEZWYZNANIOWE

Tak naprawdę to był zdecydowany na nią już wcześniej. Jeszcze podczas internowania w Komańczy opracował precyzyjny plan Wielkiej Nowenry, mającej przez dziewięć lat przygotować Polaków do obchodów tysiąclecia chrztu Polski. Prymas zdawał sobie sprawę, że pod względem prawnym czy administracyjnym sytuacji Kościoła nie da się znacząco poprawić, w państwie otwarcie wrogim religii, dokładał więc starań, by pozyskać dla Kościoła jak najwięcej Polaków. „Istotną rolę w szerzeniu tej wizji spełniał katolicyzm ludowy, oparty m.in. na uczestnictwie »ludu bożego« w masowych uroczystościach religijnych” – uważał Andrzej Leon Sowa. Historyk dodawał, że „najważniejszym wizualnym elementem tych przygotowań miały być adoracje poświęconej przez papieża kopii obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, przekazywanej uroczystie kolejno do wszystkich parafii w Polsce”.

Taka polityka odnosiła skutki widoczne gołym okiem – kościoły były zawsze pełne, a w mniejszych miejscowościach religijna symbolika była wszechobecna, jeśli nie na ulicach, to przynajmniej w oknach prywatnych mieszkań, z których masowo wzywały obrazki świętych. Gomułka to widział i reagował z coraz większą irytacją. Wcale jej zresztą nie ukrywając. „Jeśli byliśmy zmuszeni pójść na pewien modus vivendi z Kościołem, na ustalenie pewnego porozumienia likwidującego – że tak powiem – stan wojny i różne zadrażnienia, likwidującego stan napięcia, to wpływało to z naszej sytuacji” – mówił w 1958 r. podczas spotkania w Poznaniu. Teraz, kiedy jego władza była już ugruntowana, mógł zakończyć

czyć ten niewygodny rozjem i znów pójść na wojnę. A miał do dyspozycji bardzo rozległy arsenał represji.

Standardowo już powrócono do likwidowania nauczania religii w większości szkół przez lansowanie hasła szkoły „państwowej i bezwyznaniowej” oraz inwestowanie w budowę nowych szkół – z założenia całkowicie laickich. Do 1959 r. stanowiły one już 20 proc. wszystkich szkół państwowych. Akurat ta akcja miała przynajmniej jeden plus – podjęto wówczas decyzję o budowie „tysiąca szkół na tysiąclecie” i istotnie do końca 1965 r. zbudowano ich ponad 1,1 tys., z czego ponad połowę na wsiach, co bardzo znacząco poprawiło poziom wykształcenia Polaków.

Żadnych plusów nie miała natomiast tzw. akcja dekrucyfikacyjna, czyli zakaz wieszania krzyży w salach lekcyjnych. W jednolitym wówczas etnicznie i wyznaniowo kraju argument tolerancji religijnej i nieurazania uczuć innych wyznań trafiał kulą w płot, o czym władze wkrótce się przekonały. Zwłaszcza w województwach kieleckim i krakowskim doszło do wielu spontanicznych wystąpień, czasem na tyle poważnych, że wzywane były oddziały ZOMO. Zatrzymano ok. 300 osób, a czterokrotnie więcej ukarano grzywną. Kilku dyrektorów szkół i znacznie więcej nauczycieli straciło pracę, a mimo to – jak podaje prof. Sowa – krzyże pozostały w ok. 10 proc. szkół Małopolski.

Rzecz jasna niemal całkowicie wstrzymano wydawanie zezwoleń na budowę nowych obiektów sakralnych, choć jeszcze w 1956 r. wydano ich 250. Wraz z zaognianiem się sytuacji w latach 1958–1960 wyrażono zgodę na zaledwie 2 proc. planowanych inwestycji, a zdarzało się – choćby w Tychach – że rozpoczętą już budowę zburzono.

ABSURDY HISTERYCZNE

Spółecznie mniejsze może znaczenie miały drobniejsze szykany, jak odmawianie księżom paszportów czy zwiększenie ich obciążenia podatkowego – przeciętny Polak sam miał z tym problemy, więc pod tym względem kłopotami kleru za bardzo się nie przejmował. Nie ulega jednak wątpliwości, że im silniej Gomułka dokręcał śrubę, tym bardziej przegrywał. W tej rozgrywce Wyszyński okazał się po prostu inteligentniejszy i opanowany na niemal pokerowy sposób. Trącił strunę emocji społecznych i spokojnie czekał, niemal zupełnie nie reagując na przewalającą się w przemówieniach i w prasie nagonkę. Gomułka tymczasem zaczynał działać histerycznie. Był inteligentny i miał intuicję, ale kierował nim raczej ducha spiskowca niż polityka – nie wytrzymał napięcia i zaczął popełniać niemal dziecinne błędy.

Posunięciem jeszcze mądrym było ogłoszenie konkurencyjnych dla Milenium Chrztu Polski, obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego. Nawiasem mówiąc, skorzystali na tym wszyscy, tylko nie on – takich inwestycji w badania archeologiczne i mediewistyczne Polska nie przeżyła chyba nigdy wcześniej ani później, co zaowocowało setkami doskonałych publikacji. W dodatku obiektywnych, wcale niemających podtekstu politycznego, bo nawet najtęższym umysłem trudno byłoby dopasować Lenina do czasów np. kultury łужицьkiej, choć i takie próby się zdarzały. Ale już dla „aresztowania” obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej trudno byłoby znaleźć jakkolwiek sensowne wytłumaczenie. „Aresztowanie obrazu w 1966 r. było już otarciem się o absurd” – przyznawał Wiesław Władyka.

Podobnymi absurdami, ale ocierającymi się już o światową dyplomację, było np. niewyrażenie zgody przez władze PRL na wizytę papieża Pawła VI, mającego celebrować uroczystości milenijne, a także zignorowane audiencji papieskiej przez przebywającego wówczas w Rzymie Edwarda Ochaba. Gomułka starzał się i reagował histerycznie, co przynosiło dokładnie odwrotny skutek do zamierzonego. Miotał się i było to aż nazbyt widoczne. Z jednej strony zdawał sobie sprawę, że najlepszym sposobem na ograniczenie roli Kościoła byłoby jego skłócenie. „Konieczna jest polityka dalszego rozdrabniania, zróżnicowania i skłócania sił klerykalnych, a zwłaszcza polityka dezintegracji episkopatu” – zapisano wówczas w notce Urzędu ds. Wyznań. Z drugiej strony swoimi posunięciami ułatwiał Wyszyńskiemu integrację środowiska i odgrywanie – formalnie przecież tylko tytularnej – roli prymasa jako faktycznego przywódcy.

Gwoździem do trumny I sekretarza stało się „Orędzie biskupów polskich do biskupów niemieckich” z 1965 r., ze słynnymi już słowami „Przebaczymy i prosimy o przebaczenie” – istotnie odważnym

zaledwie 20 lat po wojnie. Tu w stronę prymasa i pozostałych sygnatariuszy posypały się już wręcz oskarżenia o zdradę stanu. Tymczasem – jak mówił prof. Władyka: „Sukces Kościoła polegał w tym wypadku i na tym, że nawet ludzie określający się jako osobiści wrogowie Pana Boga zaczęli czuć dla hierarchów szacunek i podziw, dla ich samodzielności, odwagi i potęgi zaprezentowanej w sporze z Gomułką”.

„Gomułka walczył i przegrał z kretesem” – ucinał Władyka. W czasie obchodów milenium, tylko cztery lata dzieliły go od upadku. Wyszyński przetrwał dobrze ponad dekadę dłużej, konsekwentnie i skutecznie realizując swój plan.

Podczas tzw. akcji dekrucyfikacyjnej, wprowadzającej zakaz wieszania krzyży w salach lekcyjnych, szczególnie w województwach kieleckim i krakowskim doszło do wielu spontanicznych wystąpień, czasem na tyle poważnych, że wzywane były oddziały ZOMO. Zatrzymano ok. 300 osób, a czterokrotnie więcej ukarano grzywną. Kilku dyrektorów szkół i znacznie więcej nauczycieli straciło pracę, a mimo to – jak podaje prof. Sowa – krzyże pozostały w ok. 10 proc. szkół Małopolski

Węgierski Fidesz głównym tematem nadchodzącej kampanii wyborczej postanowił uczynić ochronę dzieci przed ideologią gender. Czy w Polsce byłby możliwy podobny scenariusz?

Viktor Orbán rzuca wyzwanie



GRZEGORZ GÓRNY

W czerwcu parlament w Budapeszcie przyjął ustawę chroniącą osoby nieletnie przed pedofilią, pornografią oraz niekontrolowaną seksualizacją. Węgierscy ustawodawcy uznali, że nikt nie ma

prawa prowadzić edukacji seksualnej dzieci bez wiedzy i zgody ich rodziców, propagować wśród nich zmiany płci oraz homoseksualizmu, a także podważać biologicznej tożsamości płciowej, z którą się urodzili. Według posłów, na państwie spoczywa obowiązek ochrony nieletnich przed tego typu działaniami, dopóki nie skończą 18 lat.

Ustawa spotkała się z krytyką wielu środowisk na Zachodzie, nie tylko tych lewicowo-liberalnych, lecz również takich, które określają się jako chadeckie, czego przykładem jest np. Ursula von

der Leyen, wywodząca się z niemieckiej CDU. Zarzuciła ona węgierskiemu prawu, iż „wyraźnie dyskryminuje ludzi ze względu na ich orientację seksualną”. Najbardziej popularny bloger chrześcijański w USA Rod Dreher, który przeczytał tekst ustawy, twierdzi, że nowe prawo nie dyskryminuje nikogo, lecz chroni dzieci, wyznaczając wyraźną linię między nimi a działaczami LGBT.

Ursuli von der Leyen odpowiedział bezpośrednio rzecznik węgierskiego rządu Zoltán Kovács, który napisał: „Jako matka siedmiorga dzieci z pewnością rozumiesz,

jak ważne jest edukowanie swoich dzieci w tak wrażliwych kwestiach, które wymagają od Ciebie pewnej delikatności. O to właśnie chodzi w tym prawie. Aha, i jeszcze o zaostrenie kar za przestępstwa pedofilskie. Jaki masz z tym problem jako chrześcijańska demokratka?”

Najważniejszej odpowiedzi na plynącą z Zachodu krytykę udzielił jednak Viktor Orbán, który zdecydował odwołać się w tej sprawie do społeczeństwa węgierskiego i ogłosił rozpisanie powszechnego referendum. Mają się znaleźć w nim następujące pytania:

- 1) czy popierasz organizowanie w szkołach publicznych zajęć dla nieletnich dotyczących orientacji seksualnych bez zgody rodziców?
- 2) czy popierasz promocję zabiegów zmiany płci wśród nieletnich?
- 3) czy popierasz dostępność terapii zmiany płci dla nieletnich?
- 4) czy popierasz nieograniczoną ekspozycję nieletnich na treści medialne o charakterze seksualnym, które mogą wpływać na ich rozwój?
- 5) czy popierasz projekcje treści audio-wizualnych wspierających zmianę płci wśród nieletnich?

Odwołując się do demokracji bezpośredniej, premier Węgier rozpoczął nową rozgrywkę polityczną, mającą trzy wymiary: strategiczny, operacyjny i taktyczny.

WYMIAR STRATEGICZNY: OCALIĆ CYWILIZACJĘ

Viktor Orbán jest przekonany, że stawką w starciu z ideologią gender jest coś więcej niż tylko los Węgier, a mianowicie przyszłość naszej cywilizacji. Jego zdaniem obecna rewolucja antropologiczna, odtwarzająca w nowych formułach stare marksistowskie schematy myślenia, to śmiertelne zagrożenie dla Zachodu. Ponieważ ma on za sobą doświadczenie życia w komunizmie, dostrzega totalitarny potencjał zawarty w utopijnych projektach inżynierii społecznej. Widzi, że tam, gdzie triumfy odnoszą środowiska LGBT, tam kończy się wolność słowa, sumienia, wyznania, a nawet badań naukowych, a zaczyna się zamordyzm. Zdaje sobie sprawę, że ideologia zbudowana na fałszywej antropologii i gwałcąca prawa natury,

wcześniej czy później musi się obrócić przeciw samemu człowiekowi.

Dlatego w 2018 r. rząd węgierski wykreślił gender studies z listy przedmiotów uniwersyteckich. Viktor Orbán stwierdził wówczas, że genderyzm nie jest żadną nauką, lecz ideologią, tak samo jak niegdyś marksizm-leninizm. Były czasy, gdy na uczelniach istniały katedry socjalizmu naukowego, jednak znikły one wraz z upadkiem komunizmu. Zdaniem lidera Fideszu uniwersytet nie jest miejscem propagowania ideologii, lecz zdobywania wiedzy, dlatego nie ma w nim miejsca na zajęcia genderyzmu. Dwa lata później parlament w Budapeszcie przyjął ustawę, zgodnie z którą akta stanu cywilnego mogą zawierać tylko płeć biologiczną danej osoby w momencie narodzin, co uniemożliwia oficjalne uznanie zmiany płci. W tym kontekście uchwalone ostatnio prawo antypedofilskie jest ciągiem dalszym rozpoczętego wcześniej procesu.

WYMIAR OPERACYJNY: WYGRAĆ WYBORY

Najbliższe wybory parlamentarne odbędą się na Węgrzech wiosną przyszłego roku. Decyzja o rozpisaniu referendum to stworzenie narracji, która zdominuje kampanię wyborczą. W ten sposób Orbán narzuca warunki gry, wybierając kluczową płaszczyznę sporu. Nie zrobiłby tego, gdyby nie miał pewności, że w tej sprawie będzie miał za sobą większość społeczeństwa.

Odwoływanie się do woli ludu to stała metoda Orbána, zastosowana przez niego po raz pierwszy, gdy był jeszcze w opozycji. W marcu 2008 r. z inicjatywy Fideszu odbyło się referendum, w którym zadano trzy pytania odnoszące się bezpośrednio do reform zainicjowanych przez socjalistów. Rząd Ferenc Gyurcsány wprowadził wówczas czesne dla studentów studiujących na uczelniach państwowych, opłaty za poradę u lekarza rodzinnego, wizytę u dentysty i opiekę ambulatoryjną oraz dzienną opłatę za łóżko w szpitalu w przypadku hospitalizacji. Referendum przyniosło Fideszowi miażdżące zwycięstwo. Na wszystkie trzy pytania ponad 80 proc. głosujących odpowiedziało tak, jak chciał Orbán, torpedując tym samym zmiany dokonane przez

Gyurcsány. Największym sukcesem okazał się jednak masowy przepływ elektoratu socjalnego od lewicy do prawicy. Ten plebiscyt zdefiniował na nowo scenę polityczną, przeciwstawiając sobie Węgry neoliberalne (partia socjalistyczna) i Węgry solidarne (Fidesz). Większość Madziarów zdecydowanie opowiedziała się za tą drugą wizją.

Podobny manewr wykonał Orbán przed ostatnimi wyborami, rozpisując referendum w sprawie kryzysu migracyjnego. Była to bezpośrednia reakcja na próbę narzucenia Węgom przez Brukselę przymusowego mechanizmu kwotowej relokacji uchodźców. Pytanie, które zadano obywatelom w październiku 2016 r., brzmiało: „Czy chce Pan/Pani, by Unia Europejska mogła zarządzić, również bez zgody parlamentu, obowiązkowe osiedlanie na Węgrzech osób innych niż obywatele węgierscy?”. I znów przytłaczająca większość głosujących (98 proc.) opowiedziała się za Fideszem, odrzucając unijny projekt. Ponieważ tematyka migracyjna stała się głównym motywem kampanii wyborczej, doprowadziła Fidesz do zwycięstwa i uzyskania trzeciej raz z rzędu większości konstytucyjnej.

Teraz również Orbán narzucił warunki gry, czyniąc podstawowym polem konfrontacji kwestię ideologii gender. Opozycja ma świadomość, że stoi w tym starciu na straconej pozycji, ponieważ większość Węgrów jest za ochroną dzieci przed ofensywą LGBT. Madziarzy są tolerancyjni wobec osób o skłonnościach homoseksualnych czy transseksualnych, uważając, że jest to ich osobista sprawa i nikt nie ma prawa wtrącać się do prywatnego życia takich ludzi. Zarazem ta sama większość sprzeciwia się indoktrynowaniu swoich dzieci, narzucaniu im w szkołach ideologii gender czy opowiadaniu nieletnim o wielości płci, które można sobie dowolnie wybierać. Ta większość jest tak olbrzymia, że żadna z partii nie zdecydowała się iść pod prąd i otwarcie sprzeciwić się propozycji Viktora Orbána.

Dlatego obóz antyrządowy stara się zejść z linii strzału. To nie przypadek, że na 199 posłów zasiadających w parlamencie w Budapeszcie tylko jeden zgłosił głos przeciw wprowadzeniu nowego prawa. Większość opozycji zrezygnowała z głosowania i unika otwartej debaty. Nie wzywa

na pomoc sojuszników z Zachodu, a nawet z niechęcią patrzy na presję zagranicy, ponieważ boi się, że przyniesie to efekt odwrotny do zamierzonego. Z jej punktu widzenia im dłuższa i bardziej burzliwa będzie awantura wokół LGBT, im więcej zaangażuje ona zachodnich polityków i działaczy, tym mniejsze będą szanse na zwycięstwo nad Fideszem. Idealnym wyjściem byłoby przejście do porządku dziennego nad przyjętym prawem i przeczekać go, byle nie przyjąć warunków gry narzuconych przez Orbána. Mogą to być jednak płonne nadzieje, ponieważ dla wielu wpływowych kręgów na Zachodzie kwestia LGBT należy do „nienegocjowalnych wartości”, więc nie zrezygnują z walki. Jeśli politycy opozycji okażą się zakładnikami tych środowisk, Fidesz będzie miał ułatwioną drogę do reelekcji.

WYMIAR TAKTYCZNY: ROZBIĆ OPOZYCJĘ

Do walki z Fideszem po raz pierwszy przystąpi zjednoczona opozycja, grupująca sześć ugrupowań: dwa postkomunistyczne (Koalicja Demokratyczna i Węgierska Partia Socjalistyczna), dwa zielone (Dialog na rzecz Węgier i Polityka Może Być Inna), liberalne (Ruch Momentum) oraz nacjonalistyczne (Jobbik). Jedynym spoiwem, które je łączy, jest chęć odsunięcia Orbána od władzy. Ponieważ programowo dzieli je bardzo wiele, starają się one unikać dyskusowania o jakichkolwiek rozbieżnościach.

Decyzja obozu rządzącego zmusiła jednak opozycję do wyraźnego opowiedzenia się w sprawie genderyzmu. Pięć partii zastosowało unik, nie biorąc udziału w głosowaniu, natomiast Jobbik stanął przed poważnym dylematem. Miał do wyboru: albo postąpić jak reszta opozycji, a tym samym porzucić resztki swej dotychczasowej konserwatywnej tożsamości, albo zagłosować ramię w ramię z władzą, a tym samym narazić na szwank jedność opozycji. Wybrano ten drugi wariant i Jobbik – tak jak Fidesz – opowiedział się za ochroną dzieci. W ten sposób Orbán wbił klin w sam środek jednoczącej się z trudem opozycji. Już teraz część gejowskich dzia-

łaczy, popierających lewicę, zauważa absurdalność całej sytuacji. Trudno im zrozumieć, jak największym stronnictwem ich obozu, w którym upatrują nadzieję na triumfswych genderowych idei, może być „homofobiczny” Jobbik.

Nie wiadomo zatem, czy egzotyczna koalicja dotrwa do najbliższych wyborów, rozsadzana przez kolejne pęknięcia ideowe, prowokowane przez Orbána. Jeśli nawet przetrwa, może się okazać, że spora część jej elektoratu zniechęci się do głosowania: przedstawiciele nowej lewicy nie będą chcieli popierać sojuszu z nacjonalistami, narodowcy zaś z kosmopolitami.

Viktor Orbán jest przekonany, że stawką w starciu z ideologią gender jest coś więcej niż tylko los Węgier, a mianowicie przyszłość naszej cywilizacji. Jego zdaniem obecna rewolucja antropologiczna, odtwarzająca w nowych formułach stare marksistowskie schematy myślenia, to śmiertelne zagrożenie dla Zachodu

PO WYBORZE SOCJALNYM: WYBÓR TOŻSAMOŚCIOWY

Wygrywając wybory w 2010 i 2014 r., Fidesz skoncentrował się na sprawach socjalnych. Po obu zwycięstwach nastąpił duży transfer finansowy do warstw społecznych, które czuły się poszkodowane przez neoliberalny system panujący na Węgrzech po upadku komunizmu. Dotyczyło to zwłaszcza mieszkańców prowincji zaniedbywanej przez Budapeszt.

Przed kolejnymi wyborami Orbán zorientował się jednak, że „paliwo socjalne” nie wystarczy do odniesienia trzeciego z rzędu zwycięstwa. Ludzie łatwo przyzwyczajają się do kolejnych

dobrodziejstw, uważając je za oczywistość, która im się należy, i zapominając, komu je zawdzięczają. Dlatego w następnych dwóch elekcjach lider Fideszu skoncentrował się na kwestiach tożsamościowych. W 2018 r. stawką była zagrożona przez niekontrolowaną falę imigracji tożsamość narodowa oraz podmiotowość państwa, obecnie – zagrożona przez genderyzm tożsamość antropologiczna, zwłaszcza dzieci. Orbán nie musiał wymyślać sztucznych problemów, ponieważ realne wyzwania przyniosło mu samo życie: najpierw kryzys imigracyjny, teraz ofensywa środowisk LGBT.

Do nowego starcia premier Węgier jest dobrze przygotowany. W tej sprawie Fidesz ma za sobą nie tylko większość społeczeństwa, lecz także mediów, które rozumieją skalę zagrożeń. Zdaje sobie sprawę, że stojący po przeciwnej stronie agresywni działacze, dążący do destrukcji obowiązującego porządku, odwracają rzeczywiste role: powołując się na prawa człowieka, sami kreują się na ofiary. Z tego rodzaju retoryką trudno jest polemizować nawet wielu konserwatystom. Orbán stawia jednak sprawę inaczej: naczelną wartością jest dobro dziecka, które wymaga naszej ochrony. Nie możemy dopuścić, aby nieletni stali się ofiarami dorosłych. To stawia tęczywch aktywistów w trudnej sytuacji: w zestawieniu z dziećmi nigdy nie będą ofiarami.

Wspomniany Rod Dreher, który spędził w Budapeszcie trzy miesiące, opowiada, że wiele razy rozmawiał z ludźmi, także młodymi, którzy narzekali na rząd, a zwłaszcza na korupcję władz, a jednak często dodawali, że będą głosować na Fidesz. Dlaczego? Amerykanin cytuje wypowiedź młodej Węgierki: „Ze zwykłą korupcją da się żyć. Ale takie rzeczy jak pakowanie naszym dzieciom do głowy myśli, że mogą być jedną z 50 pici? To jest zło. Do tego nie możemy dopuścić”.

Gdyby w Polsce odbyło się podobne referendum, zapewne większość dorosłych Polaków opowiedziałaby się przeciw postulatowi ideologii gender. Obserwujemy więc wydarzenia na Węgrzech i wyciągamy wnioski.

Hybrydowa agresja



Fot. Mindaugas Kulbas/AP/East News

W specjalnym oświadczeniu ministrowie obrony Litwy, Łotwy i Estonii uznali wydarzenia na litewsko-białoruskiej granicy za formę ataku hybrydowego na Unię Europejską oraz NATO i wezwali obie wspólnoty do skoordynowanej wspólnej odpowiedzi. Bo kryzys migracyjny spowodowany przez władze w Mińsku może zdestabilizować sytuację wewnętrzną zarówno na Litwie, jak i w krajach sąsiednich



MAREK BUDZISZ

Na Litwie już mówi się o dymisji rządu. W Polsce również obserwujemy radykalizację protestów antyszczepionkowców, a jesienno-polityczny sezon zapewne będzie gorący. Niewykluczone, że to, co się dzieje, ma na celu sprawdzenie przez Białoruś i stojącą za nią Rosję stopnia gotowości służb odpowiedzialnych za utrzymanie porządku i bezpieczeństwa w krajach, które podlegają presji emigracyjnej, a być może mamy do czynienia z częścią większej operacji. Pytanie tylko jakiej?

Arydas Anušauskas, litewski minister obrony, wraz ze swymi odpowiednikami z Łotwy i z Estonii uznali wydarzenia na litewsko-białoruskiej granicy za formę ataku hybrydowego na UE i NATO. Litewski minister powiedział też, że ochranianiem 12 obozów, w których znajdują się migranci, będą się zajmować litewskie siły zbrojne. Nie tylko dlatego, że skala problemu jest większa niż zasoby służb podległych resortowi spraw wewnętrznych tradycyjnie odpowiadającemu za ten obszar, ale również z tej racji, że zarówno sytuacja w obozach, jak i protesty miejscowej ludności, niezadowolonej, że to właśnie w ich okolicy znajdować się będą migranci, mogą doprowadzić do destabilizacji sytuacji w całym kraju.

Agnė Bilotaitė, litewska minister spraw wewnętrznych, powiedziała mediom, że ostatnie wydarzenia to zorganizowana i skoordynowana akcja. „Jest to atak hybrydowy, tak właśnie to widzimy”. I dodała: „Te procesy mają miejsce, kiedy nasz potencjał jest skupiony w pobliżu granicy i na ochronie obiektów”. Litewska minister, mówiąc o ostatnich wydarzeniach, miała na myśli protest przeciwników wprowadzenia paszportów covidowych przez parlament, który przerodził się w starcia z policją. W tym samym czasie niepokoje

wybuchły w tymczasowym obozie dla uchodźców znajdującym się w Rudnikai, 30 km na południe od Wilna, w których następstwie 30 przetrzymywanych tam migrantów przerwało ogrodzenie i uciekło.

Łotewski minister spraw zagranicznych Edgars Rinkēvičs powiedział w wywiadzie dla „Financial Times”, że obecny kryzys emigracyjny oraz zbliżające się ćwiczenia Zapad 2021 mogą, nawet wbrew intencjom stron, doprowadzić do przypadkowych starć granicznych i eskalacji napięcia. Jego zdaniem trudno sobie wyobrazić, aby Moskwa, zważywszy na jej bliskość z Łukaszenką, nie była świadoma, w jakim charakterze Mińsk używa migrantów, raczej należy założyć współpracę i koordynację działań między obiema stolicami.

Kilka dni przed wywiadem łotewskiego ministra pojawiła się inicjatywa, sformułowana przez Riho Terrasa, estońskiego członka Parlamentu Europejskiego, a w przeszłości ministra obrony, aby uruchomić procedury związane z art. 4 traktatu północnoatlantyckiego, który przewiduje konsultacje na poziomie politycznym państw członkowskich NATO, o ile jedno z nich uzna, że jest „zagrożona jego integralność terytorialna”. Rinkēvičs powiedział, że jeśli taka propozycja zostanie sformułowana, to Ryga ją poprze.

BRONŃ ŁUKASZENKI

Białoruscy analitycy, m.in. zmuszony niedawno przez reżim do emigracji Artiom Szrajzman czy Walerij Karbalewicz, wręcz uważają, że zaostrożenie sytuacji na granicy z Litwą, nawet do poziomu lokalnych starć zbrojnych, jest Łukaszenko z wielu powodów na rękę. Wzmacnia jego narrację o tym, że Białoruś jest obiektem ataku ze strony państw NATO, wysuniętą placówką „ruskiego świata”, twierdzą, której Moskwa winna bronić.

Ostatnia ośmiogodzinna konferencja prasowa białoruskiego dyktatora, którą zorganizował w rocznicę sfałszowanych wyborów prezydenckich, stała się dla niego okazją do sformułowania szczególnej propozycji pod adresem państw Zachodu. Miałyby one po-

godzić się z jego władzą na Białorusi i odejść od polityki sankcji, a wówczas wszystko zostanie po staremu, czyli współpraca będzie układała się tak jak w 2019 r. Ta oferta ze strony Łukaszenki tylko potwierdza, że emigranci są nową bronią Łukaszenki i raczej trudno oczekiwać, aby łatwo zrezygnował z jej użycia.

Władze Litwy dysponują informacjami, jak oświadczył minister spraw zagranicznych Gabrielius Landsbergis, że Mińsk prowadzi rozmowy z innymi niż Irak krajami, aby ściągnąć do siebie chcących migrować do Unii Europejskiej. Litewski minister powiedział, że wysłannicy Łukaszenki rozmawiali na ten temat z władzami Pakistanu oraz Maroka, a w rosyjskiej prasie pojawiły się doniesienia o możliwym rychłym uruchomieniu połączeń lotniczych państwowej BelAvii między Mińskiem a Libanem, Iranem, Syrią czy nawet Tadżykistanem, w którym spodziewają się już niedługo licznej fali migracyjnej z Afganistanu.

Ta ostatnia perspektywa już budzi zaniepokojenie państw starej Unii. Rządy sześciu z nich, w tym Austrii, Niemiec, Holandii i Danii, skrzytkowały w liście skierowanym do Komisji Europejskiej zapowiedzi wstrzymania procedur deportacyjnych tych przybyszów z Afganistanu, którzy nie uzyskają w Unii azylu. „Wstrzymanie deportacji jest złym sygnałem – napisali w liście cytowanym przez Reutersa – i prawdopodobnie będzie motywować jeszcze większą liczbę Afgańczyków do opuszczenia swego domu i udania się do Unii Europejskiej”.

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy na Litwę przybyło 4,2 tys. nielegalnych emigrantów, podczas gdy w całym ubiegłym roku liczba ta nie przekroczyła 80 osób. Taki napływ uchodźców, w przypadku kraju, który liczy 3 mln ludności, już jest niemalym problemem, a jak powiedział dziennikarzom Deutsche Welle Mantas Adomėnas, wiceminister spraw wewnętrznych Litwy, Wilno może przyjąć nie więcej niż 5 tys. uchodźców. Jeśli liczba przybyszów przekroczy ten limit, to wówczas władze zmuszone będą zgadzać się na ich swobodne przemieszczanie się do innych krajów.

Na razie problem na litewsko-białoruskiej granicy, po tym jak Litwa zaczęła zawracać grupy migrantów, chwilowo ustał. Szukający azylu w UE zaczęli za to szturmować granice z Łotwą i Polską. Łotwa już ogłosiła w rejonach nadgranicznych stan wyjątkowy i zezwoliła swoim służbom granicznym, patrolującym 175-kilometrową granicę, na używanie siły, aby zatrzymać i zawracać napływających migrantów. Planuje również, wzorem Litwy, zbudowanie zasieków z drutu kolczastego, a w dalszej perspektywie wysokiego płotu utrudniającego nielegalny napływ przybyszów.

LITWA POD PRESJĄ

Działania Litwy, która przestała przyjmować migrantów z Białorusi, wywołały wściekłość Łukaszenki. Na decyzję zareagował on spotkaniem Rady Bezpieczeństwa, w czasie którego wydał resor-
tom siłowym kraju rozkaz uszczelnienia granicy i niewpuszczenia na teren Białorusi nikogo z zawracanych przez Litwę migrantów. Oficjalne media cytowały te fragmenty jego wypowiedzi, w której groził Wilnu, mówiąc: „Nie daj Boże, jeśli oni zaczną wdrażać taktykę wydalania migrantów. Znamy konsekwencje, oni też. Niech więc pomyślą. Ostrzegaliśmy ich i pozwalaliśmy im myśleć. Piłka jest po ich stronie”.

Znacznie zastrzył się też ton oficjalnej propagandy. Mińsk rozpoczął niezwykle agresywną kampanię wymierzoną w Litwę, która oskarżana jest o politykę „strzelania do emigrantów”, budowanie obozów koncentracyjnych, łamanie międzynarodowych konwencji i porozumień czy wręcz nawiązywanie do faszystowskich korzeni litewskiego ruchu niepodległościowego z czasów II wojny światowej.

Władze Białorusi nagłośniły sprawę niewyjaśnionego zgonu jednego z cofniętych przez Litwę migrantów z Iraku, który w świetle oficjalnego przekazu został pobity przez litewskich pograniczników. Nieznana organizacja islamistyczna Bracia Muzułmanie zapowiedziała pomszczenie swego

współwyznawcy i poinformowała o podłożeniu ładunków wybuchowych w 12 miejscach na Litwie, w tym w trzech dużych centrach handlowych. Alarm okazał się fałszywy, ale zmusił do interwencji litewskie służby, które i tak są wystarczająco przeciążone w związku z kryzysem na granicy.

RUSZAJĄ MANEWRY WOJSKOWE

Wzrost napięcia na granicy Białorusi z Litwą i Łotwą następuje w czasie trwających przygotowań do ćwiczeń Zapad 2021, których skala, sądząc po

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy na Litwę przybyło 4,2 tys. nielegalnych emigrantów, podczas gdy w całym ub.r. liczba ta nie przekroczyła 80 osób. Jeśli przybyszów będzie więcej niż 5 tys., wówczas władze zostaną zmuszone do zgody na ich swobodne przemieszczanie się do innych krajów

już rozpoczętych działaniach, będzie znacznie większa niż w przeszłości. Na Białoruś przybyły już elitarne jednostki rosyjskie, a jak argumentują specjaliści, większość poligonów, na których odbędą się ćwiczenia, umożliwi rozwój wojsk w kierunku zarówno południowym (Ukraina), jak i północnym.

Zapewne nie jest też kwestią przypadku, że Rosja rozpoczyna właśnie duże manewry wojskowe, które odbędą się na Krymie, na Morzach Czarnym i Azowskim, ale również w Abchazji i Osetii. Mają one potrwać do 15 września, co oznacza, że zająć się z ćwiczeniami Zapad 2021, które oficjalnie odbędą się od 10 do 16 września,

ale niektóre elementy tych manewrów, jak się wydaje, już trwają. W praktyce będziemy mieć do czynienia z wzięciem Ukrainy w kleszcze. Ale to niejedyna presja wojskowa Rosji na sąsiadów. Oleksij Reznikow, wicepremier Ukrainy odpowiadający za reintegrację Donbasu, powiedział w trakcie spotkania w waszyngtońskim think tanku Jamestown Foundation, że Rosja przygotowuje się do instalacji rakiet z ładunkami nuklearnymi na terenie anektowanego Krymu.

Moskwa równolegle znacząco zaostriżyła też ton swych wypowiedzi. Minister Szojgu wizytujący znajdujące się na Uralu zakłady, w których produkuje się międzykontynentalne rakiet balistyczne, powiedział, że w Rydze, Tallinie i Warszawie funkcjonują centra szkoleniowe, w których trening przechodzą obywatele Federacji Rosyjskiej po to, aby prowadzić wojnę informacyjną przeciw Rosji. „Dzisiaj propaganda jest rodzajem broni” – powiedział rosyjski minister, zauwagając przy okazji, że „nie chodzi tutaj o garstkę ludzi”. W jego opinii w Warszawie czy Rydze co kwartał „przeszkolenie przechodzą dziesiątki obywateli Federacji Rosyjskiej”. Trudno tej wypowiedzi nie uznać za oskarżenie o formę asymetrycznej agresji wobec Rosji wysunięte pod adresem Polski czy Łotwy.

Rosyjscy komentatorzy są zdania, że obecny kryzys migracyjny na granicy Białorusi i państw bałtyckich doprowadzi do dalszego osłabienia Unii Europejskiej, która nie pomoże Wilnu i Rydze, a z pewnością nie w takim stopniu, jak by tego oczekiwali. I dodają, że Polska i państwa bałtyckie zostaną same z narastającym problemem i zapłacą w ten sposób zarówno za swą antyimigracyjną retorykę sprzed kilku lat, jak i przede wszystkim za to, że uprawiały najbardziej proamerykańską politykę ze wszystkich państw Wspólnoty. Po układzie Merkel – Biden Waszyngton nie przybędzie z pomocą, a następnej próby Paryża i Berlina, aby rozpocząć rozmowy z Putinem, osłabieni i zajęci własnymi problemami nie będą w stanie zablokować.

Złoty standard

Gubernator Nowego Jorku Andrew Cuomo był pompowany przez Partię Demokratyczną na herosa walki z COVID-19 i Donaldem Trumpem. Teraz podał się do dymisji w atmosferze skandalu



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Nowojorczyki wiedzą, że gubernator pracował dzień i noc, aby przeprowadzić ich bezpiecznie przez najgorszy okres tej pandemii, że wprowadził najostrzejsze w Stanach Zjednoczonych przepisy dotyczące posiadania broni oraz płacę minimalną [godzinową – przyp. red.] w wysokości 15 dol. [...] Trzyma on rekord dla postępowych osiągnięć w tym kraju na tyle, że nawet Waszyngton stara mu się dorównać – chwalił gubernatora Nowego Jorku Andrew Cuomo w lutym tego roku jego główny doradca Rich Azzopardi. Wtedy gwiazda Cuomo świeciła jeszcze jasno na firmamencie amerykańskiej polityki, w każdym razie po stronie obozu demokratów.

W 2020 r., w szczycie fali pandemii COVID-19, urodzony w Nowym Jorku polityk włoskiego pochodzenia urządzał codzienne briefingi prasowe na temat swoich postępów w walce z zarazą, tak dobrze zainscenizowane, że przyniosły mu prestiżową nagrodę telewizyjną Emmy. Przy okazji opublikował książkę o swoich zmaganiach („American Crisis: Leadership Lessons from the COVID-19 Pandemic”), która stała się bestsellerem.

Wtedy popierało go ponad 60 proc. nowojorczyków i wielu dopatrywało się w nim prezydenckiego potencjału. Inaczej niż wśród stanowych demokratów, z którymi Cuomo był skłócony. Mieli o nim nie najlepsze zdanie, mimo jego „postępowych sukcesów”, do których zalicza się także ustawę o zdrowiu reprodukcyjnym z 2019 r., pozwalającą de facto na dokonywanie aborcji do dziewiątego miesiąca ciąży. Ale poznali też „innego” Cuomo: zakochanego w sobie, agresywnego, bezwzględnego i bynajmniej nie tak nieskazitelnie czystego, za jakiego się podawał.

KORUPCJA I MOLESTOWANIE

W 2014 r. gubernator rozwiązał tzw. Komisję Moreland, którą sam rok wcześniej powołał, by zwalczać korupcję w polityce stanowej, gdy członkowie komisji zaczęli się interesować jego własnym otoczeniem. Według magazynu „New Yorker” Cuomo dzwonił nawet do Białego Domu, domagając się, aby Waszyngton zakończył działania nowojorskiej prokuratury federalnej, która mimo zamknięcia przez niego komisji dalej prowadziła śledztwa korupcyjne. Waszyngton odmówił, przypominając mu przy okazji, że to, czego się domaga, jest wysoce nieetyczne.

Cztery lata później były współpracownik Cuomo, a tak naprawdę jego prawa ręka, Joseph Percoco został skazany na sześć lat więzienia za przyjmowanie łap

pówek i oszustwa. Cuomo natychmiast się od niego odciął, choć wcześniej nazywał go „trzecim synem” swojego ojca, Mario Cuomo, który w latach 1983–1994 także był gubernatorem Nowego Jorku. Ten szybki ruch to zdaniem amerykańskich mediów dobry przykład metod Cuomo, czyli medialnego efekciarstwa połączonego z postawą roszczeniową.

Gdy wybuchła pandemia COVID-19, gubernator ponownie, jak pisze „Washington Post”, zwietrzył szansę na autopromocję. Wykorzystał do tego swojego brata Chrisa, dziennikarza CNN, któremu udzielał co rusz wywiadów tak skonstruowanych, by jawił się w nich jako bohater i silny lider, szczególnie na tle prezydenta Donalda Trumpa. Nie było dnia, by Cuomo nie pojawiał się na antenie CNN, mówiąc o swojej heroicznej walce z SARS-CoV-2 lub spędzając lockdown w towarzystwie swojej rodziny, gotując przy tej okazji spaghetti czy promując własną książkę. W sierpniu 2020 r. prezydent Joe Biden nazwał Cuomo nawet „złotym standardem” przywództwa w polityce oraz „wzorem dla wszystkich Amerykanów”.

Wtedy zaczęły się już zbierać nad nim czarne chmury. Wyszło m.in. na jaw, że Cuomo ukrywał prawdziwe dane o zgonach w stanowych domach opieki społecznej (zostały one zaniżone w statystykach co najmniej o 50 proc.), a ich liczba znacznie przewyższała średnią krajową. Ponadto gubernator miał załatwić swoim bliskim, w tym bratu z CNN,

testy na COVID-19, gdy dostęp do nich był mocno ograniczony.

W grudniu 2020 r. nadszedł w końcu cios, który ostatecznie pogrążył Cuomo i zmusił go w minionym tygodniu do rezygnacji ze stanowiska.

Jego była doradczyni (w latach 2015–2018) Lindsey Boylan oskarżyła gubernatora o molestowanie seksualne oraz wykorzystywanie jej i innych współpracowników do swoich celów. „To przerażające, że tacy ludzie zachodzą tak daleko” – napisała Boylan na Twitterze. Ten tweet uruchomił lawinę, która zakończyła, zapewne na długi czas, karierę polityczną Cuomo. I to w chwili, gdy Joe Biden się zastanawiał, czy nie zrobić z niego prokuratora generalnego Stanów Zjednoczonych.

Gubernator długo się bronił, ale wobec grożącego mu impeachmentu ze strony Zgromadzenia Stanu Nowy Jork wołał sam odejść ze stanowiska. „Biorąc pod uwagę okoliczności, najlepszym sposobem, w jaki mogę teraz pomóc, jest odsunięcie się na bok i pozwolenie rządowi na powrót do rządzenia. Dlatego to właśnie robię” – mówił Cuomo, ogłaszając 10 sierpnia swoją rezygnację. Jeśli jego ofiary (a było ich według stanowych prokuratorów 11) liczyły na przeprosiny, to się ich nie doczekały. „W moim przekonaniu nigdy nie przekroczyłem granic” – podkreślił Cuomo i dodał, że jest mu wprawdzie przykro, ale nie za to, co zrobił, tylko za to, że w związku z jego działaniami „niektóre kobiety poczuły się poniżone”.

SAMIEC ALFA

Taką linię obrony Cuomo przyjął zresztą od samego początku śledztwa, które ruszyło pięć miesięcy temu. Przekonywał, że to jedno wielkie nieporozumienie, że zawiodły kody kulturowe. On, 64-letni samiec alfa z poprzedniej epoki, po prostu nie wiedział, że jego agresywne zaloty nie są dziś już akceptowane. A gdy proponował współpracownikom partyjki strip pokera, to żartował, tak zwyczajnie, po ludzku.

Prokuratura widziała to zgoła inaczej. Po przesłuchaniu niemal 200 świadków opublikowała porażający dla Cuomo raport. Jest w nim mowa o „napastowa-

niu kobiet, dotykaniu ich i całowaniu wbrew ich woli”, o tworzeniu przez gubernatora toksycznej atmosfery pracy i „działaniach odwetowych wobec kobiet, które odważyły się mieć pretensje o to, jak je traktował”. Zza idealnej fasady wyłoniła się brzydka twarz polityka, który – jak podkreślają działaczki ruchu #MeToo – postępowy jest tylko w warstwie deklaratywnej.

Jego wrogowie w Partii Demokratycznej nie są zaskoczeni. W końcu Cuomo pisze w swojej książce, tej o pandemii, która trafiła na listę bestsellerów „New York Timesa”, że „jego naturalnym instynktem jest agresja”. „To nie jest tylko agresywny polityk. To coś więcej. On ma swoją narrację, a jeśli nie zgadzasz się publicznie z tą narracją, to cię znisz-

„To przerażające, że tacy ludzie zachodzą tak daleko” – napisała Lindsey Boylan, oskarżając byłego gubernatora Nowego Jorku o molestowanie seksualne. Ten tweet uruchomił lawinę, która zakończyła, zapewne na długi czas, polityczną karierę Cuomo. I to w chwili, gdy Joe Biden się zastanawiał, czy nie zrobić z niego prokuratora generalnego USA

czy” – twierdzi Monica Klein, lewicowa działaczka, która pracowała przez wiele lat dla rywala Cuomo, byłego burmistrza Nowego Jorku Billa de Blasio. I Cuomo niszczył. Gdy któraś z podwładnych nie godziła się na jego zaloty, groził jej sankcjami, co oznaczało w ciasnym politycznym świecie Nowego Jorku koniec kariery.

Do więzienia były już gubernator wprawdzie nie pójdzie, stawiane mu zarzuty nie są na tyle poważne, by wytoczyć mu sprawę karną, ale zapewne

czeka go fala pozwów cywilnych. Ale do polityki może już nie wrócić. W końcu do dymisji zachęcał go sam prezydent Joe Biden, który wpisał sobie przeciw walkę o prawa kobiet na sztandary. Cuomo nie pasuje już do progresywnej agendy demokratów, a republikanie podają go za przykład zepsucia moralnego i politycznego obecnej administracji w Waszyngtonie. Musi zniknąć z polityki. Im szybciej, tym lepiej.

HIPOKRYZJA DEMOKRATÓW

Trudno nie dopatrywać się tu hipokryzji u demokratów, którzy przecież wiedzieli, że Cuomo to narcystyczny megaloman, i to o wiele gorszy niż znienawidzony przez nich Trump. A pogłoski o jego zachowaniu, szczególnie wobec kobiet, krążyły od lat. Pompowali go mimo tego, pomogli wykreować mit bohatera w walce z pandemią i podtrzymywali go nawet wtedy, gdy stało się jasne, że to nieprawda. Cel (walka o Białą Dom) najwyraźniej uświęca środki. Zdanie o „złotym standardzie” zapewne jeszcze długo będzie przesładować Bidena, bo prawicowe media za Oceanem nie pozwolą mu o tym zapomnieć.

Nowym gubernatorem stanu Nowy Jork została demokratka Kathy Hochul, dotychczasowa zastępczyni Cuomo. To ona prowadziła w jego imieniu kampanię „Dość znaczy dość!” (Enough is Enough) przeciwko przemocy seksualnej na uniwersyteckich kampusach. Hochul obiecała „zmianę klimatu pracy” w biurze gubernatora oraz zadeklarowała, że choć się tego nie spodziewała, jest gotowa rządzić stanem.

Tymczasem Cuomo zastanawia się nad swoją polityczną przyszłością, bo, jak twierdzi „Washington Post”, były gubernator jest przekonany, że wciąż taką ma. Dlatego podał się do dymisji, zanim doszło do wszczęcia procedury impeachmentu. Inaczej nie mógłby w przyszłości kandydować do żadnego wybieralnego urzędu. Tyle że na razie niewiele mu to pomaga. Jest persona non grata u demokratów i mogą minąć lata, zanim obecny, głośny skandal zostanie mu wybaczone. Jeśli w ogóle tak się stanie.

Fenomen Carlsona

Słynny „The Times” nazwał go niedawno „najpotężniejszym głosem konserwatystów w Stanach Zjednoczonych”



GORAN ANDRIANIĆ

Jego program w Fox News jest obecnie najchętniej oglądany spośród wszystkich telewizyjnych kanałów informacyjnych, a widownia każdego wieczoru przekracza 3 mln.

Koszulki i kubki z jego wizerunkiem to prawdziwy hit w sklepach internetowych dla konserwatywnych wyborców. Ostatnio sprzedają się zresztą lepiej niż te z wizerunkiem byłego prezydenta Donalda Trumpa.

Jeszcze większą sławę wśród europejskiej opinii publicznej dziennikarz zyskał po niedawnej wizycie na Węgrzech i po rozmowie z premierem Viktorom Orbánem.

To Tucker Carlson, który w wieku 52 lat przeżywa szczyt swojej dziennikarskiej kariery. Jego program „Tucker Carlson Tonight” nie tylko pobił wszystkie rekordy oglądalności. W ostatnich latach stał się być może najważniejszym czynnikiem w tworzeniu nowej polityki amerykańskiej prawicy. Polityki, która wymaga redefinicji po tym, jak Trump musiał opuścić Białą Dom.

NADZIEJA REPUBLIKANÓW

W swoim programie Carlson, jak niektórzy zauważyli, nie podąża za tematami i wydarzeniami – on je tworzy. Jego poglądy w sprawie potrzeby ograniczenia migracji w Stanach Zjednoczonych, krytyka błędnego traktowania problemu rasizmu, a także ostrzeżenia o dystansowaniu się elit politycznych od rzeczywistych problemów amerykańskich wyborców, zwłaszcza klasy robotniczej i średniej – to



wszystko ma konkretny wpływ i niesie ze sobą konsekwencje polityczne.

Oto jeden przykład. We wrześniu ub.r. w programie Carlsona wystąpił Christopher Rufo, przeciwnik krytycznej teorii rasowej (CRT). Teoria ta mówi, że Stany Zjednoczone i ich system nadal są zbudowane tak, aby wywyższyć jedną rasę – białą – i zdominować inne. Rufo ostrzegł wówczas, że CRT, która opiera się na koncepcji „białej winy”, coraz bardziej dominuje w amerykańskich szkołach oraz instytucjach. Krótko po tej wizycie prezydent Donald Trump zatwierdził uchwałę zakazującą wszystkich szkoleń w agencjach federalnych opartych na CRT. Twierdzi się, że zrobił to po obejrzeniu programu Carlsona.

To właśnie krytyczna teoria rasy stała się ostatnio jednym z najczęstszych tematów w jego programach. Nie ma wątpliwości, że program „Tucker Carlson Tonight” wprowadził ten temat w samo centrum kulturalnej i politycznej wojny toczzonej w Stanach Zjednoczonych. Wszyscy się zgadzają, że to właśnie z powodu Carlsona Partia Republikańska upiera się przy tym temacie.

„Biali są oskarżani absolutnie o wszystko. O złe odżywianie, o astmę i rozwody w społecznościach czarnoskórych. Nie słyszymy więcej od naszych przywódców o znaczeniu harmonii rasowej. Nikt już nie twierdzi, że »pod skórą« jesteśmy tacy sami. Teraz nacisk kładzie się na nasze różnice. Twierdzi się, że głęboko w sercu każdego białego człowieka tkwi trucizna zwana rasizmem. Nie możemy się od tego uratować. Urodziliśmy się z nienawiścią w nas” – pisał Carlson sarkastycznie w swojej książce „Ship of Fools” o absurdalnych tezach CRT, wyrażając w ten sposób myśli wielu Amerykanów.

„On jest przywódcą amerykańskiej opozycji” – napisał o nim konserwatywny publicysta Rod Dreher.

„Przyszłość Partii Republikańskiej jest określona w jego programie. Gdy Trump powoli słabnie, Carlson przejmuje wszystko, co było dobre w walce byłego prezydenta, i z powodzeniem to kontynuuje” – precyzuje Dreher.

Siły konserwatywne w USA przeżywają kryzys instytucjonalny. W ostatnich wyborach republikanie przegrali Białą Dom i Senat. Carlson wykorzystał

to i zajął miejsce polityków reprezentujących niezadowolonych konserwatywnych wyborców. A jest ich dużo.

„Droży widzowie, powoli zaczynacie rozumieć jedną ważną rzecz. Wasze dzieci nie będą mogły odnieść takiego sukcesu jak wy. Amerykański sen umiera na waszych oczach”. To jest część jednego z monologów Carlsona, który przemawia przed milionami ludzi. A oni uważnie go słuchają.

OD „THE WEEKLY STANDARDS” PO FOX NEWS

Tucker Carlson urodził się w 1969 r. w San Francisco i dorastał w zamożnej rodzinie, w elitarnych dzielnicach kalifornijskich miast. Jego ojcem jest Dick Carlson, dziennikarz i dyplomata, który był m.in. redaktorem naczelnym „Voice of America”. Matka, Lisa McNear, zostawiła męża i dwóch małych synów, aby poświęcić się „życiu bohemy”. Tucker miał wtedy sześć lat. Było to wydarzenie, które według jego samego pozostawiło na nim duży ślad.

Swoje pierwsze dziennikarskie kroki stawiał w gazetach, a pierwszą poważną pracą była ta w konserwatywnym czasopiśmie „The Weekly Standards”, którą rozpoczął w 1995 r. W ciągu następnych kilku lat pisał do wielu magazynów, w tym również tych bardziej liberalnych – jak „The New York Times Magazine” i „Esquire”.

Ten okres sprawił, że został zaakceptowany i rozpoznawany w amerykańskim głównym nurcie dziennikarskim. Był postrzegany jako twarz amerykańskiego konserwatywnego dziennikarstwa, które ma błogosławieństwo lewicowo-liberalnego głównego nurtu. Dziś ten obraz zginął bezpowrotnie.

„Co się stało z Tuckerem Carlsonem?” – to tytuł analizy sukcesu Carlsona opublikowanej w jednym z lewicowo-liberalnych mediów.

Popracy w CNN i kilku innych telewizjach informacyjnych w 2009 r. Carlson trafia do Fox News, a w listopadzie 2016 r. zaczyna tam prowadzić autorski „Tucker Carlson Show”.

W następnych latach dziennikarz walczył, by jego show zdobył tytuł najczęściej oglądanego programu informacyjnego. Niewielki spadek oglądalności

nastąpił w 2018 r., kiedy kilku głównych reklamodawców ogłosiło, że z powodu „kontrowersyjnych” oświadczeń na temat migracji nie będą już wykupować czasu w jego programie.

Carlson stwierdził wówczas, że migracja sprawia, iż Stany Zjednoczone są „jeszcze biedniejszym, brudniejszym i bardziej podzielonym” państwem. Po emisji programu odmówił przeprosin, twierdząc, że jego oświadczenie zostało wyrwane z kontekstu. Mniej więcej w tym samym czasie przed jego domem w Waszyngtonie zebrał się protestujący z organizacji Antifa, a media głównego nurtu zaczęły pisać przeciwko niemu ostre słowa.

Drugi, mniejszy i przejściowy, spadek oglądalności nastąpił, gdy Carlson

Carlson pojechał na Węgry, aby z Budapesztu chwalić Orbána i sytuację polityczną w tym kraju. Lewicowo-liberalne media w USA oszalały na punkcie tej podróży

zdystansował się od Trumpa i jego walki o unieważnienie wyborów prezydenckich.

Jednak Carlson i jego program przetrwali wszystkie zawirowania, a dziś są silniejsi niż kiedykolwiek.

WĘGIERSKA ESKAPADA CARLSONA

Jak zauważył kiedyś magazyn „Politico”, nie ma żadnego poważnego amerykańskiego medium, które nie próbowałoby wyjaśnić fenomenu Carlsona.

On jest człowiekiem, któremu jego publiczność ufa. I to w każdej kwestii – od szczepień przeciwko COVID-19 (jest sceptycznie nastawiony do szczepionki i odmawia odpowiedzi, czy był szczepiony, czy nie), po bieżące kwestie polityczne.

A teraz ten sam Carlson pojechał na Węgry, aby z Budapesztu chwalić Viktora Orbána i sytuację polityczną w tym kraju.

Poza tym, że przeprowadził mocną rozmowę z premierem Węgier („Zachodni liberalowie nie mogą zaakceptować tego, że wewnątrz zachodniej cywilizacji istnieje konserwatywna narodowa alternatywa, która odnosi sukcesy. Dlatego nas krytykują” – powiedział mu Orbán), Carlson udał się też na granicę węgiersko-serbską i pochwalił system uniemożliwiający nielegalnym imigrantom wjazd do kraju. Porównał to do sytuacji na granicy amerykańsko-meksykańskiej, gdzie system jest chaotyczny i praktycznie nie działa.

„Przyjechałem tutaj, aby sprawdzić wszystko, co zachodnie media piszą o Węgrzech. I zdalem sobie sprawę, że Orbán po prostu sprzeciwia się George’owi Sorosowi, który chce po swojemu modelować państwo węgierskie. Orbán w rzeczywistości broni demokracji przed tymi organizacjami pozarządowymi, które nie odpowiadają przed nikim oraz przed poszczególnymi rządami na Zachodzie. Jest bojownikiem o demokrację” – powiedział Carlson węgierskim mediom tuż przed wizytą.

Media w Stanach Zjednoczonych, zgodnie z oczekiwaniami, oszalały na punkcie podróży Carlsona do Europy Środkowej.

„The Washington Post”, „The New York Times” i inne lewicowo-liberalne media pisały o tym, jak Orbán, ten „nacjonalista” i „faszysta”, stał się „wzorem dla amerykańskiej prawicy”. Ich strach jest zrozumiały. Jak już pisałyśmy, Carlson i jego show są niezwykle wpływowi. To, że amerykańska opinia publiczna zetknie się z narracją, która nie przedstawia Orbána, a także innych krajów Europy Środkowej jako szalonych totalitarystów, jest z pewnością powodem do niepokoju dla lewicowo-liberalnego establishmentu w Stanach Zjednoczonych. W sytuacji redefiniowania polityki amerykańskiej prawicy doświadczenia Węgier i Polski mogą być bardzo interesujące, na co wskazywało także kilku konserwatywnych intelektualistów z USA.

W każdym razie Carlson i jego program pozostają prowokacyjni, nadal wwołując dyskusje o ważnych kwestiach politycznych. A to jest definicja dobrej publicystyki.

Drogi zielony świat

Zaproponowana przez Komisję Europejską wizja neutralnej klimatycznie Europy może się wydawać bardzo pociągająca. Pewnie każdy mieszkaniec Unii chciałby żyć w świecie czystym, cichym i pełnym bujnej przyrody. Tyle że nie każdego będzie na to stać



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Komisja Europejska (KE) chce, aby w ciągu najbliższych ośmiu lat państwa Unii zredukowały emisję gazów cieplarnianych o 55 proc., a w roku 2050 obniżyły ją do zera. Wszystko to miałoby, przynajmniej teoretycznie, powstrzymać niebezpieczne skutki kryzysu klimatycznego. Czy rzeczywiście tak się stanie, tego nie wiemy. Można mieć tu uzasadnione wątpliwości, bo po pierwsze, nie wszyscy uważają, że obecne zmiany klimatyczne są wywołane wyłącznie działalnością człowieka, a po drugie, z ratowaniem klimatu jest trochę tak jak ze zwalczaniem pandemii, którą można powstrzymać jedynie wówczas, gdy wszyscy się zaszczepią. Jeśli więc Europa będzie ograniczać emisję gazów, a nie zrobią tego główni truciiele, czyli Indie i Chiny, to na niewiele się to zda.

Być może więc – jak twierdzą sceptycy – wcale nie chodzi wyłącznie o klimat, ale również o coś innego. Na przykład o pieniądze. Drastyczne tempo redukcji gazów, zaproponowane przez KE, oznacza bowiem prawdziwą rewolucję, nie tylko technologiczną i gospodarczą, lecz również społeczną. Zyskają na niej najbogatsi, którzy dzięki swojej przewadze ekonomicznej i technolo-

gicznej staną się jeszcze bogatsi. Wiąże się z tym jeszcze jedno wytłumaczenie, że oto Europa czy – szerzej – świat zachodni chce, narzucając nowe wyśrubowane standardy technologiczne, pozostawić daleko w tyle konkurencję z innych rejonów świata i naprawić tym samym błąd, jakim było przeniesienie produkcji przemysłowej do państw o tańszej sile roboczej. Pewną podpowiedzią może być tu tzw. cło węglowe, które ma ograniczać dostęp do unijnego rynku towarom, których producenci emitują zbyt wiele dwutlenku węgla.

Można też oczywiście wierzyć w bezinteresowność pomysłodawców unijnego planu redukcji gazów cieplarnianych, nazwanego „Fit for 55” („Dostosowani do 55”). Wiceprzewodniczący KE Frans Timmermans wyjaśnił na łamach „Rzeczpospolitej”, że trzeba za wszelką cenę uniknąć sytuacji, w której ludzkość będzie w przyszłości toczyć wojny o wodę i pożywienie. I nawet trudno nie odmówić pewnej racji temu rozumowaniu. To jasne, że nasze bezpieczeństwo ma dzisiaj charakter globalny, a nikt nie chciałby np. dalszego zaostrzenia kryzysu migracyjnego i związanych z tym niepokojów, które byłyby nieuchronnym skutkiem kurczenia się zasobów. Tyle że tempo i skala proponowanych przez Komisję zmian są tak wysokie, że można przy tej okazji wylać dziecko z kąpielą i doprowadzić do poważnego konfliktu społecznego wewnątrz samej Europy.

Przedsmak tego, co może nas czekać, mieliśmy już w Paryżu, gdzie doszło do starć między policją a „żółtymi kamizel-

kami” protestującymi przeciwko doliczaniu do cen paliwa „opłaty ekologicznej”. Skoro więc protestują Francuzi, to co mają powiedzieć znacznie od nich ubożsi mieszkańcy Europy Środkowo-Wschodniej, w tym Polacy, których po wprowadzeniu unijnego planu może czekać ekonomiczne trzęsienie ziemi?

Timmermans zdaje sobie z tego sprawę i proponuje dość enigmatyczny „fundusz społeczny”, z którego miałyby być wypłacane rekompensaty. Tyle że nie uchronią nas one przed podwyżkami, bo przecież taki fundusz musi skądś brać pieniądze. Skąd? To przecież jasne, że z naszych podatków. A zatem najprawdopodobniej sami sobie będziemy wypłacać rekompensaty.

UBÓSTWO NA TALERZU

Żeby uświadomić sobie skalę czekających nas podwyżek, musimy uzmysłowić sobie, co to znaczy ograniczenie do 2030 r. emisji gazów cieplarnianych o 55 proc. Niemal wszystko, co jest nam dziś potrzebne do normalnego funkcjonowania, pozostawia tzw. ślad węglowy, począwszy od żywności (zwierzęta hodowlane, nawozy), poprzez urządzenia elektryczne i ogrzewanie, na transporcie skończywszy. Chodzi teraz o to, aby – przykładowo – nasz codzienny posiłek pozostawiał o ponad połowę śladu węglowego mniej. Aby to osiągnąć, są trzy możliwości – zapłacić za żywność o ponad połowę więcej, jeść o ponad połowę mniej lub zmienić dietę na bardziej ekologiczną, choć znacznie droższą. Oczywiście mało kto dobrowolnie zrezyg-



Fot. Shutterstock

nuje z dotychczasowej diety, zwłaszcza jeśli nie będzie go na to stać, więc będzie trzeba opornych do tego zmusić. Jak? Po prostu nakładając np. na produkty zwierzęce tak wysoki podatek, aby cena mięsa lub nabiału przebiła i tak wysokie ceny roślinnych zamienników.

Przy okazji oznaczać to będzie totalną rewolucję w rolnictwie, bo produkcja zwierzęca (i wszystko co jest z nią związane – np. produkcja pasz) po prostu przestanie się opłacać. Zarabiają za to wielkie koncerny produkujące wysoko przetworzone zamienniki roślinne. Już dziś produkuje się w Ameryce syntetyczne substytuty m.in. wołowiny, wieprzowiny, kurczaka oraz ryb. Pozyskuje się je z komórek macierzystych pobranych od żywych zwierząt, a następnie hoduje w laboratoriach. Są również roślinne zamienniki mięsa produkowane z przetworzonych białek grochu, soi i innych roślin, a także jajka wytwarzane z alg i sojowy nabiał. Jaki to może mieć skutek dla naszych żołądków i zdrowia, trudno dziś przesądzać,

z pewnością jednak odbije się to – i to mocno – na naszych portfelach. Oraz na naszym rolnictwie i przemyśle przetwórczym, które nie mają takich środków, aby wystartować w konkurencji na „ekologiczną” żywność z zachodnimi – głównie amerykańskimi – gigantami.

AUTA DLA BOGATYCH

Podobny mechanizm będzie dotyczyć samochodów. W tej chwili niemal wszyscy poruszamy się autami spalinowymi, które – owszem – zanieczyszczają środowisko, ale na razie mają tę przewagę nad elektrycznymi, że są od nich znacznie tańsze. Z pewnością nikt jednak nie miałby nic przeciwko temu, aby przesiąść się do elektrycznego samochodu, gdyby nie jego zawrotna – zwłaszcza jak na polskie warunki – cena. Głównym składnikiem tej wysokiej ceny jest zasilająca elektryczne auto bateria, co do której można mieć zresztą poważne wątpliwości, czy jest ekologiczna. Ale ustaliliśmy już, że nie tylko o ekologię tu chodzi.

Z publikowanych co jakiś czas prognoz dotyczących kształtowania się cen samochodów elektrycznych wynika, że już wkrótce ich ceny zrównają się ze spalinowymi, a najdalej za pięć, sześć lat będą od nich tańsze. To, wydawałoby się, dobra wiadomość. Tyle że – podobnie jak w przypadku „ekologicznej” żywności – to zrównanie cen nie będzie osiągnięte dzięki znaczącej obniżce kosztów aut elektrycznych, lecz, przeciwnie, poprzez konsekwentne podbijanie ceny nowych aut spalinowych, tak aby za parę lat ich zakup był po prostu dla przeciętnego nabywcy nieosiągalny. Już dziś ceny nowych aut spalinowych pędzą w górę, co zostało wymuszone – jak twierdzą producenci – wyśrubowanymi normami ekologicznymi dla silników. Szczególnie dotkliwe jest to w przypadku małych, tańszych aut, których produkcja po wprowadzeniu nowych, zaostrzonych norm po prostu przestaje się kalkułować. Ich ceny będą bowiem nieakceptowalne dla klientów.

Wkrótce zresztą ten problem zniknie, bo i tak w 2035 r. ma wejść w życie zakaz rejestrowania nowych aut spalinyowych. Ci, którzy nadal będą używali takich samochodów, też oberwą po kieszeni. Należy się bowiem spodziewać, że już niebawem wprowadzone zostaną kolejne ograniczenia dla aut spalinowych starszej generacji (np. zakaz wjazdu do centrów miast, wyższe opłaty rejestracyjne itp.), co sprawi, że posiadanie takiego auta lub zakup używanego również przestanie się opłacać. Pozostaną więc jedynie auta elektryczne. Droższe w zakupie i w eksploatacji – bo prąd przecież drożeje.

Doprowadzić to musi do prawdziwej rewolucji w życiu wielu ludzi. Dziś – jeśli chodzi o samochody – dzielimy się na, mniej więcej, trzy kategorie: tych, którzy nie muszą mieć samochodu i korzystają z innych rodzajów transportu (bo np. mieszkają w mieście), tych, dla których auto jest koniecznością (bo pracują w usługach, mieszkają z dala od pracy lub szkoły itd.), oraz tych, którzy samochodu mieć nie muszą, ale go mają (bo lubią, bo ich stać itp.). Po czekających nas zmianach bez szwanku wyjdzie jedynie pierwsza i trzecia kategoria. Ci ostatni są bowiem zwykle wystarczająco bogaci, aby sprawić sobie elektryczne auto, choć żeby mogli w pełni korzystać z walorów takiego samochodu, konieczna jest jeszcze pilna budowa w całym kraju infrastruktury do ładowania, ale to chyba najmniej ważne dziś zmartwienie (jedynie pytanie brzmi, czy sieci energetyczne uciagną zwiększony pobór mocy?).

Co zatem z drugą kategorią, a więc tymi, którzy bez samochodu nie mogą się obyć? Część z nich będzie musiała ograniczyć mobilność, inni spróbują przeprosić się z transportem publicznym (o ile uda się go poza miastami odbudować), jednak większość zostanie na lodzie lub będzie musiała skorzystać z propozycji firm oferujących długoterminowy wynajem aut elektrycznych. Oczywiście ci, którzy będą mogli, wliczą sobie wyższe koszty w cenę wykonywanych usług, pozostałych czeka spadek dochodów.

ZAPOMNIJCIE O PODRÓŻACH

Ceny elektryczności, która ma być podstawowym źródłem energii w neutralnej klimatycznie Europie, już od kilku lat mocno idą w górę. Przyczyną podwyżek są uwarunkowania ekologiczne, a konkretnie Europejski System Handlu Emisjami (ETS). Zgodnie z nim każde państwo posiada darmową pulę pozwoleń do emisji dwutlenku węgla. Jest ona, z definicji, zbyt mała, więc trzeba dokupywać brakujące pozwolenia na giełdzie. A że co roku darmowa pula się kurczy, to i cena pozwoleń na giełdzie rośnie. Dla krajów takich jak Polska, których energetyka oparta jest na węglu, jest to główna przyczyna wzrostu cen energii i jednocześnie

„Bezemisyjne” żywność, energia lub samochody są bardzo drogie. Ludzie będą jednak zmuszeni do ich zakupu, bo to, czego używali do tej pory, zostanie obłożone wysokimi dopłatami ekologicznymi

impuls do przejścia na źródła odnawialne. Z powodu rosnących cen energii cierpi cała gospodarka, która traci w ten sposób swoją konkurencyjność, przy czym przejście na źródła odnawialne niczego tu nie zmieni, bo wytworzona w ten sposób energia jest droższa.

W ciągu ostatnich sześciu lat energia zdrożała w Polsce o 60 proc., a – biorąc pod uwagę założenia unijnego planu klimatycznego – podwyżki będą jeszcze wyższe, co gwałtownie odbije się na cenach wszystkich towarów i usług.

Jednocześnie KE proponuje, aby dotychczasowy system handlu emisjami i przyznawanymi pozwoleniami poszerzyć i włączyć do niego kolejne – obok energetyki – branże takie jak budownictwo i transport. Oznacza to wzrost cen biletów, zwłaszcza lotniczych (czas zapomnieć o wakacyjnych wojażach), oraz

podwyżki cen mieszkań oraz kosztów ich ogrzewania. Jeśli będzie ono zostawiało ślad węglowy, to przyjdzie za to sporo dopłacić. Oczywiście ostateczne koszty poniosą, w rachunkach za ogrzewanie i prąd, właściciele nieruchomości lub najemcy.

KOLEJNY DEAL

Czy to wszystko oznacza, że zaproponowana przez KE wizja neutralnej klimatycznie Europy jest całkowicie błędna? Nie o to chodzi. Pewnie każdy mieszkaniec Unii chciałby żyć w świecie czystym, cichym i pełnym bujnej przyrody. Tyle że takie plany należy wprowadzać ewolucyjnie, być może przez całe dekady. Główny problem stanowi bowiem drastyczne tempo wprowadzania zmian, co sprawi, że standard życia wielu społeczeństw, zwłaszcza tych będących na dorobku, zamiast się poprawić, gwałtownie spadnie, ponieważ znacząca większość będzie musiała się ograniczyć do zaspokajania podstawowych potrzeb. A to może wywołać poważne perturbacje społeczne.

Do szybkich zmian popychają ekologiczni fanatycy, którzy uważają, że osiem lat to i tak za dużo, bo klimat nie może czekać ani sekundy dłużej. Ale ekofanatyzm to tylko jedna strona medalu. W tej chwili Europa z trudem wychodzi (o ile w ogóle wychodzi) z pandemii i wywołanego przez nią kryzysu. Jednak z drugiej strony taki moment może się wydawać idealny na dokonanie szybkiego przeobrażenia. Trudno bowiem nie dostrzec, że proponowane zmiany umożliwiają ogromny transfer pieniędzy np. w rolnictwie lub energetyce. Jeśli my za wszystko zapłacimy drożej, to przecież oznacza to, że ktoś na tym więcej zarobi. Być może więc ten pośpiech w ratowaniu klimatu nie wynika tylko z troski o naturę, ale również, a może przede wszystkim, z chciwości.

Niewykluczone więc, że to, co obserwujemy, jest jedynie nową odsłoną trwającego już od ponad półwiecza mariażu lewicy z wielkim kapitałem. Radykałowie ubezwłasnowolnią nas w ramach kolejnej misji zbawienia świata, a międzynarodowe korporacje przy tej okazji przetrzepią nam kieszenie. 

K

ULTURY

„Annette”, „Dom Gucci”, „Ostatni pojedynek”

– każdy z filmów, w których w tym roku Adam Driver pojawi się na kinowym ekranie, to wydarzenie.

Według Martina Scorsesego to jeden z najlepszych aktorów swojego pokolenia. Cenią go zarówno Ridley Scott, jak i Quentin Tarantino



Idol milenialsów



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

O takich aktorach mówiło się dawniej „charakterystyczny”. Obiektywnie rzecz biorąc, Adam Driver nie grzeszy urodą, a jednak się podoba. Kochają go widzowie, cenią reżyserzy. Coraz bardziej charyzmatyczny brzydak Hollywood przyciąga uwagę kolejnymi rolami.

Sięgnął gwiazd nie tylko za sprawą przebojowych megaprodukcji (jako Kylo Ren pojawił się w trzech częściach „Gwiezdnych wojen”: „Epizod VII: Przebudzeniu Mocy” 2015, „Epizod VIII: Ostatnim Jedi” 2017, „Epizod IX: Skywalker. Odrodzenie” 2019), lecz również dzięki kameralnym dramatom (zwłaszcza „Historii małżeńskiej”) i kinowym eksperymentom („Annette”). W filmie Leosa Caraxa, który wchodzi właśnie na nasze ekrany, nie tylko wcielił się w główną postać, lecz został też jednym z jego producentów.

STAND-UP I OPERA

Już podczas otwarcia tegorocznego festiwalu w Cannes „Annette” zyskała miano najdziwniejszej produkcji covidowego sezonu. Film w kinie, zderzenie scen: standupowej i operowej, elementy musicalu, umowność scenograficzna i aktorska. Tytułową postać „gra” i zarazem „uosabia” lalka. To z nią wchodzi w relacje główni bohaterowie – wzięty komik i uwielbiany przez widzów diva, którzy wielką miłość wieńczą tragicznie i zarazem pompatycznie, jak przystało na

– również po części operowy – charakter opowieści.

W budowaniu artystycznej wizji nagrodzonego w Cannes za reżyserię Leosa Caraxa wsparli aktorzy. Zwłaszcza Marion Cotillard i Adam Driver, który dla roli prowokacyjnego komika Henry’ego po raz kolejny wyszedł, jak się wydaje, z aktorskiej strefy komfortu. Musiał m.in. śpiewać, w naturalny sposób poruszać się po dużych przestrzeniach – i scenicznych, i plenerowych – a także otwierać się i odsłaniać przed tłumem, co dla człowieka, który (jeśli tylko może) unika zainteresowania ludzi, z pewnością nie było łatwe.

ARMIA PIONIZUJE

Jak to się stało, że startując tak późno (jako 29-latek) w aktorskim zawodzie i grywając z początku głównie „niestabilnych emocjonalnie dziwaków”, wdarł się do hollywoodzkiej czołówki? I zyskał tytuł „idola milenialsów”?

Drągał z za długimi, zaburzającymi harmonię ruchu, rękami, z kanciastą twarzą cierpiącego na depresję introwertyka, właściwie nie powinien wychodzić z aktorskiej niszy. A osiągnął spektakularny sukces. Pomogły skutki decyzji, którą podjął jako 18-latek.

Po zamachach z 11 września 2001 r. zaciągnął się do marines. „Armia pionizuje, mordercze szkolenia wybiły mi z głowy wszelkie rozterki egzystencjalne. Było mi to wtedy potrzebne” – wspominał w jed-

„Historia małżeństwa”

nym z wywiadów. Był waleczny, ale zamiast do Iraku po dwóch latach służby trafił do cywila (z powodu poważnej kontuzji). Przeżył załamanie, a potem... wrócił do niezrealizowanego przed pobylem w armii marzenia. Poszedł do szkoły aktorskiej. „Wojsko uczy przetrwania w ekstremalnych sytuacjach, stawienia czoła strachowi, zmęczeniu, bólowi i śmierci. W kinie lub na scenie są to uczucia, które gramy. Ale gramy je jeszcze lepiej, jeśli ich doświadczaliśmy” – stwierdził po latach.

KYLO NA ORBICIE

Popularność przyniósł mu serial HBO „Dziewczyny” (2012–2017), w którym zagrał partnera głównej bohaterki, początkowo irytującego niezdare i „neandertalczyka” – jak pisały o nim media społecznościowe – z każdym kolejnym sezonem zaskarbiającego uwielbienie fanów serii. Prawdziwa sława przyszła jednak wraz z rolą Kylo Rena w „Gwiezdnym wojnach”. Pierwszy raz wcielił się we wnuka Dartha Vadera w 2015 r. Miał 32 lata.

„Przebudzenie mocy” wyniosło go na gwiazdorską orbitę. A potem pojawiły się propozycje współpracy z najznakomitszymi reżyserami, w bardzo różnych projektach, m.in. „Milczniu” Martina Scorsese, „Patersonie” Jima Jarmuscha, „Czarnym bractwie. BlacKkKlansman” Spike’a Lee (nominacja do Oscara za drugi plan) i „Historii



„Gwiezdne wojny: Skywalker. Odrodzenie”

małżeńskiej” Noah Baumbacha (nominacja do Oscara za rolę pierwszoplanową).

RAMBO W PERSPEKTYWIE

Według Martina Scorsese Driver to jeden z najlepszych aktorów swojego pokolenia, Ridley Scott zaprosił go do współpracy przy dwóch filmach, które będą mieć premierę w tym roku. W „Domu Gucci” Driver wcielił się w postać Maurizia, wnuka założyciela legendarnego włoskiego domu mody, który w 1995 r. został zastrzelony przed swoim biurem. Jego ekranową partnerką była Lady Gaga. Z kolei w „Ostat-

nim pojedynku”, według scenariusza m.in. Matta Damona i Bena Afflecka, przeniósł się do średniowiecznej Francji, gdzie spór między dawnymi przyjaciółmi ma rozstrzygnąć tytułowe starcie na śmierć i życie.

Ostatnio zwrócił na niego uwagę także Quentin Tarantino. Reżyser „Pewnego razu... w Hollywood” stwierdził, że gdyby chciał zrobić naprawdę dobry film, sięgnąłby po powieść Davida Morrella „Pierwsza krew” i zamiast luźnej adaptacji jego ekranizacja mocno trzymałaby się jej treści. A komu powierzyłby rolę Rambo? Oczywiście Driverowi.

Fot. mat. prasowa

REKLAMA

**Mała
rata**
na szkolne
wydatki

Pożyczka Zaratka
RRSO: 7,23%

Dostępna przez telefon,
Internet lub w placówce

25 zł
miesięcznie
za każdy 1000 zł
0 zł prowizji

KASA STEFCZYKA

Zawsze u siebie

kasastefczyka.pl

801 600 100

(koszt wg taryfy operatora)

Pożyczka Zaratka dostępna wyłącznie w kwotach 1000 zł, 2000 zł, 3000 zł lub 4000 zł, dla członków nieposiadających pożyczek lub kredytów w Kasie w okresie co najmniej 6 miesięcy przed dniem złożenia wniosku. Minimalny i maksymalny okres spłaty Pożyczki Zaratka wynosi 48 miesięcy. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej.

Przykład reprezentatywny z dnia 1.07.2021 r. dla Pożyczki Zaratka: Całkowita kwota kredytu wynosi 4000,00 zł. Zmienna roczna stopa oprocentowania dla całkowitej kwoty kredytu wraz z kredytowanymi kosztami (prowizją 0 zł) wynosi 7%. Rzeczywista roczna stopa oprocentowania (RRSO): 7,23%. Czas obowiązywania umowy – 48 miesięcy, 47 miesięcznych rat równych: 95,80 zł oraz ostatnia, 48. rata: 96,03 zł. Całkowita kwota do zapłaty: 4598,63 zł, w tym odsetki: 598,63 zł.

Idą po nasze dzieci

Minister edukacji Hiszpanii Isabel Celaá w trakcie ubiegłorocznej debaty parlamentarnej powiedziała: „Dzieci nie należą do rodziców, lecz są przyszłymi wyborcami lewicy i trzeba je uchronić przed wadami, których nabawiają się w rodzinnym domu”. Uchwalona w połowie listopada 2020 r. ustawa hiszpańskiego parlamentu radykalnie ogranicza wpływ hiszpańskich rodziców na program nauki pobierany przez ich dzieci. I stanowi: sześciolatki „muszą poznać ludzki wymiar seksualności w całej swojej różnorodności”. Trwa rewolucja. Marksieści kulturowi idą po nasze dzieci.

Książką o tym właśnie tytule zamykam 15-letni etap mojej publicystyki. Z fascynacją przyglądałem się przez ostatnie półtorej dekady rozwojowi globalnej rewolucji. Marksieści gramscianscy osiągnęli po 1968 r. w pół wieku hegemonię kulturową na Zachodzie. Wcześniej rewolucjonieści zrozumieli, że władzę sprawuje się poprzez posiadanie przemożnego wpływu na dwa podstawowe kanały artykulacji i zabezpieczania interesów rządzących: na władzę czysto polityczną (aparatus państwowy i administrację) oraz kulturową, umiejscowioną w instytucjach religijnych, oświatowych, naukowych, artystycznych i w mediach. Dzięki tej podwójnej hegemonii klasa panująca może osiągać wszystkie swoje cele. Tak właśnie rozumował marksista Antonio Gramsci.

Zawodowi rewolucjonieści nauczyli się, jak odebrać dotychczasowym elitom władzę najpierw właśnie tam, gdzie sprawuje się kontrolę nad umysłami. Dzięki hegemonii kulturowej prawowity autoritet moralny wybieranych rządów został w ciągu ostatnich trzech dekad przeniesiony na rzecz niewybranych grup reprezentujących wąskie interesy, które działają bez legitymizacji i mają często bardzo radykalne poglądy. Lata temu re-

wolucjonieści opanowali organizacje międzynarodowe, takie jak ONZ czy UE. Teraz przejęli/przejmują władzę polityczną w kolejnych państwach narodowych. Wystarczy popatrzeć na to, co dzieje się w Hiszpanii, Kanadzie, Australii.

Rewolucja się instytucjonalizuje. Rewolucjonieści stanowią prawo, wprowadzili cenzurę i używają państwowej przemocy wobec osób próbujących chronić się przed nowym porządkiem. Zwycięski Kulturkampf przyniósł coś więcej niż totalitaryzm.

Również w Polsce marksistowska rewolucja przyspieszyła tak, że dziś wychowanie dzieci jest o wiele trudniejsze niż pięć lat temu. Naprawdę dużo trudniejsze. Co będzie za pięć lat?

Oto fragment mojego tekstu opublikowanego w „Gazecie Polskiej” 9 sierpnia 2006 r.:

Wiele pisałem o Nowej Erze (New Age). Ostatnio uświadomiłem sobie niesamowity rym pomiędzy Nową Lewicą a Nową Erą. Pokolenie '68, poniosłszy klęskę na ulicach Paryża i amerykańskich miasteczek studenckich, rozpoczęło długą drogę. Przez politykę i kulturę. Po politykę i kulturę.

Nowożytny, rewolucyjny projekt, którego korzenie tkwią w renesansie, a którego realizatorami byli Hegel, Marks, Beria, Stalin i Julian Huxley, znalazł pokolenie gorliwych wykonawców.

Trwa permanentna rewolucja. Dążenie do przeorganizowania ludzkiej świadomości za pomocą inżynierii psychicznej. Beria pisał: „Psychopolityka jest sztuką i wiedzą o ustanowieniu i utrzymaniu panowania nad myśleniem i postawą uległości jednostek, oficerów, urzędników i mas, a przez to zawiądnienie wrogim narodem za pomocą [takiej właśnie] »terapii umysłowej«”. Julian Huxley, pierwszy dyrektor generalny UNESCO, transhumanista, w książce



ROBERT TEKIELI

dotyczącej Nowego Światowego Ładu, „UNESCO – jej cel i filozofia”, postulował „jedną religię, jeden język i jeden sposób myślenia”. To coś więcej niż totalitaryzm.

Owocem beriowsko-huxleyowskiej psychopolityki jest uwięzienie ostatnimi czasy Dawida Markera z Lexington w st. Massachusetts za to, że miał odwagę domagać się, by jego sześciolatek syn nie był poddawany edukacji akceptującej homoseksualizm jako styl życia.

Owocem nowożytnego psychorewolucji jest zarówno akceptacja pedofilii przez zachodnią naukę (USA) i prawo (Holandia, USA), jak i wykonana przez amerykańskie państwo egzekucja Thierry Schiavo.

10 marca 2006 r. Sąd Najwyższy stanu Kalifornia orzekł, że „seks oralny z dziećmi nie jest już przestępstwem” (WorldNetDaily.com). Kultura przestała być miejscem bezpiecznym. Prawo może być przeciwko nam, szkoła może być przeciwko nam, uniwersytet może być częścią kontrkultury.

Polityka i kultura zmieniana jest przez Nową Lewicę, duchowość przez New Age. Projekt dotyczy całej rzeczywistości.

Tak widziałem rzeczy 15 lat temu. Nie znalazłem opublikowanego 20 lat wcześniej manifestu Michaela Swifta pt. „Gay Revolutionary”: „Będziemy sodomizować waszych synów, emblematy waszej kruchej męskości, waszych płytkich marzeń i wulgarnych kłamstw. Będziemy ich uwodzić w waszych szkołach, w waszych internatach, w waszych siłowniach, w waszych szatniach, w waszych halach sportowych, w waszych seminariach...”. To naprawdę tekst z 1987 r. /

Na ludowo, z miejskim fasonem

Jan Emil Młynarski długo szukał własnego miejsca. Nie wszystkich przekonał próbami interpretacji piosenek słynnego ojca, Wojciecha Młynarskiego, jeszcze za jego życia. Trafieniem w dziesiątkę okazały się dlań warszawskie klimaty retro.

Efektownie wyszło mu połączenie sił z Marcinem Masekim, oryginalnym pianistą, kompozytorem i aranżerem z pogranicza jazzu i klasyki. Stworzony w 2017 r. Jazz Band Młynarski-Masecki z pietyzmem i polotem eksploruje swingującą polską muzykę międzywojnia. Nie kopiując jej bynajmniej. Debiutancki album – „Noc w wielkim mieście” – zyskał status platyny, „Płyta z zadrą” okazała się zaś złota. Krążek „Fogg – pieśniarz Warszawy” okrzyknięto rewelacją.

Drugim flagowym zespołem Jana Emila jest Warszawskie Combo Taneczne powołane w 2009 r. Jego występy cieszą się olbrzymim powodzeniem. Lider realizuje z nim swoje fascynacje dawnym repertuarem warszawskim. Holdem dla Stanisława Grzesiuka był wydany w 2018 r. album „Sto

lat Panie Staśku!”, Młynarski zaś – wodzirej, perkusista i wokalista o gwarowej manierze „pod” barda z Czerniakowa – gra na oryginalnej bandzoli swego idola.

Najnowsza płyta „Skarałeś mnie Boże” jest rezultatem współpracy Warszawskiego Combo Tanecznego

z kapelą Zdzisława Kwapińskiego. Młynarski szuka elementów wspólnych dla tradycyjnej muzyki wiejskiej z Radomszczyzny i folkloru warszawskiego. Takie akcenty rzeczywiście daje się dostrzec w pełnych tanecznego wigoru kawalkach „Gęsi za wodą”, „Polka z Mokotowa” czy „Mokotowski oberek”. Jednak już w przypadku „Zapomnianej piosenki” z repertuaru Hanka Ordonówny, światowego hitu „Capri” czy łzawego kiczu „Chłopcy, na nas już czas” trudno tę bliskość dostrzec. Teza więc nie całkiem pasuje do egzemplifikacji, jednak płyta ma charakter i słucha się jej z przyjemnością.



**Adam
Ciesielski**



Warszawskie Combo Taneczne
i Kapela Zdzisława Kwapińskiego
„Skarałeś mnie Boże”
Tointen Music/Mystic

wPolityce.pl

NAJŚWIEŻSZE INFORMACJE
nawet kiedy śpisz



WEJDŹ NA:

wPolityce.pl



W imię braterstwa broni



Kamdesz. Afgańskie piekło, w oryginale „The Outpost”, może się wydawać kolejnym seryjnie kręconym filmem wojennym, powtarzającym schematy z klasyki gatunku. Po oscarowym sukcesie „The Hurt Locker” Kathryn Bigelow mieliśmy wysyp filmów opowiadających o wojnie w Afganistanie i Iraku, na czele z takimi perelkami, jak „Snajper” Clint Eastwooda, „Bracia” Jima Sheridana, czy mniej udany, ale wciąż bardzo solidny, „Ocalony” Petera Berga. Zupełnie nie spodziewałem się, że postawię „Kamdesz...” obok tych filmów.

Szkoda, że ten film przez pandemię nie trafił na duży ekran. Rod Lurie nakręcił brawurowy i bardzo realistyczny wojenny film, który powinno się oglądać na jak największym ekranie. Lurie był kiedyś krytykiem filmowym. Jest też absolwentem West Point. Jako krytyk doskonale zna więc wszystkie pułapki kina wojennego i wie, jak ich unikać. Natomiast jako żołnierz ma odpowiednią wrażliwość do opowiedzenia takiej historii.

Bitwa pod Kamdesz to jedna z najkrwawszych bitew operacji wojskowej w Afganistanie. Nazwana afgańskim „helikopterem w ogniu” kosztowała życie ośmiu amerykańskich żołnierzy z 53 stacjonujących w bazie w Nuristan we wschodnim Afganistanie. 22 żołnierzy odniosło rany. 300 talibów zaatakowało bazę, schodząc z otaczających teren gór. Film Luriego jest rekonstrukcją bitwy. W najlepszym tego słowa znaczeniu. Weteran bitwy Stoney Portis pisał w „New York Timesie”, że bał się tego filmu w wydaniu hollywoodzkim. Trudno mu się dziwić. Kiczowaty patos, upolitycznienie, ideologizacja, absurdalność scen batalistycznych – to

wszystko zbyt często pojawia się w kinie wojennym z fabryki snów. W tym wypadku jest inaczej. Portis pisze, że już podczas przyjazdu na plan filmowy w Bułgarii zrozumiał, jak bardzo realistyczny będzie to obraz. Lurie ucieka od wszystkiego, co może zakłócić istotę tej historii. Są nia heroizm i poświęcenie. Nie w wymiarze geopolitycznym. Nie w wymiarze nawet patriotycznym. To poświęcenie dla brata walczącego obok. Mój kolega z marines (piechota morska) i weteran wojny w Iraku opowiadał mi, że właśnie to jest clou do zrozumienia, czym dla żołnierza jest wojna. On nie strzelał w Iraku w imię wojny z terroryzmem. On strzelał, by uratować towarzysza broni.

Choć pojawia się tutaj wątek układania relacji US Army z miejscową starszyzną, poruszana jest kwestia fatalnego umieszczenia bazy (miała być blisko granicy z Pakistanem), wystawionej talibom z każdej strony, to najważniejsza część rozgrywa się podczas ataku 9 października 2009 r. Na plakacie filmu widnieje twarz Orlanda Blooma, choć jego rola w tym filmie jest epizodyczna. Pierwszy raz za taki ciężar na swoje aktorskie ramiona bierze Scott Eastwood. Syn Clint Eastwooda siłą rzeczy musi się mierzyć z legendą, wyglądając zresztą jak ojciec w czasach, gdy Clint grał w dolarowej trylogii Sergia Leone albo w wojennych „Tylko dla orłów” czy „Złocie dla zuchwałych”. 35-letni Scott ma ostatnio niezłą passę. Wyrazisty epizod w serii „Szybcy i wściekli”, rola głównego czarnego charakteru w świetnym „Jednym gniewnym człowieku” Guya Ritchiego u boku Jasona Stathama i w końcu rola w „Kamdesz...” pokazują, że młody Eastwood ma przed sobą przyszłość w kinie. Nie tylko on świetnie daje sobie radę w tym obrazie.

Lurie obok choreografii walk, pracy z operatorem Lorenzem Senatore, kładzie szczególny nacisk na aktorstwo nawet w epizodycznym wydaniu. Aktorzy nie tylko są niezwykle podobni do prawdziwych uczestników bitwy (widać to w napisach końcowych), ale w poruszający sposób oddają to, co oni przeżywali tego feralnego dnia. Obok wyrazistego Eastwooda największe brawa należą się Calebowi Landry’emu Jonesowi, który w tym roku dostał aktorską nagrodę na festiwalu w Cannes za rolę w „Nitram”, gdzie wcielił się w Australijczyka Martina Bryanta, sprawcę masakry w Port Artur w 1996 r. W „Kamdesz...” Jones gra odznaczonego Medalem Honoru sierżanta Ty Cartera. To w jego heroizmie widzimy sens pojęcia „braterstwo broni”. To w jego działaniach widzimy koszmar wojny, ale też to, co potrafi ona odsłonić w człowieku. Nie tylko przemoc, ale też poświęcenie. Prezydent Barack Obama wręczył Medal Honoru też granemu przez Eastwooda Clintonowi L. Romesha.

Lurie nie bawi się w politykę. Liczy się dla niego pokazanie dramatu żołnierzy. Robi to z brawurą Ridleya Scotta z „Helikoptera w ogniu”. Nie gubi się w akcji, nie szarżuje niepotrzebnie i nie schodzi ze ścieżki i kursu opowieści, którą jest oddanie czci i honoru młodym chłopakom walczącym w afgańskich górach. W imię wojny z terroryzmem? W zemście za ataki 11 września? Nie. W imię swojego brata i przyjaciela.

**„KAMDESZ. AFGAŃSKIE PIEKŁO”,
REŻ. ROD LURIE, DYSTR. KINO ŚWIAT**



DVD/VOD



VOD

W imię świnki



Niezwykła jest dziś kariera Nicolasa Cage'a. Na przemian robi irytujące sensacyjniaki i ambitne kino, które przypomina, dlaczego swoje największe role tworzył u Lyncha, Figgisa, Scorsese'a, Jewisona, braci Coen czy De Palmy. Zawsze był ambitnym aktorem. Nie chciał zaczynać kariery pod prawdziwym nazwiskiem Coppola, by nie być posądzonym o łatwiejszy start przez rodzinne koneksje, natomiast jeżeli grał w latach 90. w kinie akcji, to robił to u mistrzów, jak John Woo. Potem przyszło jednak bankructwo i potrzeba spłaty długów. Nie upadł repertuarowo tak nisko, jak John Travolta czy przed chorobą Val Kilmer, ale momentami brał udział w równie co oni głupich filmach. Ostatnio w dorobku Cage'a pojawia się jednak wiele ciekawych tytułów, jak choćby „Mandy” Panosa Cosmatosa czy „Kolor z przestworzy” Richarda Stanleya. Cage był tam też Cage'em, ale

wynikało to ze stylistyki zanurzonych w klimat kina lat 80. i 90. gatunkowych wariactw. Jednak „Pig” Michaela Sarnoskiego to powrót Cage'a do najwyższej aktorskiej formy.

Zarośnięty, ubrany w lachmany Nicolas Cage szuka trufli. Razem ze swoją świnką przeszukują las Oregonu, spżywając potem absurdalnie drogi rarytas w formie zrobionej w spartańskich warunkach tarty. Rob, bo tak się nazywa tajemniczy mężczyzna, żyje w odosobnieniu ze świnką. Co tydzień przekazuje trufle Amirowi (Alex Wolff), który dostarcza je do drogich restauracji w Portland. Rob zostaje jednak napadnięty. Napastnicy zabierają mu świnię. Z pomocą Amira udaje się do Portland, by odszukać ukochane zwierzę. Tak mogłaby się zacząć kolejna historia w stylu „Johna Wicka”, któremu w „jedynce” odstrzelono psa, co pchnęło go do zrobienia totalnej rozwalki ruskiej mafii. Z jakiegoś powodu

Rob też żyje samotnie w lesie, nieprawdaż? Pasuje do mściciela o krwawej przeszłości. „Pig” jest jednak czymś zupełnie innym. Ba, gdy już myślimy, że wyczuliśmy, dokąd zmierzamy, debiutujący w fabule Sarnoski robi twist, zabierając nas w zupełnie niespodziewane rejony.

To rola wymarzona dla Cage'a. Jeżeli jednak spodziewacie się histerycznego, bombastycznego krzykacza, który stał się GIF-em i memem, to poszukajcie innego filmu. Rob jest chodzącą tajemnicą. To buddyjski pustelnik i filozof. Cierpiętnik wyrzekający się dóbr materialnych. Niemniej jednak na dźwięk jego nazwiska otwierają się wszystkie drzwi w Portland. Jest legendą. Jest też chodzącym wulkanem, co Cage doskonale potrafi odmalować na umęczonej i udęconej twarzy. Znamy szaleńcze wcielenia tego aktora i oczekujemy tej erupcji. Zamiast niej dostajemy jeden z najsmutniejszych i najbardziej pesymistycznych monologów o życiu w cieniu tych, którzy, mimo naszej służby, nas nie zauważają, i katastrofie, jaka nieuchronnie zmiecie nasz świat. „Pig” to dobry film na czas pandemii.

Pokazuje, jak napuszeni bogacze, samozwańcza kasta absurdalnie zamożnych smakoszy życia, nie widzi, co pożera ją od środka. Jest więc tutaj wątek klasowy, tak modny we współczesnym kinie hollywoodzkim. Nie ma jednak ideologicznego zacietrzewienia.

Świetny jest też Wolff w roli Amira. Rob początkowo jest dla niego niegroźnym dziwakiem mieszkającym w głuszy. Powoli staje się jego przewodnikiem i nauczycielem. Dzieje się to paradoksalnie nie w lesie, ale w miejskiej dżungli, która powinna być domem Amira. Jednak to Rob rozpoznaje jej wszystkie pułapki. Wpada w furję, kopiąc w drzwi sportowej fury Amira. Spojrzenie chłopaka jest warte więcej niż cena sportowego cacka. Jest chemia między dwoma aktorami.

„Pig” to film o ucieczce, nieumiejętności przetrwania bólu, poszukiwaniu miłości i odwróceniu się plecami do systemu. Jednak przede wszystkim jest to film o miłości Roba do swojej świnki. Tylko tyle. I aż tyle. Dawno żaden prościutki film tak mocno mnie nie wzruszył.

„PIG” DOSTĘPNY NA CINEMAN.PL

Brakowało mi dopingu kibiców

„Pokazaliście moc sportu, szczególnie w tak trudnych okolicznościach. Dajecie światu nadzieję w tej trudnej sytuacji, w trakcie pandemii. Świat się zjednoczył, sport powrócił na główną scenę. Ludzie zjednoczyli się w emocjach. To daje nam wiarę w przyszłość. Igrzyska w Tokio to igrzyska nadziei,

solidarności i pokoju” – mówił w trakcie uroczystości zakończenia igrzysk olimpijskich Tokio 2020 prezydent MKOl Thomas Bach.

Trwały 16 dni i były dla polskiej reprezentacji najlepsze od czasu igrzysk Sydney 2000 – cztery złote, pięć srebrnych i pięć brązowych medali dały polskiej drużynie narodowej

17. miejsce w klasyfikacji medalowej wśród 205 reprezentacji wystawionych przez narodowe komitety olimpijskie. Polska wysłała na te igrzyska 211 zawodników, którzy wzięli udział w 137 z 339 konkurencji w 28 (na 33 rozgrywanych) dyscyplinach. Dziewięć medali zdobyli lekkoatleci, ale aż cztery nasi zawodnicy „wyłowili z wody”

Z Karoliną Nają, srebrną i brązową medalistką igrzysk w Tokio (kajakarstwo klasyczne – K-2500 m i K-4500 m), chorążym polskiej drużyny narodowej, rozmawia Aleksandra Jakubowska

Czy zdobycie dwóch medali i wejście z polską flagą na stadion olimpijski jako chorąży narodowej reprezentacji w czasie uroczystości zakończenia igrzysk w Tokio to był ten moment, w który pani pracawała prawie 20 lat?

Karolina Naja: Staram się świętować i doceniać to, co robię, z roku na rok, ponieważ nasza dyscyplina ma również tak piękne zawody, jak mistrzostwa świata i Europy czy Puchar Świata. Startując w tej największej imprezie danego roku, zawsze staram się celebrować te momenty, ale nie ulegać presji, że to właśnie na tę chwilę czekałam, trenowałam, ponieważ nie każda historia sportowca kończy się medalem olimpijskim. Takie myślenie nie doprowadziłoby mnie do tego punktu, w którym właśnie jestem.

Ale jakieś emocje musiały się odezwać, kiedy szła pani razem z ponad 200 chorążymi z całego świata?

Niestety podczas tych igrzysk wprowadzałam sama flagę, nie było ze mną polskich sportowców, to było całkowicie inaczej zorganizowane niż podczas igrzysk w Rio. Ale niosłam



GOŚC

JAKUBOWSKIEJ

flagę razem z innymi chorążymi z różnych części świata, patrzyłam na nich i myślałam, że każdy ma swoją historię, swoją drogę i chociaż jesteśmy innymi ludźmi, różniącymi się nawet zewnętrznie, to jednak sport nas łączy i w sumie jesteśmy tacy sami, bo chcemy tego samego – być najlepsi w swojej dyscyplinie. I to jest piękne.

To były trzecie pani igrzyska. Jak bardzo różniły się od poprzednich?

Procedury startowe nie za bardzo się różniły, rywalizacja sportowa się nie zmieniła, natomiast sprawy organizacyjne trochę utrudniały funkcjonowanie sportowcom. Najbardziej, nad czym ubolewam, brakowało kibiców, to było coś przykrego, smutny widok. Nawet przez moment zastanawiałam się, czy to w ogóle ma sens i choć taka myśl przeszła mi przez głowę, mimo wszystko starałam się wierzyć w to, że kibice, choć nie są fizycznie razem z nami, mimo wszystko bardzo nas wspierają, dopingują i pragną tych sportowych emocji. Na pewno by nie chcieli, żebyśmy się poddały lub zrezygnowały z tej rywalizacji.

Mogłoby się wydawać, że dyscyplina, którą pani uprawia, tworzy większy dystans między zawodnikami a kibicami niż np. w czasie zawodów lekkoatletycznych, gdzie kibice mają bliższy kontakt ze sportowcami, właściwie przez cały czas walki o medal czują to wsparcie, natomiast pani jest daleko na wodzie, a kibice na brzegu, i to głównie na mecie wyścigu.

Woda pięknie niesie dźwięki i na wcześniejszych igrzyskach, już 180–150 m przed metą słychać było wielki doping kibiców. I to nas niosło na tych ostatnich metrach, to było coś, czego mi naprawdę brakowało na tych igrzyskach, choć patrząc



WPOLSC.PL



z taktycznego punktu widzenia, to był nasz najlepszy wyścig. Brakowało mi jednak kibiców na trybunach, tego wrzasku, to podnosi adrenalinę, niesie sportowca, dodaje odwagi do walki. Tę atmosferę doskonale pamiętam z wcześniejszych igrzysk.

Kajakarstwo to sport zespołowy. Sportowcy startujący w indywidualnych konkurencjach zdani są tylko na siebie, co pewnie ma swoje dobre i złe strony, a jak to jest w drużynie? W jakim stopniu dobra współpraca, rozumienie się ważą na wyniku?

Tak naprawdę to współpraca odgrywa największą rolę, musi być przepływ energii, czyste myśli i relacje. Z mojego doświadczenia wynika, że gdy tylko jest jakaś niewyjaśniona sytuacja, może się ona w trakcie wyścigu odezwać właśnie poprzez złą

energię, która powoduje, że coś pójdzie nie tak, że zdarza się chwila zwątpienia, dlatego zawsze staramy się budować takie czyste relacje, wszystko sobie wytłumaczyć. Wiemy z doświadczenia, że podczas wyścigu w tym skrajnym przypadku, jeśli chodzi o nasz organizm, który jest poddawany olbrzymiemu wysiłkowi aż do granic, każda z nas musi osiągnąć maksimum swoich możliwości – i to w tym samym momencie – we włożeniu wiosła w daną chwilę. Nasze reakcje muszą być mocno podparte i zbudowane zaufaniem do siebie.

Jak bardzo wybuch pandemii i przesunięcie igrzysk o rok skomplikowały pani plany treningowe?

Bardzo skomplikowały. Zawody międzynarodowe zostały przesunięte, wszyscy sportowcy zjeżdżali do kraju, dowiedzieliśmy się, że właściwie w Polsce nie ma możliwości trenowania. Zdecydowaliśmy się na inny krok – pozostanie w Portugalii półtora miesiąca dłużej, żeby kontynuować treningi, bo nie wyobrażaliśmy sobie, żeby w czasie normalnego sezonu startowego zrobić dłuższą przerwę, nie mieć możliwości trenowania czy chociażby wyjścia na świeże powietrze. Co państwo to były inne zasady, inne kryteria dopuszczalnych zachowań w czasie pandemii. Akurat w Portugalii można było poruszać się swobodnie po otwartej przestrzeni, chodzić do sklepów, w których były tylko ograniczenia co do liczby osób, nie były jeszcze obowiązkowe maseczki, więc po prostu z tego korzystaliśmy.

I potem cały ten cykl treningowy przed igrzyskami był realizowany normalnie?

Od października zeszłego roku właściwie tak, chociaż byliśmy zamknięci w centralnych ośrodkach sportu, robiono nam testy. Wtedy to jeszcze była czarna magia, bo nie wiedzieliśmy, czy one działają, czy nie. Bardzo długo czekaliśmy na wyniki, zamknięci w pokojach, by jak najmniej się z sobą kontaktować. Kiedy przyszły wyniki testów, zaczęliśmy trenować, ale nie mogliśmy opuszczać ośrodka. Nie wiem, czy powinnam to mówić, ale ja do swojego dziecka uciekałam przez bramę, żeby móc je chociaż zobaczyć.

Post factum może już pani powiedzieć...

Wymyślałam się, żeby na noc wrócić do domu, do dziecka. Zawsze mi brakowało w tej całej pandemii logiki, no ale to jest zbyt trudny temat, żeby o tym dyskutować.

Pani synek, Miccio, skończył już cztery lata?

Skończy w grudniu.

Decyzję o tym, żeby zostać mamą, podjęła pani już po igrzyskach w Rio, w 2017 r. urodził się Miccio. Decyzja o urodzeniu dziecka wiązała się z tym, że myślała pani o zakończeniu kariery sportowej, o początku zupełnie innego życia, czy też zakładała pani, że odchowawsynka i wróci do sportu?

Wtedy miałam mieszane uczucia. Raz myślałam tak, a raz inaczej, ale nie wywierałam na siebie żadnej presji. Wiedziałam, że decyzja w pewnym momencie sama „się podejmie”. Przede wszystkim zależało mi na tym, żeby zająć w ciążę, żeby szczęśliwie odbył się poród. Przez półtora miesiąca od naro-

dzin Miecia koncentrowałam się przed wszystkim na tym, żeby być mamą, odnaleźć się w macierzyństwie. A potem zaczęły się pojawiać takie myśli, pytało mnie, czy zastanawiam się nad powrotem do sportu. No i wspólnie z partnerem podjęliśmy decyzję, żebyśmy spróbowała. Namawiali mnie też bliscy znajomi, którzy zawsze widzieli we mnie taką waleczną, zorganizowaną dziewczynę, która jeśli sobie coś postanowi, to faktycznie to robi.

I wróciła pani do sportu, a synek stał się najmłodszym uczestnikiem sportowego zgrupowania. Miał trzy miesiące, kiedy zabrała go pani na treningi do Włoch.

Dokładnie tak było.

Ale kiedy troszeczkę podrośł, zostawiała go już pani z tatą Łukaszem, pani partnerem. To musiało być trudne i dla pani, i dla maluszka. Trzy tygodnie nie ma mamy w domu.

W początkowym okresie życia Miecia, gdy zabierałam go na zgrupowania, zawsze jechał z nami ktoś z rodziny, kto mi pomagał w opiece nad nim. Niestety, specyfika naszej dyscypliny wymaga w okresie jesienno-zimowym dłuższych wyjazdów do cieplejszych krajów, gdzie można trenować na wodzie. Później, kiedy dołączyłam do kadry, wyjeżdżałam sama, Miecio z Łukaszem zostawali w domu i musieli sobie jakoś poradzić. Łukasz miał swoją pracę, Miecio przedszkole i jakoś nieźle się to układało. Mam bardzo odpowiedzialnego partnera, który nie boi się być tatą, aktywnym rodzicem, no i nie hołduje zasadzie, że mama musi tylko wychowywać, a tata tylko pracuje. Czasami zdierzamy się takimi stereotypami. Oczywiście ostatni rok nie był łatwy, czasami rozstania z Mieciem były bezbolesne, nieraz kończyło się płaczem. I Miecia, i moim.

Pan Łukasz był sportowcem, uprawiał tę samą dyscyplinę. To sprawia, że lepiej panią rozumie? W wywiadach mówi pani, że wsparcie, jakie dostaje od swojego partnera, jest tym, co pozwala spokojnie pracować, trenować.

Tak, Łukasz był sportowcem, i to na wysokim poziomie. On po prostu wie, jaka jest droga do mistrzostwa sportowego i nie muszę mu tłumaczyć, jakich poświęceń wymaga moja dyscyplina sportu, mój trening czy moje zmagania sportowe. Wiedziała, że on to rozumie, nie było wątpliwości ani pytań, sytuacji, z których musiałabym się tłumaczyć. Myślę, że z kimś innym byłoby znacznie ciężiej. Mam też duże wsparcie moich rodziców i mamy Łukasza.

Pan Łukasz po igrzyskach zdradził, że kiedy tuż przed ceremonią zakończenia olimpiady rozmawiali państwo telefonicznie, powiedziała pani, że jest kobietą spełnioną. Ale chyba jeszcze czegoś brakuje w tej kolekcji medali?

Brakuje olimpijskiego złota, bo jednak to jest najcenniejszy krążek, jaki może wywalczyć sportowiec. Ale to, że czuję się

spełniona, nie oznacza, że trzeba z czymś skończyć. Dalej chcę się rozwijać, dalej pragnę tej sportowej rywalizacji. A z tych igrzysk udało się wrócić z dwoma medalami olimpijskimi i to jest ogromna satysfakcja.

Co teraz?

Porządny odpoczynek, czas spędzany z dzieckiem, spokojny, bo zawsze były jakieś ograniczenia. Teraz daję sobie na to czas. Jak będzie z dalszą karierą? Odpowiem sobie na własne pytania i wtedy będę wiedziała co dalej.

Jest pani jedną z 11 kobiet, których sylwetki prezentuje w swojej książce „Mama na obcasach” Magdalena Szefer-naker. To kobiety, którym udaje się łączyć karierę zawodową z macierzyństwem, rodziną. „Dla mnie najważniejsza jest droga, a nie sam cel” mówi pani w zamieszczonej tam rozmowie. Czy zacznie się droga na igrzyska w Paryżu?

Staram się nie ulegać presji, bo przecież dzisiaj nie wiem, czy ja na igrzyska w Paryżu na pewno pojadę, nie zawsze jest się w topowej formie. Jest zbyt wiele niewiadomych, to w końcu za trzy lata. Jeśli rzeczywiście zdecyduję się na kontynuację sportowej kariery, to myślę, że trzeba będzie porządnie odpocząć, później usiąść w kajaku i zabrać się do roboty.

Jak by pani zachęciła młode dziewczęta do tego, żeby poszły w pani ślady? Co daje sport, kajakarstwo, jak wzbogaca życie kobiety?

Moja dawna trenerka mówiła na przystani „Dziewczyny, ćwiczcie, bo kiedyś będziecie za to płacić”. Nie mogłam zrozumieć, jak płacić, komu płacić. Zastanawiałam się, o co jej chodzi. I teraz rozumiem, nieraz

kobiety borykają się z problemami z sylwetką, chcą się podobać sobie, walczą o samoakceptację. I trafiają do branży fitness, gdzie muszą wykupić karnety, a i diety są kosztowne. A mnie sport tak ukształtował, że staram się wybierać same dobra dla swojego organizmu i bardzo go szanuję. Chcę żyć w harmonii ze sobą. Sport nauczył mnie zdrowego trybu życia, staram się zarażać tym najbliższych, wręcz wymagam od swojej rodziny, żeby podążała tą ścieżką.

Można zatem powiedzieć: „Dziewczęta, zajmijcie się sportem. Nie tylko będziecie miały piękną sylwetkę, ale jak się bardzo postaracie, to kiedyś zostanieiecie mistrzyniami olimpijskimi tak jak Karolina Naja”.

Sport uczy także samodzielności, wszechstronności. Później, cokolwiek się człowiek podejmie, to się w tym odnajdzie. Mam takie przekonanie, ale także obserwuję to wśród byłych sportowców, którzy świetnie odnajdują się w innych dziedzinach życia, bo sport nauczył ich determinacji, dążenia do celu, przekonania, że jeśli człowiek zaangażuje się w stu procentach, to osiągnie sukces. .

Sport nauczył mnie zdrowego trybu życia. Staram się zarażać tym najbliższych, wręcz wymagam od swojej rodziny, żeby podążała tą ścieżką

Opłaca się leczyć po ludzku

Zwiększenie nakładów na leczenie hemofilii to inwestycja, która bardzo szybko zaprocentuje. Dobrze leczeni jesteśmy w stanie prowadzić normalne i produktywne życie. Nie wymagamy wsparcia socjalnego, nie trzeba nam wypłacać rent. Nie jesteśmy dla państwa obciążeniem, a raczej wartością dodaną

Z Bogdanem Gajewskim,
prezesem Polskiego
Stowarzyszenia Chorych
na Hemofilię, rozmawia
Bartosz Życiński

Walczy pan o chorych na hemofilię od lat. Nawet dziennikarze, którzy nie zajmują się na co dzień zdrowiem, wiedzą, kim jest Bogdan Gajewski i dlaczego liczą się z nim decydenci. Ma pan poczucie satysfakcji z tego, co udało się osiągnąć?

Bogdan Gajewski: Mojego zaangażowania całkowicie nie rozpatruję w tym kontekście. Dla mnie liczy się wyłącznie dobro chorych na hemofilię. Jestem zresztą jednym z nich.

Jak więc wygląda dzisiaj oferta kierowana do was przez państwo?

Na pewno jest znacznie lepiej niż jeszcze kilka lat temu. Wiele osób z hemofilią wyjechało wówczas z Polski, nie widząc żadnej nadziei na poprawę swojej sytuacji. Panował bałagan, składano nam obietnice bez pokrycia. Nie znaczy to jednak, że teraz wszystko działa idealnie i wszystkie potrzeby chorych są zaspokojone.



Jakie są najpilniejsze rzeczy do załatwienia?

Nadal nie zrealizowano np. niezwykle istotnego elementu Narodowego Programu Leczenia Chorych na Hemofilię i Pokrewne Skazy Krwotoczne, jakim jest powstanie prawdziwej sieci

ośrodków, które obejmą kompleksową opieką osoby dorosłe z hemofilią i pokrewnymi skazami krwotocznymi.

Dzwoniła do mnie niedawno kobieta w siódmym miesiącu ciąży, siostra chorego na hemofilię – która jest przecież chorobą dziedziczną

– i stwierdziła, że chce zrobić badanie wykrywające nosicielstwo. Jej przypadek potwierdza, że system nie działa prawidłowo, ponieważ powinna ona być od dawna przebadana jako możliwa nosicielka choroby.

Możemy mówić o nierówności w dostępie do terapii hemofilii?

Oczywiście, różnice są bardzo widoczne. Jeśli bowiem np. Pomorze jest w dobrej sytuacji, wszystko działa tam, jak należy, to już w sąsiednich województwach zachodniopomorskim czy warmińsko-mazurskim nie ma żadnego lekarza zajmującego się leczeniem dorosłych z hemofilią. Proszę sobie wyobrazić, że musi pan dojechać ze Szczecina do Warszawy, by dostać odpowiednią dawkę czynnika krzepnięcia, aby leczenie było prowadzone optymalnie, lub zareagować na poważne krwawienie. To na pewno nie jest normalna sytuacja.

Pańskie stowarzyszenie, o czym pisał pan niedawno do ministra zdrowia, niepokoi się, że ten niedoskonale realizowany Narodowy Program może zniknąć...

Nie ukrywam, że mamy wątpliwości dotyczące procedowanej nowelizacji ustawy refundacyjnej. Proponowane zapisy mogą zmienić niekorzystnie sposób finansowania leczenia hemofilii w Polsce. Uważam, że Narodowy Program jest jednym z największych sukcesów naszego systemu ochrony zdrowia ostatnich lat. To narzędzie doskonale dopasowane do charakteryzującego się dużą zmiennością profilu naszej choroby. Są w nim rozwiązania niemożliwe do wprowadzenia w programach lekowych NFZ.

Podkreśla pan konieczność zapewnienia stabilnego dostępu do leków. Jak to wygląda w Narodowym Programie?

Czynniki krzepnięcia krwi są dystrybuowane przez stacje krwiodawstwa i dostępne, jak krew, w każdym szpi-

talu. Jeśli więc dochodzi do wypadku drogowego, można od razu poprosić o przysyłanie krwi i czynnika krzepnięcia. Tak to funkcjonuje obecnie. Jeśli mielibyśmy typowe programy lekowe, co zakłada system refundacyjny, to niekoniecznie w pobliżu byłaby placówka realizująca takie leczenie. Chcemy rozmawiać o przyszłości Narodowego Programu z Ministerstwem Zdrowia. Wierzę, że taki dialog będzie możliwy.

Hemofilia to specyficzna choroba, w której do każdego pacjenta trzeba podejść indywidualnie. Przy nierównym dostępie do lekarzy, braku ośrodków i takiego właśnie indywidualnego, dostosowanego do potrzeb pacjenta podejścia, wielu chorych po prostu źle się leczą

Czym jest czynnik krzepnięcia i jak działa?

Hemofilia jest wrodzoną skazą krwotoczną. Polega ona na niedoborze lub całkowitym braku aktywności białka krwi niezbędnego w procesie krzepnięcia. I o ile drobne skaleczenia czy otarcia przebiegają u chorych na hemofilię tak jak u osób zdrowych, o tyle krwawienia wewnętrzne mogą być niebezpieczne i zagrażać życiu chorego. Najczęstszym objawem choroby są krwawienia do stawów i mięśni. Źle leczone mogą prowadzić do kalectwa, długofalowym efektem są wówczas nieodwracalne zmiany, uszkodzenia stawów i mięśni. Hemofilia na szczęście znakomicie poddaje się leczeniu. Wprowadzenie do organizmu czyn-

nika krzepnięcia normalizuje ten proces. Dzisiejszym standardem leczenia jest podawanie profilaktyczne czynników krzepnięcia i leków, które ich działanie naśladują. Chroni to chorego przed ciężkimi następstwami choroby. Umożliwia prawie normalne życie wysokiej jakości bez bólu i cierpienia, a jego długość nie odbiega od ogółu populacji.

W czasie pandemii COVID-19 nie sposób nie wspomnieć o domowych dostawach leków. Jak to wygląda w przypadku chorych na hemofilię?

Przed wszystkim chcę pochwalić w tym kontekście Narodowe Centrum Krwi, które doskonale czuwa nad dystrybucją czynników krzepnięcia w czasie pandemii. A wracając do pytania o dostawy domowe: proszę pamiętać, że dorośli chorzy na hemofilię byli w przeszłości źle leczeni, wielu z nas nie może się normalnie poruszać i jest inwalidami narządu ruchu. Tymczasem ilość leków, które musi jednorazowo pobrać pacjent, ma objętość małej szafy. Często trzeba pojechać po nie wiele kilometrów, to zaś są koszty, bardzo duże dla rencisty, inwalidy. A więc im dalej od dużego miasta ktoś mieszka, im jest bardziej schorowany i biedniejszy, tym mniejsze ma szanse na odpowiednie leczenie.

Rozwiązaniem są m.in. prowadzone w całej Europie dostawy domowe. Nasze Ministerstwo Zdrowia zaczęło je stopniowo wdrażać, ale trzeba to przyspieszyć. Dzięki dużej konkurencji i odpowiedniej organizacji przetargów ceny leków są niskie, a powstałe nadwyżki finansowe pozwalają uruchomić dostawy domowe dla większej liczby pacjentów. Myślę, że to szansa dla Ministerstwa Zdrowia i nas chorych, aby objąć dostawami domowymi więcej pacjentów. Apelujemy, aby jak najszybciej rozszerzyć grupę chorych objętą dostawami.

Mówiliśmy o kontraście biedny – bogaty, mieszkaniec wielkiej

aglomeracji – ktoś z prowincji. W przypadku leczenia hemofilii różna jest także sytuacja dzieci i dorosłych. Na czym ona polega?

Dzieci są pod opieką pediatrów, mają zapewnioną profilaktykę dostosowaną do swoich potrzeb. Dzięki podawaniu regularnie i w odpowiednich dawkach czynnikowi krzepnięcia mogą żyć tak, jak ich zdrowi rówieśnicy – uczyć się, uprawiać sport, realizować pasje. Kiedy taki młody człowiek kończy 18 lat, przeżywa szok. Okazuje się bowiem, że dotychczasowy lekarz prowadzący już go nie przyjmie, a najbliższy specjalistyczny ośrodek jest kilkaset kilometrów od domu. Wracamy tu do poprzedniego wątku: trzeba podnosić standard opieki nad dorosłymi, który znacznie lepiej funkcjonuje w ośrodkach pediatrycznych. A więc tworzyć ośrodki z co najmniej dwoma lekarzami w każdym województwie, rozbudowywać system dostaw domowych, dostosowywać leczenie do indywidualnych potrzeb każdego pacjenta. To kroki, które trzeba uczynić jak najszybciej.

Niedawno minister Adam Niedzielski opublikował dokument strategiczny „Zdrowa przyszłość”, określający główne kierunki rozwoju polskiej ochrony zdrowia do 2030 r. Mówi się tam m.in. o podążaniu w stronę rozwiązań przewidywanych, wyprzedzających i spersonalizowanych. A także o dalszej szybkiej cyfryzacji zdrowia. Pański komentarz?

Podchodzimy do tych zapowiedzi z uznaniem. Chorzy na hemofilię mogą się kontaktować ze swoim lekarzem także przez media elektroniczne. Na Zachodzie chorzy mają do dyspozycji aplikacje, które pozwalają zdalnie łączyć się z ośrodkiem leczenia, dzięki czemu lekarz może za pośrednictwem telemedycyny sprawdzić stan zdrowia, skorygować dawkowanie leku, zlecić dodatkowe badania. Zwłaszcza w sytuacji, gdy mamy mało lekarzy, a dostęp do ośrodków leczenia hemofilii dla dorosłych jest ograniczony, trzeba rozwijać te nowe metody. To w krótkim czasie przełoży się na poprawę stanu zdrowia chorych.

Trzeba też pamiętać, że hemofilia to specyficzna choroba, w której do każdego pacjenta trzeba podejść indywidualnie. Przy nierównym dostępie do lekarzy, braku ośrodków i takiego właśnie indywidualnego, dostosowanego do potrzeb pacjenta podejścia, wielu chorych po prostu źle się leczy. Stosują nieprawidłowe dawki, zaniżają je, żeby czynnika krzepnięcia starczyło na dłużej. A to powoduje, że często takie leczenie jest nieskuteczne. Można więc powiedzieć, że dzisiaj dostosowanie systemu do potrzeb ludzi dorosłych leży w gruzach. Tym ważniejsze są zapowiedzi Ministerstwa Zdrowia, że ma się to zmienić.

Jak w tym kontekście odbiera pan to, że nadal nie uregulowano kwestii wyceny usług ambulatoryjnych?

To z pewnością problem, te wyceny trzeba urealnić. Jeśli wycena ambulatoryjnej opieki specjalistycznej nie zostanie urealniona, trudno oczekiwać, że szpital, który ponosi z tego tytułu straty, będzie rozwijał opiekę nad chorymi na hemofilię i pokrewne skazy krwotoczne. Minister Niedzielski podpisał w tym roku zmianę rozporządzenia dotyczącego specjalistycznego leczenia ambulatoryjnego obejmującego swym zakresem chorych na hemofilię, ale w dalszym ciągu jego resort nie wdrożył w życie urealnienia wyceny chorych na hemofilię. Jest to dla nas duże zaskoczenie, zwłaszcza że chorzy na hemofilię stanowią niezbyt liczną grupę pacjentów, a zyski dla płatnika z prawidłowo prowadzonego leczenia kosztownymi lekami stałyby się szybko odczuwalne.

A może nie ma na to pieniędzy?

To nie jest moim zdaniem istota problemu. Nie mówimy tu o wielkich kwotach, dzięki dobremu systemowi przetargów centralnych ceny spadają (mówimy na przestrzeni lat o ponaddziesięciokrotnym spadku cen). Państwo płaci za jednostkę czynnika krzepnięcia coraz mniej, są więc rezerwy do wykorzystania. To samo dotyczy czynników rekombinowanych. Różnica w cenie rekombinantów

i leków osoczo pochodnych jest dziś bardzo mała i jestem przekonany, że będzie wciąż się zmniejszać. To załuga systemu, ludzi, którzy koordynują przetargi i dbają o dobry dostęp do czynników krzepnięcia na terenie całego kraju. Wprowadzanie zmian dostaw domowych, rozwijanie opieki i personalizacja leczenia są w pełni możliwe.

To się nam opłaci?

Oczywiście. Koszty nawet najbardziej zaawansowanego i najnowocześniejszego systemu leczenia choroby takiej jak hemofilia zawsze będą niższe niż koszty społeczne i gospodarcze wynikające z zaniechania w tym zakresie: leczenia powikłań i finansowania wsparcia socjalnego niepełnosprawnych wskutek złego jej leczenia.

Jestem czynny zawodowo, pracuję jako informatyk. Ale wymagało to charakteru, wielu starań. Nie każdy miał tyle szczęścia, wielu chorych kolegów poprzehodziło na renty, całkowicie wypadając z obiegu zawodowego i społecznego. Na Zachodzie, ale i w państwach naszego regionu, np. w Czechach czy na Węgrzech, decydenci wiedzą, że to się po prostu nie opłaca. Że zwiększenie nakładów na leczenie hemofilii to inwestycja, która bardzo szybko zaprocentuje.

Dobrze leżeni jesteśmy w stanie prowadzić normalne i produktywne życie. Nie wymagamy wsparcia socjalnego, nie trzeba nam wypłacać rent. Nie jesteśmy dla państwa obciążeniem, a raczej wartością dodaną. Chorzy pozbawieni właściwej opieki i leczenia prędzej czy później lądują na marginesie życia społecznego. Przechodzą na rentę, zamykają się w domu. Cierpią, wymagają dodatkowego, kosztownego leczenia ortopedycznego.

Stałe zwiększanie nakładów i unowocześnianie profilaktyki hemofilii jest więc działaniem prospołecznym, propaństwowym. No i oczywiście ludzkim – tak naprawdę niewielkim kosztem sprawia się, że my, chorzy, możemy żyć pełnią życia, za co wszystkim zaangażowanym osobom, które nas wspierają, bardzo dziękujemy.

MARTA ŻMUDA TRZEBIATOWSKA, PIOTR GĄSOWSKI, TOMASZ KAROLAK

Gotowanie na ekranie

I znów zacznie się gotować w serialowych garnkach. I smażyć na ekranowych patelniach. Rozpoznawalne aktorskie twarze, nie zawsze kojarzące się z pichceniem, będą telewizyjnym produkcjom dodawać smaku, a czasem pikanterii, by rozgrzać odcinkową narrację.

Po świetnie przyjętych: „Przepisie na życie” (premiera odbyła się dekadę temu), gdzie kulinarny prym wiedli Magdalena Kumorek i Borys Szyk (jako kucharz Jerzy Knap), oraz późniejszym o pięć lat serialu „Na noże” (tu Wojciech Zieliński jako charizmatyczny i niepokorny mistrz sztuki kulinarnej mierzył się z Piotrem Stramowskim), widzowie znów będą mogli zajrzeć do, nomen omen, odcinkowej „Kuchni”.

Komediowa propozycja Polsatu (która trafi do widzów w jesiennej ramówce) ma obfitować nie tylko w zabawne dialogi, lecz także aromaty francuskich dań, których mistrzami będzie na ekranie dwoje restauracyjnych antagonistów. Zagrają ich Tomasz Karolak i Marta Żmuda Trzebiatowska.

Aktorka, której o mieszanie w garnkach raczej byśmy nie podejrzewali, w związku z nową produkcją napisała na Instagramie: „Kocham dbać o moich najbliższych. Staram się, by dom kojarzył im się z bezpieczeństwem i ciepłem rodzinnym oraz... dobrym, zdrowym jedzeniem. Tak, tak, to dla mnie bardzo ważne. Uwielbiam gotować dla mojej rodziny! To mnie w sobie zaskoczyło, ponieważ nigdy nie ciągnęło mnie »do kuchni«. Gdy byłam młodszą, a mama i babcia razem gotowały, ja wołałam książki. Dziś kuchnia to moje królestwo! Ja tu rządę. Może nie przez przypadek dostałam rolę szefowej kuchni w nowym serialu Polsatu »Kuchnia«, który już niebawem będziemy miały swoją premierę”.

Tomasz Karolak, grający jej kulinarnego konkurenta, kiedyś stwierdził w naszym cyklu: – Mówi się, że z rodziną najlepiej

wychodzi się na zdjęciu, ale moim zdaniem najlepiej wychodzi się z nią w kuchni.

Podobne zdanie wydaje się mieć Piotr Gąsowski, który co jakiś czas pojawia się w kulinarnych okolicznościach ze swoimi bliskimi na Instagramie. Parę miesięcy temu zdradził, że kulinarną pasję dzieli z nim nastoletnia córka Julka. Napisał: „Nasze gotowanie z córeczką Julcią. Koniecznie zobaczcie wszystkie filmiki, żeby prześledzić cały proces powstawania potrawy. Uwielbiam to! To jedna z moich pasji! Dziś Chef Gąs i jego asystentka poleca cielęcinę duszoną w warzywach i białym winie z dodatkiem czosnku, brazylii, koperku, podawane z kaszą kus-kus i z kaszą gryczaną! Wyszło pycha!”.

Tego lata, spędzając wakacje w dużym rodzinno-przyjacielskim gronie na Krecie, aktor pochwalił się daniem, które dla wszystkich przyrządził. Nie sam, pomagały mu były partnerki – Hanna Śleszyńska i Anna Głogowska.

By powstało stifado, czyli grecki gulasz wołowy, najpierw pokrojone zostało mięso, potem trzeba było zrobić marynatę (z miodu, oliwy, sosu winegret, cytryny i odrobiny czosnku). Całość na pół godziny trafiła do lodówki, a potem – z pokrojoną marchewką, czerwoną cebulą, bakłażanami, passatą pomidorową i pomidorami z puszki – do garnka. Zapewne smakowało świetnie.

Nie dziwi, że aktor, który tak doskonale radzi sobie zarówno w kuchni, jak i między ludźmi, został zaproszony do nowego kulinarnego programu Polsatu, w którym rywalizować będą rodziny.

W „Family Food Fight. Pojedynku na smaki” do kuchni trafi sześć rodzinnych drużyn. Ich starania oceniają: Ewa Wachowicz i Adam Borowicz, a le to Piotr Gąsowski, jak się wydaje, wniesie do jurorskiego składu najwięcej „smaczków”.

Jolanta Gajda-Zadzworna

Stifado (przepis ze strony Grecja od kuchni)

Składniki: (na 4–5 porcji) 1 kg wołowiny, 250 ml czerwonego wytrawnego wina, 2 łyżki octu, 1 kg małych cebulek, 5–6 ząbków czosnku, 1 filiżanka oliwy z oliwek, 400 g przecieru pomidorowego (kartonik), kilka ziaren pieprzu lub szczypta zmielonego, sól, ½ łyżeczki cynamonu, szczypta goździków, najlepiej zmielonych, 2–3 liście laurowe, 1½ litra wody.

Przygotowanie: Umyte i oczyszczone mięso kroimy na kawałki i smażymy na niewielkiej ilości oliwy. Polewamy winem i przykrywamy. Dodajemy ocet. Po minucie doprawiamy solą, pieprzem, goździkami i cynamonem. Dodajemy czosnek przekrojony na połówki oraz przecier pomidorowy, dolewamy wodę. Przykrywamy i dusimy na małym ogniu przez ok. 1,5 godz.

W międzyczasie obieramy małe cebulki, solimy je i zalewamy wodą na 15 min. Smażymy na rozgrzanej oliwie, aż się zeszkłą i wrzucamy do mięsa. Gotujemy kolejne pół godziny, uzupełniamy niewielką ilością wody, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Potrawa ta często podawana jest z frytkami lub pieczonymi ziemniakami, doskonale smakuje ze świeżym pieczywem lub chlebkiem pita, które idealnie wchłaniają aromatyczny sos. Palce lizać!





SŁODKO-SŁONY

Śledzie od przyjaciela

ANNA MONICKA

Ludzie dają sobie różne prezenty. I nie zawsze cenne jest to, co ma wartość materialną. W mojej kolekcji upominków są skorupki jajek gołębi, pawie pióra z ogrodu dendrologicznego w Przelewicach, kryształ górski, bursztyn z plaży w Jarosławcu, rożek koziołka znaleziony na polu, zdjęcie mamy, gdy była małą dziewczynką z kokardami, fotografia córki, która uśmiecha się do mnie cudownie bez dwóch górnych jedynek.

Całkiem sporo miejsca zajmują przepisy na smakołyki, które dostałam od przyjaciół. Największą furorę zrobiło ciasto drożdżowe, ale była też szakszuka, chleb z gara, gazpacho, baran pieczony w coca-coli, tatar z łososia, kiszzone ogórki czy domowy kwas z buraków. Za każdym stoi ktoś, kogo lubię, kto chciał się ze mną podzielić czymś miłym, dobrym, smacznym.

W tym roku do grona darczyńców dołączyła babcia koleżanki mojej córki. Dziewczyny poznały się w czasie pandemii w internecie i bardzo się wspierały w ciężkich chwilach. W wakacje doszło do spotkania. Dostałam od jej babci kilka przepisów – za każdym razem, kiedy po nie sięgnę, będę wspominać wieczorne ogniska, wypatrywanie Perseidów, wędrówki po polach, rozmowy przy kawie i cudowne uczucie, że nigdy nie wiesz, gdzie i kiedy spotkasz bratnią duszę.

Jednym z przepisów – na śledzie w zalewie – podzielę się z wami, bo jesień pewnie w tym roku przyjdzie szybko, więc wszystkim wróci ochota na konkretne jedzenie, a nie tylko zsiadłe mleko z ziemniakami czy chłodniki. Trzeba tylko dopaść świeże śledzie, a nie moczzone w solance. Resztę składników każdy ma w kuchni.

Kilogram ryby trzeba sprawić, pokroić na mniejsze kawałki, każdy posmarować ketchupem (najlepiej domowym, ale taki ze sklepu też będzie dobry, ważne, żeby powstał z jak największej ilości pomidorów na 100 g), posolić, obłożyć plasterkami cebuli. Układamy je w garnku. Teraz czas na zalewę: gotujemy szklankę wody z pół szklanki octu i pół szklanki oleju oraz przyprawami: zielem angielskim, liściem laurowym, kilkoma ziarnami pieprzu, gorczycy i szczyptą soli. Zalewamy śledzie i na małym płomieniu gotujemy 10 min. Studzimy i... smacznego. Dobrze na co dzień i od święta.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Żery i jady

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

W świecie przyrody pożywienie jest tym, co w znacznym stopniu określa dany organizm. Do niedawna pożywienie było również czynnikiem, który bardzo wyraźnie określał ludzi. To, co jedliśmy, mówiło, skąd pochodzimy: mleko i jego przetwory to północ Europy, oliwa i wino – region śródziemnomorski (masło uważano za pokarm barbarzyńców i używano w kosmetyce), dziwne dary morza – Japonia, tłuste mięso – Grenlandia. Pożywienie wskazywało też na zawód, będący wówczas w zasadzie trybem życia: w diecie pasterza wędrującego ze stadami dominowały sery, u osiadłego rolnika – zboża, mieszkańcy osad leśnych spożywali dziczyznę, bartnicy natomiast miód – w większych niż inni ilościach.

Zasada określania stworzenia przez pryzmat pożywienia jest nadal aktualna w świecie zwierząt. Pożywienie – i sposób jego zdobywania – wpływa bowiem na cały sposób życia i zachowanie, dostosowane jest do zmysłów, jakimi zwierzę dysponuje, do sposobu, w jaki orientuje się w otaczającym go świecie itp. Związek ten jest tak silny, że na przykład u ssaków na podstawie jednego odnalezionego zęba, nawet pochodzącego z zamierzchłej przeszłości, naukowcy są w stanie ustalić, czym zwierzę się żywiło, a zatem do jakiej grupy systematycznej należało, jakich było rozmiarów, jak wyglądało itp. (np. wielkość zęba wiąże się z wielkością szczęki i żuchwy, te z kolei wymagają odpowiednich mięśni i odpowiedniego miejsca ich przyczepu, co daje podstawy do określenia wielkości i kształtu czaszki itp., itd.).

W bardzo ciekawy sposób ten silny związek pokarmu określającego istotę danego stworzenia uwidacznia się w nazwach rozmaitych zwierząt z różnych stron świata i z rozmaitych grup systematycznych.

W Polsce mamy więc ptaka trzmielojada, zwanego też pszczołojadem (dużego drapieżnika, umiającego w poszukiwaniu tych owadów wkopać się głęboko pod ziemię), jak również trzymającego się morza siewkowatego ostrygojada i drapieżnego gadożera.

Na Filipinach żyje potężny jastrzębiowaty małpożer, w Ameryce Południowej mrówkojady oraz kanie ślimakojady, w Afryce bąkojady i węże jajożery, w Australii ptaki miodojady, w wodach Antarktydy foki krabojady.

Znane są również ryby glonojady i wzbudające strach żarłaczne ludojady.

Fot. Shutterstock

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Schyłkowa Unia Europejska

Przed ogólnopolskim referendum w 2003 r. w sprawie przystąpienia Polski do Unii Europejskiej pisałem felietony do tygodnika „Racja Polska”. Jak się okazało, byłem w grupie ponad 4 mln Polaków – przeciwników naszej akcesji do UE. Mój sprzeciw wywoływała nachalna propaganda prezentująca Unię Europejską jako „najlepsze miejsce do nauki i pracy na Zachodzie” oraz powtarzane w kółko zapewnienia, że tylko ten, kto głosuje za wejściem Polski do UE, jest prawdziwym Europejczykiem. Ponadto przedstawiano nam fałszywą alternatywę – albo Unia, albo Rosja. Tymczasem trzeba było wybrać Polskę albo, o czym pisałem w felietonie z maja 2003 r., organizację NAFTA, czyli USA, Kanadę, Meksyk, Singapur. Prezydent Aleksander Kwaśniewski w 10-stronicowej broszurce o olbrzymim nakładzie zachęcał do głosowania na „tak”, argumentując, że „decyzje najważniejsze dla Polski będziemy podejmowali sami”.

Dziś UE pod dyktando Niemiec przemienia się w państwo federalne kierowane przez niedemokratyczne europejskie instytucje i odbiera nam po kawałku suwerenność, przy okazji upokarzając Polskę i Polaków fałszywymi oskarżeniami. Przestrzegalem przed tym 18 lat temu w felietonie „Brukselskie myślenie”. Warto przypomnieć, jak wówczas dziennik „Rzeczpospolita” podpisywał sposób na osiągnięcie sukcesu w Unii Europejskiej. „Udaje się tym, którzy potrafią wczuć się w brukselskie myślenie, czyli zrozumieć, o co chodzi Unii”. Ergo nie da się osiągnąć sukcesu tym, których cele są rozbieżne z celami unijnego programu. „Brukselskie myślenie” jest dziś znacznie łatwiejsze do odszyfrowania, a sukcesy Unii tak samo „zachęcające” jak 18 lat temu, kiedy UE notowała zerowy przyrost gospodarczy pomimo zakłęb Aleksandra Kwaśniewskiego, że jest „światową potęgą”.

Zaraz po referendum Francja i Niemcy przystąpiły do forsowania nowej konstytucji europejskiej. Już sama jej preambuła nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Przyszła Unia Europejska oświeceniowymi hasłami „wolność, równość, braterstwo” ma zastąpić Dekalog. Szef watykańskiej dyplomacji stwierdził wówczas, że „oświecenie bierze górę nad chrześcijaństwem, co znaczy, że ideologia zapanowała nad historią”. Choć pomysł europejskiej konstytucji upadł, to wolnomularskie hasła walki z Bogiem mają silne umocowanie w strukturach Unii, a oficjalną ideologią stała się neobolszewicka ideologia LGBT.

Widać jak na dłoni, że UE przeżywa poważny kryzys. To schyłek tej organizacji, który

może pociągnąć na dno takie państwa jak Polska. Rację ma prof. Andrzej Nowak, że Polska bez sojuszników „nie uratuje się nie tylko przed Niemcami i Rosją, ale w ogóle jako wyizolowana kulturowa wyspa na morzu ideologicznego szaleństwa Unii...”.

Tak, trzeba zadbać o nowe sojusze i prezentować, dopóki się jeszcze da, własny program ratowania Unii Europejskiej. Pomocne tu mogą być te orzeczenia trybunałów konstytucyjnych państw członkowskich, które stawiają pierwszeństwo prawa krajowego nad unijnym. Wyroki tej treści zapadły już we Francji, Czechach, Włoszech, Hiszpanii i na Litwie. Ostatnio rumuński Trybunał Konstytucyjny wypowiedział się w sprawie ustroju sądów powszechnych w duchu pierwszeństwa rumuńskiej konstytucji nad prawem Unii. Są jednak i kraje, w których trybunały oficjalnie uznają pierwszeństwo prawa UE nad prawem krajowym, np. Belgia, z kolei Irlandia prymat prawa unijnego nad krajowym wpisała sobie dobrowolnie do własnej konstytucji.

Nam szczególnie nie wolno dać się zwieść polityce Niemiec, kraju dołączającego teraz oficjalnie do tzw. koncertu wielkich mocarstw. To prawda, że Federalny Trybunał Konstytucyjny w Karlsruhe, czyli najwyższy sąd niemiecki, potrafi bronić własnej konstytucji przed zakusami unijnych urzędników z Komisji Europejskiej. Nawet wchodzi w spór z Unią choćby w sprawie Europejskiego Banku Centralnego, który zdaniem Trybunału przekroczył swoje uprawnienia, kupując obligacje krajów należących do strefy euro. Stanowisko Trybunału spowodowało uruchomienie przez Komisję Europejską postępowania o naruszenie prawa UE przez Niemcy.

My zaś musimy pamiętać, że ten sam Trybunał Konstytucyjny w Karlsruhe już wielokrotnie wypowiedział się, że „Niemiecka Rzesza egzystuje nadal w granicach z 1937 r.”. W uzasadnieniu przypomniano, że zgodnie z niemieckim prawem granice tego państwa powstały po konferencji w Wersalu, a więc przed rozpoczęciem ekspansjonistycznej zbrodniczej polityki Hitlera.

Polityka Niemiec, niewstrząsana jak nasza ciągłymi wewnętrznymi silnymi erupcjami, pozostaje konsekwentnie stabilna. Jak w 2003 r. zapowiedziano powołanie Centrum przeciwko Wypędleniom, tak mimo licznych sprzeciwów, m.in. Polski i Czech, Centrum powstało, dzieło Eriki Steinbach ze Związku Wypędzonych w Niemczech. Eriki Steinbach „wypędzonej” jako dwuletnie dziecko w 1945 r. z polskiej Rumii wraz z matką i ojcem podoficerem Luftwaffe, z domu należącego do polskiego Kaszuba.

www.wojciechreszczyński.pl



GORĄCE PYTANIA

W POLSCE PL



HOŁDYŃSKA • JAKUBOWSKA • ŁOSIEWICZ • RYBIŃSKA • BIEDROŃ • MACIEJEWSKI • MAJEWSKI • POTOCKI • PYZA • WIKŁO • WOLNY

OGLĄDAJ NAS:



CYFROWY
POLSAT

NA POZYCJI

196



NA POZYCJACH

339

dekoder
Mediabox

121

dekodery
KAON i Horizon



NA POZYCJI

32

N E T I A

NA POZYCJI

192

VECTRA

NA POZYCJI

825

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Koń dla abnegata

Myszę, że specjaliści od sportu rozbiorą te pandemiczne igrzyska na detale, a związki sportowe w wielu przypadkach czekają nowe wybory władz. Jestem w tym przypadku kompletnym amatorem, ale jak już wspomniałem tu kiedyś, olimpiady oglądałem namiętnie i ruch olimpijski, a także duch olimpijski są mi nadal bliskie. Cieszymy się z medali, cieszymy się sukcesami tych, którzy je do kraju przywieźli, bo nie mamy innego wyjścia. Ale trudno nie odnotować, że w naszych dotąd medalowych i mocnych dyscyplinach z horyzontu międzynarodowego zniknęliśmy.

Nie ma nas w boksie, bo zamiast pięściarstwa wykreowaliśmy tyleż brutalne, co idiotyczne MMA, a dotąd w boksie zdobyliśmy 43 medale olimpijskie. W tym roku żadnego. Nie ma nas w ciężarach, chociaż sztangiści przywieźli nam 34 medale olimpijskie, prawie nie ma nas w zapasach (27 medali), nie ma nas w szermierce (22 medale). Z igrzysk w Montrealu (1976) przywieźliśmy 26 medali, a w tym 7 złotych. Lekkoatletykę mamy... taką sobie. Przywieźliśmy wprawdzie 9 medali, ale czterech dostarczyli nam młociarze, a cokolwiek mówić, to dyscyplina niszowa i nierozgrywana na wszystkich zawodach międzynarodowych. Cieszą wszystkie medale, ale wyczyn chodźiarza był na miarę Wojtka Fortuny w Sapporo i pokazał, że sport zachował jeszcze ułamek swojej nieprzewidywalności. Podziwiam młodą Marię Andrejczyk, która wytrzymała presję balonu napompowanego po jej znakomitym wyniku w Splicie. Ten dzieciak walczył nie tylko z kontuzjami, oszczepem czy konkurentkami, ale też z rozdymanymi przez media do granic możliwości oczekiwaniami. Zuch!

Zatrważa liczba konkurencji olimpijskich. Pływacy startują w ponad trzydziestu! Włączenie do programu igrzysk karate, jazdy figurowej na rowerze czy golfa odbieram jako przejściowy żart. Podobnie traktuję też tenis, który jest chyba nade wszystko biznesem i ma się tak do olimpiady, jak wyścigi na Służewcu do konkursu skoków przez przeszkody.

I tu dochodzimy do sedna. Otóż jeździectwo jest jedynym sportem olimpijskim, w którym startują zwierzęta. A także dyscypliną, w której od prawie stu lat kobiety startują razem z mężczyznami. W tradycyjnych konkurencjach jeździeckich (ujeżdżenie, wszechstronny konkurs konia wierzchowego, skoki) nie ma mowy o dominacji kogokolwiek w parze człowiek-zwierzę. Udany występ jest możliwy wyłącznie dzięki



**Aleksander
Nalaskowski**

*Trudno nie odnotować,
że w naszych dotąd medalowych
i mocnych dyscyplinach
z horyzontu międzynarodowego
zniknęliśmy*

pełnej współpracy. Koń jest zwierzęciem niezwykle wrażliwym na ból, agresję, dyskomfort i zawsze będzie się przed nimi bronił. Tak mu nakazuje natura. Klasa jeźdźca to nie tylko umiejętnie pokonane przeszkody, ale też unikanie za wszelką cenę sprawiania bólu zwierzęciu. I to widać w jeździectwie. Odnosi się wręcz wrażenie, że koń cieszy się razem z człowiekiem.

Jest jednak dyscyplina olimpijska, w której koń jest wyłącznie narzędziem, środkiem instrumentem. To pięciobój nowoczesny. Tradycja głosi, że ta konkurencja wywodzi się z historii pewnego oficera, który wioząc na pole bitwy jakiś rozkaz ze sztabu, musiał po drodze strzelać, płynąć, biec, fechtować i jechać konno. Można tylko się domyślać, że jako żołnierz był wyśmienitym

jeźdźcą, szermierzem czy strzelcem. Biegać umiał, bo każdy umie, a pływać nauczył się w stawie w majątku rodziców. Współcześni oficerowie pięcioboiści nawet jeśli źle biegają, fatalnie pływają, niecelnie strzelają czy okropnie fechtują, to ich sprawa. Jeśli skręca nogę, odbiorą cięgi metalowym prętem, zachlęsną się wodą czy strzelą sobie w stopę, to sami sobie winni. Możemy im tylko współczuć. Ale gdy w swoje nieumiejętności angażują zwierzę, to już nie tylko ich sprawa.

Pięcioboiści są w miążdzącej przewadze bardzo kiepskimi jeźdźcami (dodatkową trudnością jest tu losowanie koni przed konkursem). Gdyby chcieli się dobrze nauczyć jazdy konnej, to nie starczyłoby im już czasu na pozostałe konkurencje. Jazda konna bowiem to nie dyscyplina sportowa, ale dziedzina sztuki. Igrzyska w Tokio pokazały, że w pięcioboju artystów jest jak na lekarstwo. Wiszenie na pysku konia (a ściślej na wędzidle umieszczonym w pysku zwierzęcia), galop z nieprawidłowej nogi, złe najazdy na przeszkody, fatalny dosiad, koszarne prowadzenie, bicie zwierzęcia, wydawanie sprzecznych sygnałów (np. dociskanie konia łydkami i zaciąganie wędzidla jest sygnałem „jazda wstecz”, tymczasem Rosjanka próbowała tak zmusić konia do galopu!). Wszelkie granice przekroczyła pięcioboistka niemiecka, która tak skołowała i udręczyła zwierzę (które dostało jeszcze kuksańca pięścią od jej trenerki), że sama się rozbeczala. Może byłoby to zabawne, gdyby nie otumaniony i zbity wierzchowiec. Zastanawiam się, czy zareagują na to działacze związków jeździeckich, hodowców koni? Bo jeśli nie, to może od razu uczynić korridę dyscypliną olimpijską? Idźcie na całość! Początek jest niezły. A może coś po prostu w pięcioboju zmienić?

PRZEZ ŚWIETLIK

Fobie i medale

Igrzyska, które sportowo miały być nieudane, a były całkiem, całkiem, niestety w Polsce okazały się „kolejnym etapem rozwoju” szczucia ze strony naszych orędowników tolerancji i postępu na ludzi innych niż oni. Przenieśli już na całego konflikt, bez którego nie mogą żyć, w świat sportu, dzieląc reprezentantów kraju na swoich i „tamtych”.



**Wiktor
Świetlik**

I pomimo że niekiedy symetrystą bywam, to choćby przyszło tysiąc atletów i każdy zjadłby tysiąc kotletów, to nie zostanę przekonany, że „obie strony mają tu swoje grzeszki”. Nie, to jedna strona – mając poparcie światowych korporacji, oligarchii, instytucji międzynarodowych i krajowych mediów we władaniu zagranicznego kapitału, próbuje zaszczyć każdego, kto się wylamuje. Historia młodego lewaka, który składał przed swoim kolektywem długą samokrytykę w iście stalinowskim stylu za to, że wymysknęło mu się coś nie do końca genderowego, nie jest kuriozum, ale dotknięciem przyszłości przerażająco podobnej do przeszłości.

W przypadku sportowców dowód jest banalny. Windsurferka Zofia Klepacka, religijna chrześcijanka, politycznie chyba zbliżona do środowisk narodowych, była obiektem regularnego bluzgu i hejtu, także ze strony rozmaitych znanych postaci, które deklarowały, że jej nie będą kibicować. Równocześnie wioślarka Katarzyna Zillmann stała się tych środowisk bohaterką, a to ze względu, że deklaruje się jako lesbijka, a także chyba bliskie jej są tęczowe poglądy. Pani Zillmann miała być także ofiarą i cierniem w oku czarnosecinnej prawicy, która kibicuje pani Klepackiej.

Tyle że o ile na Klepacką wylano hektolitry pomyj, o tyle trudno się dopatrzeć tego w przypadku Zillmann. Żadne prawicowe medium, żaden polityk, nawet konfederaci z Braunem i Korwinem na czele nic nie pisnęli. Koronnym dowodem miały być rzekomo spóźnione gratulacje od Andrzeja Dudy, ale domaganie się od prezydenta, by jego aktywności na Twitterze regulowały potrzeby pana Węglarczyka, to jednak chyba za dużo.

To nie jest wojna polsko-polska. To niestety wojna, którą jedna część Polski prowadzi z drugą. Często przypisuje przy tym jej swoje fobie, psychozy, nienawistne wyobrażenia. Zaczyna być to męczące. Na tyle, że na prywatnym gruncie przestałem tłumaczyć, a zacząłem zrywać znajomości. I szczerze mówiąc, dużo mi z tym lepiej.

23 sierpnia w tygodniku

SIECI

dodatek na IV Forum Wizja Rozwoju w Gdyni

- ➔ Jakie wyzwania stoją przed polską gospodarką?
- ➔ Jakie są perspektywy dalszego rozwoju?
- ➔ Jak pandemia wpływa na rozwój ekonomiczny Polski?

PARTNERZY DODATKU:



Rysuje **Jerzy Wasiukiewicz**



TRENDY I OWĘDY

Europejska słoma

Opozycja totalna skoncentrowała się na straszeniu popleczników PiS.

Taktyka naszych Europejczyków, miłośników wolności i tolerancji zlepionych nienawiścią do PiS, polega na plastycznym wizualizowaniu tego, co czeka każdego „pisióra” i każdego zwolennika „brunatnego dyktatora z Żoliborza”, gdy tylko oni wrócą do władzy. Rozmach mają, trzeba przyznać. Część trafi do więzienia, część pod Trybunały, część zostanie wychłostana na rynku i zakuta w dyby, ale przede wszystkim nikt nie znajdzie zatrudnienia. Nikt. Wszyscy na bruk i w nędzę. „Jeszcze będzie pięknie, jeszcze będzie normalnie”. I jak można mówić, że opozycja nie ma programu? Ależ ma. Musi się zemścić na PiS, że wygrał uczciwe wybory i rządzi z woli społeczeństwa.



Ryszard Makowski

W dniu debaty sejmowej na temat ustawy medialnej, dotyczącej między innymi TVN, europarlamentarzystka Magdalena Adamowicz lojalnie ostrzegła: „Każdy parlamentarzysta, który poprze zniszczenie wolności słowa – odbierze Polakom prawo do wolnych wyborów, i wymusi państwową kradzież amerykańskiego kapitału, musi zostać objęty osobistymi sankcjami USA. Będzie petycja do Kongresu St.Zj.! @POTUS @USEmbassyWarsaw @StateDept”. Rozmachu ciąg dalszy.

Uruchomiono też pogłoskę, opartą ponoć na wiedzy z Waszyngtonu, że w odwecie za krzywdę TVN Amerykanie przeniosą część wojsk stacjonujących u nas do Rumunii. A nie prościej byłoby do Rumunii przenieść TVN. Redaktor, który ujawnił, że Donald Tusk przepisał majątek na żonę, spotkał się z ordynarnym hejtem. Nie ma to jak europejska słoma w butach!

Michał Korsun prezentuje:
Rzeczony TVN cenzuruje 10 lat pracy Kamila Durczoka



Wycinki z przeszłości

Nawet najmłodszy z sympatią wspominają, dziś spotykane już tylko jako pojazdy zabytkowe, syreny. Ale jak wynika z wakacyjnych wydań „Motoru” z 1961 r. (na zdjęciu fragment okładki), ich eksploatacja nie była prosta.

„Niezbyt szczęśliwie umiejscowiono w syrenie rozgałęźniki przewodów elektrycznych (tzw. rozetki) we wnętrzu bagażnika. Są one nieosłonięte i np. lejek lub inny metalowy przedmiot może spowodować zwarcie. Unikniemy tego przez przyklejenie kawałka gumy ze starej dętki na rozgałęźnikach zwłaszcza dolnych, umieszczonych pod półką bagażnika”.

* * *

„Jednym z poważnych błędów popełnianych przez FSO jest stosowanie nieodpowiedniej uszczelki, obramowującej otwór bagażnika. Stosowana uszczelka jest wykonana z gumy porowatej, która wprawdzie izoluje wnętrze bagażnika przed przedostawaniem się wody, ale zarazem wchłania w siebie wodę. Jest to po prostu – gąbka. Na wyniki nie trzeba długo czekać. Korytko, w którym jest przyklejona uszczelka zaczyna rdzewieć i z czasem odpada. Przerdzewieniu ulega też również krawędź pokrywy bagażnika. Jedyną radą jest zastosowanie innej uszczelki, z miękkiej gumy, ale nie porowatej”.

* * *

Kłopot sprawiała też galka ssania, która wpada w dywanik w przegrodzie czołowej. Turecka podpowiadała dość skomplikowaną operację jej przedłużenia.

I tak to się toczyło – każdy kierowca musiał być wtedy trochę mechanikiem.

(mk)



Leszek Długosz

Matka Boska Zielna

*Srebrne kłosy w Jej koronie
 I różyczka przy gorsecie
 – Z jarzębiny ma korale
 Z macierzanki śliczne
 wianki
 Z rozchodnika bransoletka
 – Jabłoń roni Jej jabłuszko
 Mak podaje zaś makówkę
 – Żeby dłoniom Jej nie było
 pusto*

*W dzień świąteczny ten
 sierpniowy
 Pola, łąki z ziołem, snopkiem
 Z kwieciem wszelkim spieszę
 W darze
 – Gdzie kapliczki, Jej ołtarze*

*Wielbi Ją tu każda strona
 – Zdrowaś Mario, Panno
 Zielna
 Zabużańskie dzwony huczą
 I wioliny Wisły grają
 – Rybka z lilią wdzięczną
 płynie
 Ważka tęcoskrzydła wzlata
 A gdzie białe lachy piachów
 Wędrujący orszak dziewann
 Płomieniste wznosi Ave
 – Tam pod Kazimierzem*

*Pośród niebios tronująca
 A tu nisko przy nas, z nami
 W zielonościach tego kraju
 Mieszkająca
 – Od wszelakiej chroni
 szkody*

*Bo od wieków
 Na splachetku tej tu ziemi
 Myśmy z sobą umówieni:
 – Ty masz dla nas
 szczególniejszą tutaj pieczę
 A my?
 – Najufniejsze spośród
 świata Twoje dzieci*

*Matko Boska Zielna,
 Dzielna
 W czas straszliwej
 nawałnicy
 Tyś stanęła nam z pomocą
 W dzień sierpniowy pod
 Warszawą
 Nie opuszczaj nas i teraz
 Gdy godzina – przez nas
 samych
 Tak niepewna...*

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej



OD A DO ZYBERTOWICZ

W sierpniu o gwiazdach

*Gdy na płocie ośrodka edukacyjnego zobaczyłam
te osiem gwiazdek, przeszył mnie zły dreszcz.
Przypomniała mi się opowieść babci*

Klimatyczne, spokojne miejsce, jezioro i cisza, rzeźby piękne, ciekawe, majestatyczne, zrobione z pasją. Przemila atmosfera i »cieple« przywitanie. Jeszcze tam wróć – czytam internetowy wpis na temat Grodu Foluszek na Pojezierzu Brodnickim.

Wsiadamy z synem na rowery.

EDUKACJA...

Im bliżej celu, tym rośnie atmosfera rodem z „Wiedźmina”... Może lekko przesadzam, ale po drodze witają strzygi i pradawne potwory.

Podjeżdżamy do bramy. Wita napis: „PISłam stop”. Zaraz obok tablica z równie misternie wyrzeźbionymi ośmioma gwiazdkami. Jednych mocno ekscytują, ale innym sprawiają przykrość – choćby tylko ze względu na wulgarność. Syn licealista żartuje, że to miejsce z kategorią ośmiu gwiazdek i zaraz spontanicznie dopowiada, iż to pewnie taki odwet za „strefy wolne od LGBT”, zastanawiając się jednocześnie, czy to nie przykład mowy nienawiści. Wchodzimy do środka. Na szczęście po drodze nikt nie weryfikuje sympatii politycznych. W oczu rzuca się kolejny wyrzeźbiony napis: „My wolni ludzie” i flaga Unii

Europejskiej. Żadnej innej nie ma, nawet proporca czy chorągwi rycerskiej. Tylko ta niebieska z gwiazdkami.

W środku sielsko, nie ma tłoku, trzy grupki młodzieży. Uczą się strzelać z łuku, słuchają pradawnych legend, dowiadują się, jak to wieki temu mielono zboża na kamiennych żarnach...

Cóż, Ośrodek Edukacji Historycznej Gród Foluszek (to oficjalna nazwa) wszak jest nastawiony na uczenie przez zabawę, a zajęcia organizowane są jako spotkania z żywą historią. Widać tablice edukacyjne z logo parterów. Jest Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu, lokalne radio PiK, różne towarzystwa regionalne, a także „Czas Brodnicy” (wydawnictwo Agory).

Ze strony internetowej wynika, że Gród Foluszek to element działalności Bractwa Rycerskiego Zamku Brodnickiego. Powstał jako park tematyczny, który ma przybliżyć bogactwo kulturowe epoki średniowiecza.

KASZTELAN JAN

Gwiazdki nie dają mi spokoju. Dzwonię do kasztelana grodu Jana Majewskiego, mistrza w strzelaniu z kuszy oraz rzeźbiarza.

Kwadrans rozmowy i widać, jak inaczej rozumiemy. Pan Jan napisy i gwiazdki wyrzeźbił osobiście (do tej pory nikt nie miał do niego pretensji). Co więcej, rzeźbi jeszcze „ten trzeci znak”. „O matko, jaki?” – pytam. „Żaden tam zwykły piorun czy symbol Hitlerjugend...”. Gospodarz nie ukrywa – ujmijmy to tak – niechęci do PiS. Katolicyzmowi też nie lubi. Gdy dociekam, jak to pogodzić z edukowaniem młodych, bo przecież to jest celem ośrodka, nie widzi problemu. Odwołuje się do sło-

wiańszczyzny, etosu rycerskiego, uniwersalizmu wartości średniowiecza (podkreśla, by nie mylić z ciemnogrodem!) i zapewnia, że za murem polityki nie ma. „A dzieci o te gwiazdki pytają?”. Odpiera: „Nie muszą, są mądre”. Przedstawia mi fragment zwykle czytanego młodzieży etosu rycerskiego, którym (jak zapewnia) sam kieruje się w życiu. Wybrzmiewają dwa zalecenia: „Człek każdego szanuj” i „Kieruj się miłością”. Pytam: „A czy pisior to nie człek?”.

GWIAZDA, GWIAZDKI...

A jednak, gdy na płocie ośrodka edukacyjnego zobaczyłam te osiem gwiazdek, przeszył mnie zły dreszcz. Przypomniała mi się opowieść babci, która mówiła, że jak tylko Niemcy znaczyli Żydów gwiazdą Dawida, to wszyscy wiedzieli, że piekło nadeszło. Pomyślałam: przecież dopiero co, jeszcze parę dni temu, współodczuwałam emocje Warszawy upamiętniającej wybuch Powstania 44!

Kiedyś jedna gwiazda, co przyniesie te osiem?

Ponoć Hitler lubował się w magii i pogańskich znakach. Ufam, że wrażliwość powstrzyma pana Jana przed wywieśnięciem własnoręcznie rzeźbionego pioruna, znaku z miłością i szacunkiem niekojarzonego.

Nawet Wikipedia pisze, że „etos pierwszych rycerzy, dość brutalny i hołdujący wartościom takim jak siła fizyczna, duma czy odwaga, z czasem zaczął ewoluować w kierunku wartości wyższych. Wpłynęły na to co najmniej dwa czynniki: Kościół oraz literatura rycerska”. A gwiazdki unijne też potrzebują chrześcijańskiej kotwicy.

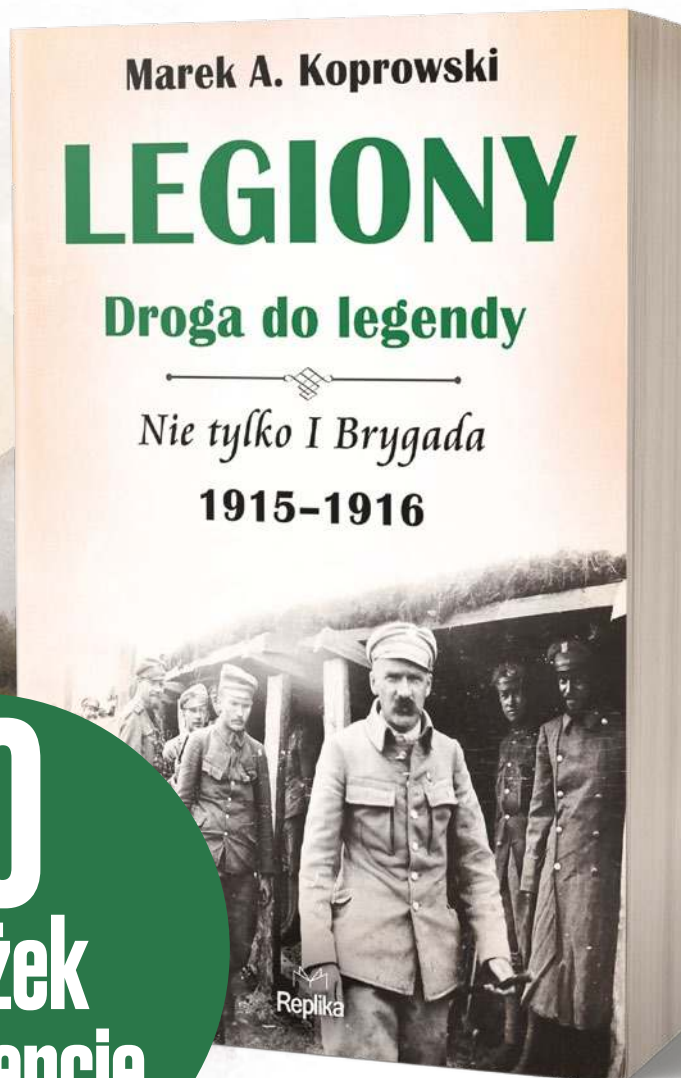
Katarzyna Zybortowicz

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW
WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI

**w SIECI
HISTORII**

Historia Legionów Polskich
w całej okazałości – od przełomu
lat 1914/1915 po początki roku
1916: I Brygada, komendant
Piłsudski i inne polskie oddziały



50
książek
w prezencie



Książkę „Legiony. Droga do legendy 1915–1916”
otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę pakietu:
tygodnik **SIECI** i magazyn **HISTORIA** za **280 zł**.

Zamów już dziś na: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o.,
ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9–16

#SZCZEPIMYSIĘ I WYGRYWAMY

W LOTERII NARODOWEGO
PROGRAMU SZCZEPIEŃ

Zarejestruj się na
www.pacjent.gov.pl
na swoim IKP lub zadzwoń pod 989



2 x 1 000 000 zł

2 x TOYOTA C-HR

6 x TOYOTA COROLLA



6 x 100 000 zł

60 x 50 000 zł

**720 x HULAJNOGA ELEKTRYCZNA
SEGWAY**



NAGRODY NATYCHMIASTOWE

500 zł
DLA CO 2000. OSOBY

200 zł
DLA CO 500. OSOBY